

BASZTA CZAROWNIC



Krzysztof Kochański

Literacka przestrzeń tej opowieści tylko po części jest fantazją, natomiast wszystkie postacie są fikcyjne lub fikcyjnie przedstawione.

Jest wiek XXI. Ale to nic.

Wciąż są tajemnice, o których strach opowiadać.

ZACZYNAMY

Około godziny drugiej po północy piorun uderzył w kasztanowiec przed Spichlerzem Richtera. W pobliżu nie było nikogo, nie licząc czarnego kota, który dał nura w wykusz Bramy Młyńskiej, będącej kilka wieków temu jednym z trzech wjazdów do miasta.

Pod Mostem Zamkowym, nad skrajem którego drzewo zwieszało okazałe liście i niedojrzałe kolczaste łupiny, spał mężczyzna nakryty po uszy kraciatą marynarką. Marynarka była prawie nowa, jeszcze wczoraj leżała w magazynie opieki społecznej.

Chociaż huknęło jak z armaty, kloszard był nadal pogrążony we śnie, ściskając mocno butelkę po winie, którą samotnie opróżnił kilka godzin wcześniej. Spał nieświadomy, że jakiś ludzki cień przemyka chyłkiem przez ulicę stanowiącą strop jego tymczasowego schronienia.

Po drugiej stronie ulicy Garncarskiej mieściła się siedziba Zawodowej Straży Pożarnej, gdzie przy telefonie „998” pełnił dyżur Tadeusz Jankowski. Zaniepokojony hałasem wstał od skomputeryzowanej konsoli i podszedł do okna. Na bezchmurnym sierpniowym niebie zobaczył gwiazdy; ich blasku nie zdołały zaćmić pobliskie latarnie, gdyż noc była wyjątkowo pogodna.

Piorun w taką noc?

Jankowski wychylił się głębiej w stronę biurowego parkingu, ale nie dostrzegł nic godnego uwagi. Miasto Słupsk było pogrążone we śnie. Wracał już na krzesło, gdy niespodziewanie dotarła do niego woń spalenizny. Powtórnie zerknął przez okno i po chwili wahania wyrzwał na korytarz. Uniósł głowę i niczym pies myśliwski wciągał w nozdrza powietrze. Badanie widocznie naprowadziło strażaka na jakiś ślad, gdyż poderwał się nagle i pędem zbiegł po schodach na parter. Przez wychodzące na ulicę okna zobaczył, że naprzeciwko dym wali tak, jak z komina pobliskiej osiedlowej kotłowni, zanim zlikwidowano ją kilka lat temu, podłączając zasoby do miejskiej sieci ciepłowniczej. Jankowski przytomnie obrócił się na pięcie i chwycił gaśnicę. Kilkanaście sekund później władował rozprężoną zawartość stalowej butli do wielkiej dziupli, która powstała u nasady drzewa. Zadowolony, z poczuciem dobrze wykonanego zadania, powrócił do dyżurki na piętrze i wtedy dobry nastrój uleciał z sykiem – zupełnie jak przed minutą piana z gaśnicy.

– Jasny gwint!

Szafa była otwarta na oścież, pokazując puste półki i nagi wieszak. Cywilne ubranie, w którym Jankowski przyszedł do pracy, zniknęło. Dżinsy, flanelowa koszula i skórzana, brązowa kurtka.

Zdumiony strażak rozejrzał się wokół, w iluzorycznej nadziei, że może to nieprawda, że dzisiaj złożył ubranie gdzie indziej, ale tak nie było. Za to na podłodze leżał barwny ciuch, zmięty, porzucony byle jak. Mężczyzna podniósł go i przyjrzał się uważnie.

Damska kiecka? Nie. Raczej sutanna. Chociaż też nie. Nie ma takich kolorowych sutann...

W tym momencie huknęło po raz drugi. Jankowski nie mógł tego widzieć, ale ofiarą znów padło to samo drzewo, pomimo że cztery metry dalej rósł bliźniaczy kasztanowiec, spleciony z pechowcem kilkoma konarami. Dym wyskoczył z dziupli, niczym z fajki Popeye'a, wielbiciela szpinaku, lecz zaraz przygasł, rozmył się, stłumiony tkwiącą w dziupli gaśniczą pianą.

Bezdomny pod Mostem Zamkowym szczelniej nakrył głowę połą kraciastej marynarki. Śnił dalej.

Strażak Tadeusz Jankowski tym razem nie zamierzał się przejmować. Zrozumiał, że to nie piorun, lecz jakaś cholerna petarda, za pomocą której zwykły czub usiłuje wysadzić w powietrze drzewo, dodatkowo zabawiając się kradzieżą mienia.

Już nie był zadowolony. Wręcz przeciwnie. Wściekłość paliła mu twarz. Został okpiony, wystrychnięty na dudka, w dodatku nic nie mógł na to poradzić. Zdarzenie musiał zachować w tajemnicy, ponieważ w myśl regulaminu nie miał prawa opuszczać dyżurki. Postępku tego nie tłumaczył nawet szczytny cel, jakim było ugaszenie płonącego drzewa. Od tego jest obsada strażackich wozów, śpiąca (w gotowości) w sąsiednim budynku. Zgodnie z regulaminem, Jankowski winien tkwić przed konsolą, choćby grzmiało i waliło się. Choćby palił się świat, a nawet zwłaszcza wtedy. Jak mawiał ogniomistrz Malej: „Kapitan dalekomorskiego statku jest w zdecydowanie lepszej sytuacji od strażaka na dyżurze. Gdy okręt tonie, spuszcza się szalupy, pasażerowie i załoga ewakuują się. Kapitan, co prawda, schodzi ostatni – ale schodzi”.

Regulamin Zawodowej Straży Pożarnej w ogóle nie przewidywał opuszczenia posterunku przy telefonie „998”.

Uderzenie drugiego pioruna wypłoszyło czarnego kota z wykuszu Bramy Młyńskiej, gdzie wcześniej znalazł schronienie.

Zdezorientowany zwierzak zmylił kierunek i – zamiast uciekać gdzie pieprz rośnie – podążył w stronę kasztanowca, nie bacząc, iż spod konarów wyłania się złowrogo przygarbiona męska sylwetka. W jakiś sposób przypominała wcześniejszy cień, przemykający mostem ku remizie, lecz poruszała się z większą pewnością siebie.

Zwłoki kocura znalazł nad ranem pomocnik piekarza, wracający do domu z nocnej zmiany. Młodzieniec nie należał do wrażliwych, ale na widok zmiażdżonej czaszki, z wypływającą z oczodołu krwawą wydzieliną, odwrócił się z niesmakiem i pośpiesznie podążył swoją drogą.

Wstępnie dziękuję za uwagę.

Jak się rzekło, ZACZYNAMY!

CZEŚĆ PIERWSZA
DWAJ PANOWIE STAMTĄD

SOBOTA. Herbaciarnia w Spichlerzu Richtera.

Gość siedział w kącie baru, na ostatnim w rzędzie wysokim stołku. Miał na sobie wytarte niebieskie džinsy i flanelową koszulę koloru dojrzałej wiśni. Skórzaną kurtkę przewiesił przez oparcie fotela.

Co pewien czas zerkał na zastygłą w posąg kobietę za kontuarem, wpatrzoną niewidzącymi oczami gdzieś w dal; kiedy na nią zerkał, na jego przystojnej, choć niemłodej już twarzy pojawiał się słaby uśmiech. Trwało to tylko moment, bo mężczyzna zaraz powracał spojrzeniem do szklanki, do której z wielkiego kielicha dolewał porcję wina, a potem z butelki taką samą ilość pomarańczowego płynu. Powolnym haustem, bez oddechu, wypijał powstałą mieszankę, by po jakimś czasie powtórzyć całą ceremonię od początku. Wino było wytrawne, czerwone. Na butelce z gazowanym napojem zółcił się napis „Mirinda”.

Nie licząc tych dwojga, w lokalu było pusto, ale nie wyglądało na to, żeby brak klientów był odpowiedzialny za melancholię stojącej za barem kobiety, wciąż nieruchomej i smutnej.

Z kantorka szefa, dzierżawcy lokalu, dobiegała muzyka Wagnera. Szef nie cierpiał Wagnera. Dlatego słuchał go zawsze, ilekroć siadał do deklaracji rozliczeniowych z Urzędem Skarbowym.

– Dlaczego pani jest smutna? – zapytał mężczyzna.

– Proszę? – Kobieta zwróciła ku niemu piękną twarz. Była bardzo młoda, zapewne niewiele po dwudziestce. Czarne włosy, spięte z tyłu w kok, lśniły w blasku palących się świeczek, wskutek czego wyglądały, jakby były mokre.

– Pytam, dlaczego pani jest smutna?

– Nie jestem smutna. Ja tylko tak wyglądam. Zawsze tak wyglądam.

– Tak poważnie?

– Właśnie.

– Doskonale – skwitował mężczyzna, nie precyzując, czy wyraża tym słowem zadowolenie co do samopoczucia swej rozmówczynie, czy też może raczej pochwała fakt jej dostojnego wyglądu.

Trzasnęły drzwi i do herbaciarni weszło dwóch młodzieńców, głośnych, wyraźnie czymś rozbawionych. Zamilkli na chwilę, rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu.

– Dwa żywce! – zawołał jeden z nich. Usiedli przy stoliku.

– Piwa nie prowadzimy. To jest herbaciarnia – rzekła barmanka.

– A ten? Co pije? – Młodzieniec bezceremonialnie wskazał na mężczyznę we flanelowej koszuli.

– Podajemy wino – odpowiedziała dziewczyna. – Wyłącznie w kieliszkach – zaznaczyła.

– Może być. Trzy razy.

Ożywione nagle ciało barmanki wykonało rutynowy taniec wokół butelek i kieliszków, i za

moment szła już ku przybyszom, z trzema lampkami wina na srebrnej tacy.

- Jedna dla ciebie – rzekł do niej chłopak w trykotowej koszulce, opinającej umięśniony tors.
- Dziękuję. Nie piję wina.

Dziewczyna odsunęła się, zabierając pustą tacę. Zdążyła wrócić na swoje miejsce za barem, nim chłopak, przygniatany drwiącym spojrzeniem swego towarzysza, zdołał zdobyć się na odpowiedź:

- Szkoda! – krzyknął. – Łatwiej byłoby cię przelecieć!

Oparł się plecami o krzesło, wyraźnie z siebie zadowolony.

Jego kolega zaśmiał się z demonstracyjną aprobatą. Obaj chwycili za kieliszki. Pili, jakby rzeczywiście było w nich piwo.

Obserwowali się przy tym wzajemnie, może wyczekując, który wytrzyma dłużej.

– Nie powinniście panowie w ten sposób zwracać się do kobiety – odezwał się nieoczekiwanie siedzący przy barze mężczyzna.

Młodzińcy odstawili opróżnione do połowy kieliszki. Patrzyli sobie w oczy.

- Maciusiu, mówiłeś coś? – zapytał ten o wyglądzie kulturysty.

– Nie, nic, Areczku. To, zdaje się, ty mówiłeś...

– Ja? Nic podobnego. Milczałem jak grób.

– No to kto...? – Obaj, jak na komendę, spojrzeli w stronę baru.

– A może ty coś mówiłeś, dziadek?

– Zgadza się – potwierdził mężczyzna, akceptując widać fakt pokoleniowego przekwalifikowania, choć wyglądał najwyżej na czterdzieści lat. – Zwracałem panom uwagę na nieuprzejme słowa. Jak sądzę, zostały wypowiedziane przez pomyłkę, zapewne wskutek niefortunnego przejęzyczenia. Tak to już bywa, że człowiek czasami się gubi, plecie jakieś bzdury, a gdy potem nagle uzmysłowi sobie, w jak grubiański sposób się zachował lub, co gorsza, jakiego zrobił z siebie idiotę, wtedy jest mu przykro, pragnie przeprosić, ale jest za późno. Zatem zdecydowałem się na interwencję, aby zaoszczędzić panom wstydu i wyrzutów sumienia. Możecie przeprosić już teraz.

Młodzińcy wyglądali, jakby nie bardzo wierzyli, że to, co słyszą, dzieje się naprawdę.

– Wiesz co, dziadek? – odezwał się w końcu kulturysta Arek. – Zmieniłem zdanie co do tej pani. Dzisiaj przelecę ciebie.

Wstali z miejsc równocześnie, jak na komendę niewidzialnego dowódcy, i skierowali kroki w stronę baru.

Mężczyzna uniósł czujnie brwi, odstawił szklanę na blat.

– Gdzie?! – zawołał Maciek do barmanki, przesuwającej się w stronę kantorka, z którego wciąż sączył się niestrudzenie wagnerowski ton. – Rusz się tylko, a wytłuczemy tu wszystko. – Wskazał na półki, zastawione po brzegi słoiczkami z gatunkowymi herbatami i różnego rodzaju

zabytkowymi drobiazgami. – A on i tak dostanie co jego!

– Zgoda – rzekł mężczyzna, nie ruszając się z barowego stołka, chociaż Arek wisiał już nad nim, prezentując mięsień dwugłowy prawego ramienia. – Niech każdy dostanie co mu się należy. To dla was! – Wyciągnął rękę, podsuwając ją pod twarz chłopaka.

Dłoń była pusta.

Arek odsunął się odruchowo, zaraz jednak odrzucił rękę szybkim uderzeniem. Drwina spełzła z młodzieńczej twarzy, ustępując miejsca wściekłości.

Barmanka cofnęła się, wyraźnie przestraszona.

– Zostawcie go! Zosta... – nie dokończyła. Napastnik nie uderzył po raz drugi. Wciąż stał w tym samym miejscu, twarzą w twarz z nieznanym, ale ręką, którą uniósł do ciosu, opadała powoli, z dala od celu w jaki mierzyła.

– Aaasss... – syknął kulturysta Arek. – Skur... czybyk... chyba ma sygnety... – Marszczył twarz w wyraźnych skurczach bólu.

– Co jest?! – Maciek przyskoczył do kumpla. – Coś mu zrobił, palancie je... – urwał.

Nieznamy pokazał dłonie.

– Nie mam sygnety – oznajmił. – Przypatrz się, nie mam.

Młodzieniec zatrzymał się w pół kroku.

– Boisz się? – Mężczyzna popatrzył drwiąco. – Boisz się dotknąć mojej ręki? Przecież prócz tego, co ci się słusznie należy, nic tam nie ma. Nie ma, prawda?

Maciek zawahał się. Popatrzył w bok, na kolegę – nadal stękającego, przykurczonego, przyciskającego do klatki piersiowej kontuzjowaną kończynę – potem w drugą stronę, na oniemiałą dziewczynę za barem, obserwującą okrągłymi oczami nieoczekiwany obrót wydarzeń.

– Boisz się? – powtórzył nieznamy ścisłym głosem. Było oczywiste, że drażni się z przeciwnikiem, testuje go, a nawet podpuszcza, jak małe dziecko.

I jak dziecko Maciek dał się sprowokować. Zamachnął się, ale mężczyzna był szybszy. Wykonał błyskawiczny ruch, ledwie muskając splot słoneczny przeciwnika, i już siedział z powrotem wyprostowany, trzymając kieliszek z winem. Nalał porcję trunku, sięgnął po mirindę i uzupełnił szklankę taką samą ilością napoju. Łapczywie przełknął zawartość. Był lekko zdyszany, choć przecież w zasadzie nie ruszał się z miejsca.

Sytuacja obu młodzieńców nie przedstawiała się najlepiej.

Arek przestał wreszcie stękać, ale grymas bólu nie opuszczał jego twarzy, a prawa ręka wciąż drżała, jakby dotknęły jej starcze drgawki. Maciek leżał na podłodze, w pozycji embriona i trzymał się za brzuch. Już raz w życiu czuł taki ból i podobnie nań reagował; było to trzy lata temu i nazywało się ostrym atakiem wyrostka robaczkowego. Ale ten wyrostek został wtedy rutynowo wycięty przez chirurga miejscowego szpitala, więc z pewnością nie był dziś przyczyną cierpienia.

– Wezwać policję? – Zdezorientowana barmanka rozglądała się niezdecydowanie.

– Chyba nie będzie to potrzebne – odpowiedział mężczyzna przy barze. – Oni przeproszą...

– Nie. Nie trzeba. Niech idą. Niech znikają i nie pokazują się więcej.

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego.

– Mają odejść? Mamy ich tak zostawić? Przepraszam, ale to... nieludzkie. Nie zachowali się najgrzeczniej, to prawda, ale żeby zaraz odbierać im szansę... Przecież ci młodzi ludzie cierpią. Jestem pewien, że chętnie przeproszą.

Cień, który pojawił się na twarzy dziewczyny, w jednej chwili zmył z niej ślady sympatii.

– Oh! – wykrzyknęła, mocno wzburzona. – Jest pan taki sam jak oni. Co ja tu robię?! – Cisnęła niewidzialnym przedmiotem.

– Co robię w tym cholernym bajzlu?

Mężczyzna poderwał się ze stołka. Wyglądał na szczerze zakłopotanego.

– Przepraszam – rzekł, wyraźnie akcentując każdą sylabę. – Źle mnie pani zrozumiała. Zapewniam, że źle. Proszę poczekać.

Nie denerwować się i poczekać...

Pochylił się nad leżącym Maćkiem i pomógł mu wstać.

– Przepróż, chłopie – szepnął mu do ucha. – Przepróż, to przestanie boleć. Słowo honoru, przestanie boleć.

– Spadaj, palancie! – Maciek odepchnął go brutalnie. Rzucił jakieś niewybredne przekleństwo i pociągając za sobą Arka, powlókł się ku wyjściu.

– Nie wiem, czy będę tu jutro! – zawołał za nimi nieznajomy. – Co tam ja! Jutro może tu nie być tej pani. Jeśli nie przeprosicie dzisiaj, okazja może się nie trafić do końca życia. Hej! Czy wy mnie w ogóle słyszycie.

– Jezu! – zawył Arek, zahaczywszy bolącą ręką o framugę drzwi.

Maciek skulił się i wyglądało na to, że zwymiotuje, ale zaraz podniósł się, szarpnięty przez kolegę. Zniknęli za drzwiami.

W herbaciarni zapadła cisza.

– Mam nadzieję, że pan również wyjdzie – powiedziała zimno dziewczyna.

– Mogę wypić do końca wino?

– A pij pan! – Odwróciła się na pięcie. Przez pewien czas stała tyłem do niego, choć gdyby wiedziała (pamiętała), jak wygląda z tej perspektywy, w swej czarnej, ciasno opiętej na udach sukience, zapewne wybrałaby inną pozycję.

Mężczyzna sączył wino, systematycznie mieszając je z mirindą w równo odmierzanych proporcjach.

– Czy coś się stało? – Drzwi kantorka uchyliły się i w szczelinie ukazała się głowa szefa. Symfoniczne dźwięki wagnerowskiej tuby odbiły się od muru z czerwonej cegły, stanowiącej

znaczną część wystroju lokalu.

- Stało się! – odparła barmanka. – Pewnie, że się stało.
- No bo... – głos szefa brzmiał niepewnie. – Taka tu cisza.
- Ty nie zaglądasz tu, jak jest cisza. Zaglądasz, jak jest hałas!

Właściciel herbaciarni wzruszył ramionami, po raz nie wiadomo który żałując, że brata się z personelem, i schował się w kantorku. Barmanka poprawiała stojące w krystalicznym szyku szklance, doskonale wyrównane już wcześniej; najwyraźniej musiała się czymś zająć. Ani razu nie spojrzała na speszonego mężczyznę przy barze, a i on nie patrzył na nią.

Ktoś wszedł do lokalu.

Odwrócili się równocześnie, z ulgą, że wreszcie czas ruszył z miejsca. W drzwiach stał Maciek. Twarz miał koloru kości słoniowej, oczy podkrążone. Obie ręce trzymał splecione na brzuchu; kiwał się, niczym japoński bushi przed swym panem.

- Ja... – Wykrzywił cierpiętniczo twarz. Stęknął z bólu. – Co pan mi...?

W dziwacznych podskokach dotarł do najbliższego stolika, oparł się o blat.

- Wiesz, co trzeba zrobić – powiedział mężczyzna. – Po to wróciłeś, prawda?

- Ale przecież to nie ja... To Arek...

– Nie rozumiem, dlaczego to dla was takie trudne – skomentował smutno mężczyzna. – Przecież to żaden wstyd przeproszać.

Osobiście wolałbym sto razy przeprosić niż odezwać się w sposób niechlubny. Zaraz, jak to było...?

- Przepraszam! – wszedł mu w słowo Maciek.

- Idioto, przecież nie mnie!

– Przepraszam panią... Tak naprawdę to my wcale... – Niespodziewanie chłopak zamilkł. Wyprostował się i z niedowierzaniem rozejrzał po herbaciarni, jakby nagle znalazł się tu po raz pierwszy w życiu.

– O jasna cholera! – Ostrożnie dotknął palcami brzucha. Nacisnął, rozciągając usta w mimowolnym uśmiechu. Zarechotał głośno, niczym przedszkolak, u którego mutacja pojawiła się kilka ładnych lat za wcześnie.

- Nic nie czuję – wykrztusił, zachwycony.

– Oczywiście – odparł mężczyzna. – Ból nie tkwił w brzuchu. Tkwił tutaj. – Postukał się w skroń wskazującym palcem.

– To kawał, prawda? – odezwała się barmanka. Prawą dłońią poprawiała swe nieskazitelnie czarne włosy. – Robicie mnie w konia! Zmówiliście się, tak?

Milczeli.

- Czekam na cholerne wyjaśnienie! – nalegała dziewczyna.

- Dlaczego cholerne? – zapytał Maciek, wciąż błogo się uśmiechając. Żółtawa bladość

powoli znikąca z jego twarzy.

Barmanka wzruszyła ramionami. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale ubiegł ją nieznajomy:

– A ten drugi?

Pytanie było skierowane do Maćka. Młodzieniec uciekał ze wzrokiem, a jego uśmiech znacznie przygasł.

– Nie wiem... Szucha... to znaczy, Arek... On bywa zawzięty.

– Lepiej, żeby przyszedł. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że dzisiejszy dzień jest ostatnim dniem pracy tej pani jako barmanki.

– Hola! – zaprotestowała zdecydowanie dziewczyna. – Chyba ja sama lepiej... – przerwała, by po chwili zapytać z westchnieniem. – To jakaś nowa sztuczka? Znowu pan zaczyna?

– Czy jeśli... – Maciek nie zwrócił uwagi na jej słowa. Wyczekująco wpatrywał się w twarz mężczyzny przy barze. – To nie minie samo, prawda?

– Nie minie.

– W takim razie chyba po niego pójde. – Maciek kiwnął kilkakrotnie głową. Pociągnął nosem. – Jak zobaczy, że ze mną jest okej... – Uśmiechnął się szerzej.

– Idź. Dobrze by było, gdyby zdążył wrócić.

Maciek westchnął. Zamrugał, po czym, otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie zmienił zdanie. Jednak, będąc już przy drzwiach, odwrócił się.

– Jak pan to zrobił?

– Nie powiem ci – odparł mężczyzna.

Maciek westchnął raz jeszcze, uśmiechnął się przepaszająco i wyszedł.

Przez dłuższy czas posągowa barmanka przypatrywała się w milczeniu samotnemu klientowi herbaciarni, popijającemu wino z gazowanym napojem. On najpewniej czuł na sobie jej wzrok, lecz ani przez chwilę nie dawał tego po sobie poznać. Sączył swój nietypowy napój z aktorską obojętnością.

– Więc jak pan to zrobił? – spytała.

– Już nie myśli pani, że byliśmy w zмовie?

– Sama nie wiem.

– Jak to zrobiłem? – powtórzył mężczyzna z cokolwiek zdziwioną miną. – Mógłbym wyjaśnić to i owo, ale wytłumaczyć... Nie. Tego się chyba nie da wytłumaczyć. Przynajmniej dopóki nie poznamy się lepiej.

Odwróciła się na pięcie i wyprostowała. Rysy sfinksowej twarzy się wygładziły.

– Nie jest pan dla mnie za stary? – powiedziała, wypatrując czegoś za oknem, za którym uśpiona sygnalizacja świetlna mrugała pomarańczowym światłem.

Wcale się nie oburzył, wręcz przeciwnie, znów wyglądał na zakłopotanego. Odstawił ze

stukiem szklanke.

– Boczy się pani – zaprotestował. – Ale to moja wina, jak najbardziej moja, powinienem przewidzieć, że mogę zostać opacznie zrozumiany. Wszystko przez to, że wciąż nie mogę opanować waszego sposobu myślenia...

– Waszego? – podchwyciła słowo.

– Dzisiejszych młodych ludzi.

– Ach! – Zerknęła na jego twarz. – Aż tak stary to znowu chyba pan nie jest. – Przymrużyła powieki, w piwnych oczach zamigotały iskierki. – Tak przed czterdziestką... Nie ma pan jeszcze czterdziestki, prawda?

– Czterdzieści? – zastanowił się. – Prawie pani trafiła.

Zaśmiała się.

– To takie śmieszne?

– Śmieję się, bo pan się zastanawiał. Jak można się zastanawiać nad swoim wiekiem?

Wzruszył ramionami.

– Już nie muszę się śpieszyć z tym winem?

– Nie musi pan.

– To dobrze. Nadal mam nadzieję, że drugi chłopak jednak tu wróci. Wolałbym przy tym być.

Barmanka niecierpliwie pokręciła głową.

– Wyrzuty sumienia?

– Można tak to nazwać. Niepotrzebnie się odzywałem. Powinienem być milczeć. Poniosło mnie, przyznaję. To chyba przez ten alkohol.

Znowu ją rozśmieszył.

– Wypił pan zaledwie dwie lampki wina, w dodatku z mirindą. Co za pomysł pić wino z mirindą?

– To bardzo dobry zestaw. – Popatrzył na swoją szklanke z zawartością koloru gnojówki. – Pewien człowiek twierdził, że wino w Słupsku pije się właśnie w ten sposób. Nabrał mnie?

SOBOTA. Ul. Nowowiejska.

Wyglądał sympatycznie. Twarz miał pogodną, spojrzenie łagodne; szerokie, wyraźnie wykrojone usta naturalnie układały się w ślad uśmiechu. Siedział na ławce przed blokiem i obserwował drzwi do klatki schodowej. Tkwił tu już od dłuższego czasu, choć dzień był pochmurny i zimny, a on nie miał na sobie płaszcza. Przykusa, kraciasta marynarka, z postawionym na sztorc kołnierzem, stanowiła dość wątpliwą ochronę przed niesioną wiatrem mżawką, mimo to nieznajomy nie sprawiał wrażenia przygnębionego swym położeniem. Któż by się domyślił, że z tak nostalgicznym uśmiechem można się zastanawiać, czy poprzedni właściciel marynarki, kloszard spod mostu, przeżył uderzenie w głowę pustą butelką po winie.

Z powodu złej pogody na podwórku było pusto.

W pewnej chwili przez trawnik przebiegł brudny, wychudzony pies, ściskając w pysku starą kość. Nie zwrócił uwagi na samotną postać, zatrzymał się obok ławki i zaczął ogryzać zdobycz. Mężczyzna przez jakiś czas przyglądał się wygłodzonemu czworonogowi, pozornie obojętnie, ale gdyby w tej chwili spojrzął komuś w twarz, ktoś taki natychmiast zorientowałby się, że jest to obojętność udawana. Coś się działo. Coś zmieniało, choć twarz, z daleka, wciąż pozostawała tak samo sympatyczna.

Nagle człowiek obnażył zęby, rozchylone wargi zadrgały, z gardła wydobył się przeciągły, zwierzęcy warkot. Pies odskoczył, jak smagnięty batem. Odwrócił się, skulony, z brzuchem przy ziemi i nisko opuszczonym pyskiem. Zaskomlał, podwijając pod siebie ogon.

Stuknęły drzwi klatki schodowej.

Mężczyzna momentalnie się wyprostował. W ułamku sekundy na jego twarz powróciła poprzednia łagodność. Nonszalanckim ruchem przygładził przemoczone włosy, nie wzbudzając zainteresowania wyłaniającej się zza drzwi pary w średnim wieku.

Zajęci rozmową, zapewne nie zauważyli ani jego, ani uciekającego w popłochu psiaka. Ona niosła kwiaty w szeleszczącym celofanie, on pobrzękiwał samochodowymi kluczami.

Nieznajomy odczekał, aż odjadą, po czym wstał z ławki. Mijając miejsce, w którym podwórkowy kundel porzucił swą śmietnikową kość, raz jeszcze zlustrował opustoszałe podwórko i schylił się, podnosząc oślinioną zdobycz. Schował kość do kieszeni i powolnym, spacerowym krokiem zbliżył się do domofonu. Nacisnął przycisk.

– Słucham? – rozległ się zniekształcony dziewczęcy głos.

– Czy zastałem pana Arkadiusza Szyszko?

– Zaraz... – Stuknęła odkładana słuchawka. Po dłuższej chwili ponownie zachrobotał mikrofon.

– On jest chory – wyjaśniła dziewczynka. – Nie może podejść.

– Proszę mu powiedzieć, że przyszła pani doktor. Proszę powiedzieć, że pani doktor wie, jak

zlikwidować ból.

– Czy...

– Powiedz to bratu, dziecko – nalegał mężczyzna i nagle sympatyczne rysy jego twarzy rozwiały się jak zdmuchnięte wiatrem.

– Powiedz to bratu, bo jak się dowie, że mu nie pomogłaś, może być zły. Wiesz, że potrafi być zły, prawda?

Słuchawka szcęknęła po raz wtóry, bez słowa komentarza.

Czas mijał i nic się nie działo. Nieznajomy czekał wytrwale pod skąpym daszkiem, który, co prawda, chronił przed deszczem, lecz przed wiatrem wcale; czekał i czekał, choć kto inny na jego miejscu pewnie dawno by zrezygnował.

Cierpliwość została wynagrodzona.

– O co chodzi? – usłyszał w domofonie zmęczony, zbolały głos, po którym tylko ktoś, kto bardzo dobrze znał Arka Szyszko, mógł go rozpoznać.

– Pan był dziś rano na pogotowiu?

Gdyby w tej chwili ktoś przechodził obok, na tyle blisko, by usłyszeć te słowa, z pewnością byłby zdumiony. I to wcale nie ich treścią. Byłby zdumiony, widząc mężczyznę, a słysząc kobietę. Lecz nieznajomy, którego głos niespodzianie uległ zadziwiającej metamorfozie, stał samotnie przed klatką schodową, a nieustająca mżawka topiła wysokie tony.

– Tak... Niech was szlag...

– Chyba już wiemy, co panu dolega. – Mężczyzna w kraciatej marynarce posługiwał się kobiecym altem z dużą swobodą. – Mogę wejść?

– Proszę... – Zabrzęczał domofonowy dzwonek, uwalniając zapadkę zamka. Mężczyzna wszedł, lecz nim drzwi się za nim zatrzasnęły, zlustrował uważnie szare podwórko. Nie było tam nikogo.

W połowie pierwszego piętra wyszła mu na spotkanie dziewczynka, wyglądająca na jakieś trzynaście lat.

– A gdzie pani doktor? – zapytała, zerkając podejrzliwie.

– Zaraz będzie. – Głos był znów męski, alt gdzieś przepadł. – Poszła do karetki po lekarstwa.

– Brat kazał ją przyprowadzić. Na drzwiach nie ma numeru mieszkania – wyjaśniła niechętnie. – Często pukają do sąsiadów, więc... – Odsunęła się od nieznajomego, na którego twarzy natychmiast pojawił się przepraszający uśmiech.

– Cóż to, masz mnie za wilka? – zażartował, rozciągając wargi od ucha do ucha. – To prawda, piłem dziś miód, smarowałem łapy ciastem, ale co z pyskiem, moja panno? Czyż tak wygląda wilcze oblicze?

– No nie... – Uśmiechnęła się, nadal z rezerwą, lecz nieco speszona.

– Jestem sanitariuszem – rzekł nieznajomy, poważniejąc. – Przyjechaliśmy pomóc twojemu

bratu. Jest chory, prawda?

– Oj tak! – przytaknęła skwapliwie. – Skarzy się na rękę, strasznie boli, nie wiadomo dlaczego.

– Już wiemy dlaczego – podchwycił mężczyzna. – Prowadź. To nie potrwa długo.

Weszli do mieszkania. Przedpokój był mały i wiódł do drugiego, znacznie większego.

– Arek jest tam – powiedziała dziewczynka, wskazując kierunek ręką.

– Dziękuję – odparł uprzejmie mężczyzna. Wchodząc do pokoju, dokładnie zamknął za sobą drzwi, pozostawiając swą przewodniczkę na zewnątrz, wpatrującą się w żółtawą, nieprzeźroczystą szybę. Wzruszyła ramionami i udała się do swojego pokoiku. Po drodze wyjrzała jeszcze przez judasza na klatkę schodową.

Ani śladu pani doktor.

– Dzień dobry! – powiedziała kobieta. – Masz bardzo miłą siostrę.

Arek wzruszył ramionami i zaraz się skrzywił, żałując tego odruchowego gestu. Siedział w fotelu i palił papierosa, trzymając go dość niezdarnie między palcami lewej ręki. Prawą miał podkuloną, opartą na elektrycznej poduszce, której przewód biegł przez cały pokój, do gniazdka przy telewizorze. Na podłodze leżał porzucony termofoz i jakieś kartonowe opakowania. Pachniało eterycznymi olejkami. Telewizor był włączony, a na ekranie Monika Olejnik torturowała kolejnego masochistę, jednego z tych dziwaków, którzy – robiąc polityczne kariery – do studia na Woronicza przybywają dobrowolnie.

– Wciąż boli?

– Jak cholera... – wysyczał Arek przez zaciśnięte zęby.

– Jeśli mi zaufasz, zaraz przestanie.

Arek wstał. Nie krył zaskoczenia. Kobieta była bardzo wysoka, niemal dorównywała mu wzrostem, ale dość ładna, choć niemłoda, i bardzo dziwacznie ubrana. Skrojone po męsku spodnie mogły jeszcze ująć w tłoku, ale ta kraciasta marynarka?!

– To nie pani mnie przyjmowała na pogotowiu... – zauważył. – Skąd...?

– Na twoje szczęście przejęłam dyżur. Niekompetentna kurwa, którą miałeś okazję poznać, poszła do domu. Powinni ją zwolnić, pozbawić prawa do wykonywania zawodu, nie uważasz?

Arek aż przysiadł z wrażenia.

– Kim pani jest? – zapytał, ogarniając wzrokiem zmysłową twarz nieznajomej, zatrzymując spojrzenie na kruczoczarnych włosach. – Nie ma pani fartucha... – dodał po chwili.

– Fartucha nie mam, a mimo to jestem twoją lekarką. Bo jak inaczej nazwać kogoś, kto potrafi uśmierzyć twój ból? I to szybciej niż śmiałybyś zamarzyć?

Arek wyprostował się. Przeciągnął dłonią po wymizerowanej twarzy.

– Nie podoba mi się to – rzekł, przeciągając sylaby.

– Nie podoba ci się, że chcę pomóc?

– Ależ skąd, nie to. – Nieoczekiwanie chłopak zmieszał się.

Nagle syknął.

– Boli?

– Boli.

– To straszne.

– Straszne – potwierdził. – Kiedyś słyszałem, że człowiek do wszystkiego może się przyzwyczaić, ale przecież nie do takiego cholernego... – Nagle zamilkł, przez cały czas wpatrzony w oczy lekarki.

– Co się stało?

Milczał. Zmęczona twarz zrobiła się jeszcze bardziej blada.

Cofnął się o krok.

– Ach, przypominam ci kogoś. – Zaśmiała się głośno. Gdyby ktoś stał za drzwiami, mógłby pomyśleć, że dobrze się bawią. – Już sądziłam, że nigdy tego nie zauważysz?

– Tak... – potwierdził cicho, właściwie szepcząc.

– Tę barmankę? – stwierdziła raczej, niż zapytała.

Cofnął się jeszcze bardziej, gniewiony niepokojem, zupełnie nie pamiętając, że jest młodym, wysportowanym, atletycznie zbudowanym mężczyzną, któremu w kaszę dmuchać może najwyżej własna matka, a i to nie za często.

– Barmankę – kontynuowała kobieta. – Tyle, że jakieś piętnaście lat starszą. Piętnaście lat to dla niewiasty kawał czasu, ale przyznasz chyba, że jeszcze niezła ze mnie laska, co? Powiem ci jeszcze coś, drogi chłopcze: ja tylko wyglądam na te swoje trzydzieści pięć, no dobra, niech będzie, na czterdzieści wiosen.

Gdybym Ci powiedziała, ile mam naprawdę, musiałbyś cofnąć się jeszcze dalej, a tam jest już tylko ściana.

Arek ocknął się. Mocno potrząsnął głową.

– O co tu chodzi?! – wydukał.

– Nie bój się – odparła. – Przecież to oczywiste, że nie jestem tamtą barmanką. Ja tylko tak wyglądam. Nie wygląd świadczy o człowieku, znasz ten naiwny tekst?

– Dlaczego miałbym się bać? – spytał ponuro.

– Doskonale. – W kobiecym głosie brzmiało zadowolenie. – W takim razie pewnie się dogadamy.

– Dogadamy?

– No chyba nie myślisz, że wyleczę cię za darmo?

– Nie za darmo?

– Do diabła! – zniecierpliwiła się kobieta. – Co to? Wyżarło ci szare komórki czy postanowiłeś udawać magnetofon?

Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc sobie w oczy.

– Jak pani chce to zrobić? – odezwał się Arek. – Tamten facet w herbaciarni powiedział...

– Tamten facet to psychol – przerwała mu. – Chyba nie wierzysz w takie bajki? – Przechyliła głowę, przyglądając się mu ironicznie.

– No, nie wiem... – Zarumienił się jak dzieciak. – Ale rozmawiałem z Maćkiem, on...

– Maciek? Masz na myśli tego żalostnego mięczaka? – Kobieta przeciągnęła się leniwie. Spod poły marynarki nieoczekiwanie wyskoczyły dość kształtne piersi, zakryte jedynie czerwonym podkoszulkiem. – Czyżbyś postanowił zachować się równie niegodnie jak ta imitacja mężczyzny?

– Oczywiście, że nie! – zaprotestował energicznie Arek. – To tamten facet powinien przeprosić mnie, psia jego mać! Ale... – Powoli wypuszczał ustami powietrze. – Ten ból... wcale nie mija... Jest nie do zniesienia... Ja nie spałem ani minuty, nie wiem, czy w ogóle można z tym zasnąć?

– Nie da się – skonstatowała kobieta.

– Co?

– Z tym nie da się zasnąć – sprecyzowała z bezlitosną obojętnością. – Można najwyżej stracić przytomność. Z powodu wyczerpania organizmu. A jak się obudzisz, będzie jeszcze gorzej.

– Co pani mówi? – Arek wytrzeszczył oczy.

– Siadaj! – Popchnęła go energicznie, wprost na fotel. Pochyliła się nisko i dmuchnęła, prosto w potarganą grzywkę włosów.

– Uświadamiam ci – powiedziała, patrząc mu zalotnie w oczy – że masz dwa wyjścia. Albo pójdziesz przeprosić zhańbioną niewiastę – zachichotała jak nastolatka – chociaż doprawdy, trzeba być wyjątkowym idiotą, żeby wierzyć w te banialuki, ALBO... – zawiesiła głos – pozwolisz wyleczyć się mnie, swojej wybawicielce, przewodniczce, a może i, któż to wie, kochance.

– Kochance? – wyjąkał Arek, niepomny na wcześniejsze porównanie z magnetofonem.

– A co? Nie podobam ci się? Czyżbyś uważał, że je...

– Mogę prosić panią Szyszko? – Patrycja leżała na tapczanie, trzymając w ręku bezprzewodowy telefon. Mówiła ściszym głosem. Drzwi pokoju były zamknięte.

– Mama? – upewniła się, słysząc kobiecy głos. – Nie... – zaprzeczyła – w zasadzie to nic... chociaż nie wiem... Posłuchaj, mam – podjęła, ucinając kolejne pytania. – Dzwonię, bo dzieje się coś dziwnego. Do Arka przyjechało pogotowie i... Poczekaj! Przecież mówię, że właściwie nie stało się nic takiego... Nie pogorszyło mu się, chyba nie, ale...

Patrycja westchnęła, przewróciła oczami i odsunęła od siebie słuchawkę. Po dłuższej chwili

zbliżyła ją ponownie.

– Tak – powiedziała nad wyraz zdecydowanie. I głośno.

Z przestrachem popatrzyła na drzwi. – Wpuściłam tylko jakiegoś faceta, sanitariusza, za chwilę miała przyjść lekarka, ale... nie przyszła. Oni rozmawiają już prawie pół godziny, a jej nie ma.

Ale nie o to chodzi... Ja...

Wciąż patrzyła na drzwi. Kiwnęła głową, raczej do samej siebie, upewniając się co do słuszności podjętej decyzji, gdyż po drugiej stronie linii panowała cisza.

– Z pokoju Arka dochodzi głos kobiety – wypaliła.

– Oczywiście, że jestem pewna, nikogo więcej nie wpuszczałam – Ani Arek... Och, mammo! Nie jestem idiotką! Tam jest kobieta!

– Mammo – nieoczekiwanie jej głos załamał się. – Ja się boję.

W oczach dziewczynki pojawiły się łzy.

– Przyjeżdżajcie – wykrztusiła ze ściśniętym gardłem. – Wracajcie z tych cholernych imienin!

– Czyżbyś uważał, że jestem dla ciebie za stara?

– Ależ – usiłował sprostować Arek, ale kobieta powstrzymała go, zakrywając mu usta dłonią.

– No dobra – powiedziała lodowatym głosem. – Dość przekomarzania. Chcesz być zdrowy czy nie? Odpowiadaj. Krótko. Jak mężczyzna.

Wyprostowała się, patrząc na Arka z góry.

– Chcę – odpowiedział.

– Ból sam nie minie, takich cudów nie ma. – Zawahała się. – Ale są inne. Możesz go przekazać.

– Co zrobić?

– Przekazać ból komuś innemu. Komuś, kogo... hm... kochasz, jeśli zabieg ma być skuteczny.

Arek milczał. Iskry niepokoju, które od pewnego czasu migąły w jego oczach, uspokoiły się i zbladły. O ile wcześniej kilkakrotnie przemykało mu przez myśl, że może cierpienie wpędza go w jakieś szaleństwo, teraz nagle zrozumiał to, co powinien był wiedzieć od samego początku. Prawdę oczywistą. Ma przed sobą wariatkę.

– Nie patrz na mnie w taki sposób – warknęła. – Nigdy więcej tak nie rób!

Arek jęknął i skulił się w fotelu. Nagle rzucił się w bolesnym spazmie; uniósł rękę i rozpaczliwie przytulił do brzucha.

– Możesz oczywiście ją amputować – powiedziała kobieta. – To również jest jakiś sposób na twój problem.

Znów się pochyliła.

– Ale na twoim miejscu nie liczyłabym na taką łatwiznę. Zresztą – miły uśmiech powrócił na jej twarz – żadne ambulatoryjne badanie nic tu nie wykaże. A gdzie we współczesnym, zdegenerowanym świecie znajdziesz lekarza, który zechciałby amputować pacjentowi zdrową kończynę?

– Boli jeszcze bardziej! Co mi zrobiłaś?!

– Ja? Przecież nawet cię nie dotknęłam. Po prostu przedtem trochę ci ulżyło, bo bardzo się starałam. Teraz się nie staram, teraz radzisz sobie sam.

– Jezu!

– Nie płacz. – Nieoczekiwanie w głosie kobiety pojawiło się współczucie. – W końcu nie jesteś byle mydłkiem. Gdybyś nim był, dawno przeprosiłbyś piękną barmankę. A swoją drogą, rzeczywiście jest taka piękna?

Arek nie odpowiedział. Zamknął oczy i zaczął kiwać się w fotelu.

– Rozumiem. – Kobieta skinęła głową. – Nie jesteś w nastroju do konwersacji. No dobrze. Zatem przemyśl, co ci powiedziałam. Wybierz osobę, którą kochasz, i zgłoś się do mnie. Jutro o dwunastej będę w herbaciarni. I bądź punktualny, bo pięć po dwunastej wychodzę. Pa! – Przesłała mu pocałunek, dotykając środkowym palcem swych pełnych warg. – Pa!

Arek odprowadzał ją wzrokiem zbitego psa, lecz na tyle jeszcze hardego, że jego oczy wciąż lśniły fioletem.

– Kim jesteś, do cholery?! – zawołał.

Odwróciła się, już z ręką na klamce.

– Tyle jest ważnych pytań na świecie, a ty akurat uczepiłeś się jakiejś błahostki. Cóż za intelektualne marnotrawstwo.

Będąc już w przedpokoju, zatrzymała się przed drzwiami do pokoju Patrycji. Po chwili wahania nacisnęła klamkę. Nie weszła do środka, wsunęła tylko głowę i... popatrzył na leżącą na tapczanie dziewczynkę, wpatrującą się w niego szklanymi oczami, ściskającą przenośny telefon, jakby był jej ukochanym misiem.

– Boisz się mnie, prawda? – powiedział mężczyzna, zniżając konspiracyjnie głos. – Wyczułem twój strach przez drzwi. To miłe z twojej strony. Bardzo miłe. Ale coś ci powiem. Nie lubię dziewczynek, które nie potrafią rozpoznać wilka na pierwszy rzut oka. Eee... – nieoczekiwanie machnął ręką – co mi tam, wyznam ci coś więcej. Ja w ogóle nie lubię dziewczynek.

Wycofał się i zamknął drzwi. Podszedł do wyjścia, przekręcił obrotowy zamek i wyszedł na klatkę schodową. U dołu ktoś wciskał domofon. Dzwonek dzwonił mu za plecami.

Państwo Szyszko, wracający przedwcześnie z imieninowego przyjęcia, nie zauważyli mężczyzny w ekstrawaganckiej, przykrótkiej marynarce w kratę, który przyczał się na półpiętrze

powyżej ich mieszkania. Oczekał, aż wejdą, po czym zbiegł pośpiesznie na dół, zwinnie i lekko. Cichuteńko, niczym leśny zwierz.

NIEDZIELA. Hotel Asystenta.

Sen Magdy Papisten był koszmarem. Uciekała. Najpierw nie wiedziała przed czym (przed kim?), ale to nie było ważne, liczył się strach, dławiący lęk. Ucieczka. I nagle już wiedziała: goni ją wilkołak, czy raczej stwór do niego podobny – człowiek z twarzą porośniętą czarnym włosiem i z dolną szczęką wysuniętą do przodu jak szuflada. Szcherzył kły i śmiał się. Śmiech był ludzki, podobnie jak reszta postaci potwora; chwilami sierść znikwała z groźnego oblicza, a szuflada zasuwawała się, zajmując przynależne zuchwie miejsce – ale tylko wówczas, gdy ustawał zadyszany śmiech. W tych krótkich momentach pojawiała się zwyczajna męska twarz, straszna jedynie dlatego, że Magda wiedziała, w co się zaraz zmieni.

W końcu zdołała dobiec do najbliższego budynku; drzwi jakimś cudem dały się otworzyć, zatrzasnęła je za sobą. Zbiegła na dół po schodach, w pierwsze z brzegu otwarte wejście. Stopni było dużo; zadyszała się, nim dotarła na sam dół, potem do jakiegoś piwnicznego pomieszczenia, w którym żarzyła się mała nocna lampka – ale przynajmniej nie było w nim ciemno. Zamknęła się w środku; drzwi miały zasuwkę i łańcuch, jak w kuszetkach lub starych mieszkaniach. Napięcie powoli opadało. Uspokajała się. Podeszła do okna. Znajdowała się wysoko, przynajmniej na pierwszym piętrze. Na zewnątrz księżyc jasno oświetlał podwórko i brukowaną ulicę po prawej stronie. Był to znajomy widok, lecz nie potrafiła uzmysłwić sobie, skąd go zna.

Pod oknem stał mężczyzna.

Przerażenie powróciło. Wtargnęło dreszczem, arktycznym zimnem, uderzeniem serca jak spiżowy dzwon.

Prześladowca.

Był ubrany w marynarkę nieokreślonego koloru, słabo widoczną w mroku, ale krata odznaczała się wyraźnie na jasnym tle. To właśnie po tej marynarce go rozpoznała. Twarz miał zwyczajną – już nie wilkołacza, jak wcześniej, lecz ludzką. Wtem uniósł głowę i spojrzał wprost na nią. Nie zdążyła odsunąć się od okna.

Obudziła się z krzykiem.

Z krzykiem obudził się również Eugeniusz Nowicki, dwudziestoosmioletni asystent Zakładu Filologii Polskiej w Pomorskiej Akademii Pedagogicznej, chociaż jego akurat nie dręczył żaden koszmar. Każdy by się obudził, gdyby ktoś znieacka wrzasnął mu prosto w ucho.

– Co się stało?! – zapytał nadzwyczaj trzeźwo. Widać sposób, w jaki został wyrwany ze snu, wystarczająco go ocucił.

– Przepraszam. – Magda odetchnęła z ulgą. – Okropny sen.

Brr... – Zatrzęsła się i przytuliła do Eugeniusza.

Magda Papisten była studentką czwartego roku filologii polskiej na Akademii Pedagogicznej. W zasadzie mieszkała w akademiku, ale od tygodnia miała nowego faceta, właśnie Eugeniusza,

drugiego w swoim życiu, ale – już była tego pewna! – nie ostatniego. Po pierwszej fascynacji przyszło rozczarowanie.

Gdyby się pojawiło po roku, no, choćby po miesiącu znajomości, mogłaby się łudzić jeszcze, że to chwilowy kryzys. Ale rozczarować się facetem po tygodniu?

Sama nie wiedziała, dlaczego przyszła do niego dzisiejszej nocy. Tak jak nie wiedziała, że za kilka godzin okaże się to nadzwyczaj szczęśliwą decyzją.

Magda Papisten nie zdawała sobie jeszcze sprawy, czym jest kobiecy instynkt.

– Muszę się napić – powiedziała i wstała. Poszła do kuchni, będącej przedłużeniem pokoju. Hotel Asystenta pozostawał dla wielu pracowników PAP domem, co jednak nie zmieniało faktu, iż był tylko hotelem, więc i metraże były tu hotelowe.

Było duszno, więc wracając zatrzymała się przy oknie i aż podskoczyła, wybałuszając z przerażenia oczy. Odruchowo zakryła ręką nagie piersi.

Na zacienionym podwórku, dokąd docierały tylko strzępy światła latarni z ulicy Raszyńskiej, stał mężczyzna. Gdyby nie księżyc, wyjątkowo jasny dzisiejszej nocy (i gdyby nie sen), może by go nawet nie zauważyła. Miał na sobie marynarkę w kratkę.

„Wcale się nie obudziłam” – pomyślała dziewczyna. Odwróciła się i zobaczyła w łóżku Eugeniusza, już chyba z powrotem pogrążonego we śnie, skulonego, z jedną nogą wystawioną na zewnątrz, do wysokości nagiego pośladka.

Wróciła spojrzeniem do okna. Potwór ze snu patrzył wprost na nią. Ręce trzymał w kieszeniach.

Oddech Magdy stał się głośny i świszczący. Spazmatyczny, jak u małego dziecka, które nagle zorientowało się, że zostało zupełnie samo w nieprzyjaznym lesie.

– Ge... nek!

Eugeniusz Nowicki ocknął się z półsnu. Jego fantastyczna kochanka była doskonale widoczna na tle jasnego, pozbawionego firanek okna. Przez chwilę przyglądał się dziewczynie w skupieniu, wsłuchany w dziwny dźwięk, którego źródła nie był zdolny zidentyfikować. Dopiero gdy dostrzegł ruch ramion, wstrząsanych cichym spazmem, zorientował się, co to oznacza.

Wyskoczył z łóżka i podszedł do niej. Ostrożnie dotknął nagiego ramienia. Dziewczyna drgnęła i Eugeniusz poczuł się tak, jakby w rozgrzanej snem dłoni trzymał kawałek lodu. Na moment jej oczy stały się wielkie i okrągłe; oczy zająca, którego dopadł wściekle głodny drapieżnik.

Zwiotczała w jednej chwili, padając w ramiona Eugeniusza.

Ścisnęła go mocno, zachłannie, aż poczuł ból, jednak nie protestował, wręcz przeciwnie, stwierdził, że sprawia mu to przyjemność.

– Co się stało? – zapytał cicho, czując wyraźnie, jak dziewczyna dygocze.

– Jest tam jeszcze?

– Kto?

– Ten... facet. – Wciąż wtulała twarz w ramię Eugeniusza.

Powoli wyciągnął nieco szyję i spojrzał na podwórko. Zobaczył mężczyznę, stojącego w dość swobodnej pozycji, z rękami wbitymi w kieszenie marynarki. Było wystarczająco jasno, by stwierdzić, że z pewnością nie jest to żaden z mieszkańców hotelu, który, nie mogąc spać, wyszedł na spacer.

Co ktoś obcy robi tu o czwartej nad ranem?

– Pewnie na kogoś czeka – odpowiedział i sobie, i Magdzie. – Przyszedł do kogoś w odwiedziny i czeka, aż zejdzie na dół.

– Odwiedziny w środku nocy? – Ani myślała się odwrócić i zwolnić uścisku ramion.

– A ty co tutaj robisz? – uświadomił jej, żartobliwie się uśmiechając. – Po prostu na niektóre sprawy noc jest miłsza niż dzień.

Eugeniusz Nowicki nadal się uśmiechał, ale im dłużej patrzył na stojącego w dole człowieka, tym mniej mu się to podobało.

Zwłaszcza że w pewnej chwili mężczyzna szybkim ruchem uniósł głowę i spojrzał dokładnie w jego stronę. Jak gdyby doskonale wiedział, że jest obserwowany, i chciał zaskoczyć podglądacza. Asystent poczuł nieprzyjemny dreszcz.

Skąd wiedział gdzie patrzeć? Dlaczego z dziesiątków okien wybrał właśnie to jedno?

Mocniej objął Magdę i odsunął się od okna.

– Chodź do łóżka – powiedział.

– Nie trzeba się tak bać – uspokajał dziewczynę, kiedy już leżeli. – Nawet jeśli to złodziej, to przecież nie przyjdzie obrobić uczelnianego asystenta, chyba nie jest idiotą. Lepiej napaść starszuskę emerytkę, zysk podobny, a fatyga mniejsza.

– Nie wiedziałem, że jesteś taka strachliwa – dodał z lekkim rozdrażnieniem, gdy nie zareagowała.

– To on mi się śnił – powiedziała Magda nadspodziewanie spokojnym głosem. Odwróciła się na wznak i wpatrywała w sufit.

– Co?

– Gonił mnie... Ja jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam. Co za koszmar! – Odetchnęła głęboko. Raz, a potem drugi.

Eugeniusz milczał. Podparł się na łokciu, usiłując zajrzeć w załzawione oczy Magdy, ale ona nie odwzajemniła spojrzenia. Nie odrywała wzroku od sufitu.

– Miał czarną twarz – oznajmiła.

Wzruszył ramieniem.

– To tylko sen. Nie możesz się tak przejmować tylko dlatego, że przez przypadek ktoś

podobny pojawił się na podwórku.

– Nie jest podobny. To ten sam człowiek.

Pochylił się jeszcze bardziej, ale oczy Magdy pozostawały nieruchome, utkwione w sufitowych współrzędnych. Poczł się nieco zirygowany. Ta dziewczyna właściwie od początku (to znaczy – mówiąc ściślej – od pierwszej wspólnej nocy, których były raptem trzy) w jakiś sposób go irytowała. Ale brnął w ten romans (wykładowca/studentka, numer stary jak historia szkolnictwa wyższego), uznając, że jego walory górują nad wadami. W swoim życiu ogólniakowego kujona, potem dość wybitnego studenta i niedosłego twórcy robionego w ślimaczym tempie doktoratu, z szansą obrony graniczącą z boskim cudem (opinia promotora) – zatem w całym tym niedługim, lecz pracowitym życiu nigdy jeszcze nie był z tak ładną dziewczyną. W dodatku nie pozostawał odosobniony w jej ocenie; podobne zdanie miała męska większość naukowych pracowników uczelni, a nic tak nie napawało dumą i zadowoleniem Eugeniusza Nowickiego, jak podziw kolegów.

– W moim śnie miał czarną twarz – powtórzyła Magda Papisten.

– Czy był Murzynem?

Głowa Magdy wykonała powolny obrót w stronę Eugeniusza.

Do ciemnych oczu wreszcie wróciło życie.

– Czy jesteś idiotą? – zapytała bezlitośnie.

Eugeniusz Nowicki opadł na poduszkę. Lekka irytacja zaczęła przeradzać się w coś więcej, więc wołał leżeć. Do jego uszu dotarł śmiech, najpierw cichy, urywany, w końcu przechodzący w historyczny chichot. Magda usiłowała powstrzymać ten atak, lecz na próżno; napięcie znalazło nagle ujście, wyrzucała je z siebie wielkim wodospadem, nie do zatrzymania, dopóki zbiornik nie ulegnie opróżnieniu.

– Przepraszam – powiedziała, wciąż jeszcze krztusząc się ostatnimi strumykami. – Nie wiem co mi się stało. – Otarła spływającą z oka łzę. – Naprawdę nie wiem... Murzynem... – Znów zapięła wysoko. Usiadła na łóżku, odgarniając włosy i wreszcie się uspokoiła. – No już! Chyba mi przeszło. Uff...

Przez cały ten czas Eugeniusz Nowicki leżał nieruchomo.

Teraz on gapił się w sufit. Co pewien czas próbował się uśmiechać, lecz było to tylko krzywienie warg, maskujące odmienny stan ducha.

– Przepraszam – powtórzyła Magda.

Nowicki milczał.

Przez jakiś czas milczeli oboje, zatopieni każde w swoich myślach, zupełnie odmiennych i zupełnie innej rangi.

– Mógłbyś zobaczyć, czy jeszcze tam stoi? – odezwała się Magda.

– Uhm... – Wstał i podszedł do okna, odznaczającego się coraz wyraźniej na tle ciemnej

ściany pokoju. Świtało.

Nieznajomy biegł. Gdyby Nowicki spojrział trzy sekundy później, pewnie już by go nie zobaczył. Dziwne było to, że pędził wprost na ogrodzenie, wykonane dość niedbale z metalowej siatki przypiętej do rdzewiejących słupków. Naprawdę pędził! Nie wiadomo dlaczego skojarzył się Eugeniuszowi z rozwścieczonym rottweilerem, rzucającym się na płot, odgradzający go od właściwego celu. Może dlatego, że kiedyś sam miał takiego psa, czterdziestokilogramowego bydlaka, utrapienie rodziny.

(Jeszcze tej niedzieli, około południa, wysokość ogrodzenia miała zostać zmierzona bardzo dokładnie przez funkcjonariusza policji, Karola Szydłę. Pomiar wykazał sto sześćdziesiąt trzy centymetry. W kłębie, jak się wyraził funkcjonariusz, mając na myśli to, że zignorował wystające przynajmniej na kilka centymetrów wyżej druciane końcówki. Liczba ta została wpisana skrupulatnie do służbowego notatnika).

Eugeniusz Nowicki nie wierzył własnym oczom. Mężczyzna przeskoczył przez płot. I to bez wahania, profesjonalnie, jak zawodnik na sportowym stadionie, nawet nie muskając sterczących drutów.

– Flopem? – zapytał kilka godzin później Karol Szydło, zagorzały kibic lekkoatletycznej sekcji klubu „Gryf.

– Nie – zaprzeczył Nowicki. – Jakimś takim szpagatem. Wie pan, tak jak ci, co biegają na sto metrów przez płotki.

Szpagatem! Karol Szydło westchnął. Ci młodzi nie mają zielonego pojęcia o sporcie.

Ale to wszystko miało wydarzyć się około dwunastej, teraz był świt i ani Eugeniusz Nowicki, ani Karol Szydło, pochrapujący przy boku otyłej małżonki (zawsze chrapał, jego matka przysięgała, że robił to nawet w kołysce), nie mieli pojęcia, że będą ze sobą rozmawiali. O tej rannej godzinie zagadkowy nieznajomy przesadził ogrodzenie iście sarnim skokiem; przy lądowaniu zachwiał się nieznacznie, gdy noga utkwiała mu w błocie, po czym zniknął za pobliskim budynkiem.

Zdezorientowany Nowicki otworzył okno i wyjrzał, nie przejmując się chłodem ani faktem, że goły był jak święty turecki.

Podwórze ziało pustką i ciszą. Ktoś jednak stał tuż za bramą – szczupły mężczyzna w obcisłych dżinsach i krótkiej skórzanej kurtce. Chyba nie widział wyglądającego z okna na pierwszym piętrze asystenta. Najwyraźniej jego wzrok był skupiony na miejscu, gdzie zniknął człowiek w kraciastej marynarce. Pewnie – podobnie jak Nowicki – był zaskoczony tym iście cyrkowym wyczynem. Najpewniej tak było. Ale nieco później Eugeniuszowi przysłała do głowy inna możliwość.

Być może ten facet uciekał właśnie przed mężczyzną w skórze?

– Hej!

Eugeniusz drgnął i odwrócił się.

– Jest? – ponagliła zniecierpliwiona Magda, nakryta kołdrą po samą szyję.

Nowicki zamknął okno.

– Pusto – oznajmił. – Poszedł sobie. Po strachu.

– Może dla ciebie – odpowiedziała Magda, patrząc ze smutkiem na swego kochanka (eks-kochanka, teraz była tego pewna na sto procent!) – bo ja nie wiem czy kiedykolwiek uda mi się o nim zapomnieć.

Z hotelu odważyła się wyjść dopiero dwie godziny później, gdy słońce weszło na dobre, a parafianie podążali ulicą Raszyńską w dół, na poranną niedzielą mszę, do kościoła Serca Jezusowego, wzywani donośnym biciem dzwonu. Przyłączyła się do nich, choć w kościele nie była od dobrego roku. Pragnęła spokoju i towarzystwa dobrych ludzi. Dostała i jedno, i (przynajmniej taką miała nadzieję) drugie.

A potem poszła prosto do pracy. Kto wie, jak potoczyłyby się dalsze wydarzenia, gdyby wróciła przedtem do Domu Studenta, do pokoju, który dzieliła z koleżanką z tego samego roku, i którą – na pierwszej stronie poniedziałkowego wydania „Głosu Pomorza”, w artykule zatytułowanym „Jatka w akademiku” – wymieniano jako Beatę K.?

NIEDZIELA. Zamek Książąt Pomorskich.

Zegar pokazywał ósmą dziesięć. Bez wątpienia była to wczesna pora, zważywszy na niedzielę i na fakt, iż Muzeum Pomorza Środkowego otwierano o dziesiątej. Zenon Gadowski, niegdyś jeden z rzeszy etatowych nocnych stróżów na zamku, teraz pracownik firmy ochroniarskiej „Jantar”, spoglądał przez zakratowane okienko w masywnych, inkrustowanych metalem drzwiach.

– O! – Ucieszył się. – Witam pierwszą czarownicę Rzeczpospolitej. Mamy dziś tłok z samego rana.

– Dzień dobry, panie Zenonie. – Magda z dość niepewną miną obejrzała się przez ramię.

– Stało się coś? – zapytał strażnik, dostrzegając niepokój dziewczyny.

– Nie, nic. Chyba nic, ale... – Przekroczyła wysoki próg. Zatrzymała się, spoglądając niepewnie na mężczyznę. – Mam prośbę, panie Zenonie. Może pan zobaczyć, czy ktoś za mną nie idzie?

– Fiuuu... – Strażnik gwizdnął przeciągle. – Natarczywy narzeczony?

– Nie mam narzeczonego.

– Ja tylko tak... – speszył się. – Żartowałem. Oczywiście, że zaraz to sprawdzę.

Wyszedł na zewnątrz, zlustrował przedzamkowy plac, ześlizgując się spojrzeniem po pruskich murach dworku, po mostku przy wodnym młynie, aż po na wpół abstrakcyjną rzeźbę dwóch biegnących dzików. Nie zobaczył nic podejrzanego. Ani żywego ducha, nie licząc starszej pary, zmierzającej na mszę do położonego naprzeciwko kościoła św. Józefa. Na wszelki wypadek wyjrzał za lewy winkel – pusto było również na podwórzu hotelu „Zamkowy”, wybudowanego sporo po wojnie i architektonicznie niemającego nic wspólnego z siedzibą księcia Bogusława. Zdaniem Zenona hotel pasował tu jak końskie odchody do zadbanego trawnika. Strażnik czytał gdzieś, że „artysta”, który zaprojektował ten klockowaty budynek, został po upadku komuny surowo osądzony i do dzisiaj odsiada je kilkunastoletni wyrok w więzieniu w Czarnem. Zresztą razem z miejskim architektem, współtwórcą radosnego blokowiska pomiędzy murem obronnym a ulicą Mostnika.

– Nic się nie dzieje – poinformował wyczekującą cierpliwie Magdę. – Jeśli ktoś nawet próbował panią śledzić, to się zniechęcił.

– Dziękuję – odpowiedziała dziewczyna. – To idę się przebrać – dodała. – A, zaraz... – Zatrzymała się. – Mówił pan coś o tłoku. Jest już ktoś?

– Pani Witkacy.

Magda nie kryła oburzenia.

– Wstydziłby się pan, panie Zenku. Takie żarty nie na miejscu!

Ochroniarz otworzył szeroko usta i zastygł tak, w szczerym zdumieniu, godnym

najwymyślniejszej postaci z rysunkowego filmu Disneya. Ale ona już tego nie widziała, przeszła obok stanowiska szatniarek, pustego jeszcze o tej porze, i przekroczywszy próg drewnianych drzwi koloru nasyconego mahoni udała się na zaplecze.

Pani Witkacy była do niedawna szefową nieformalnej grupy operacyjnej, zajmującej się gromadzeniem i konserwacją dzieł Stanisława Ignacego Witkiewicza, znanego w pewnych kręgach jako pisarza i portrecistę, w innych jako „alkoholiste” – lecz w każdym z nich pod wpadającą w ucho ksywką: Witkacy. Zespół nie był zbyt liczny, lecz nadzwyczaj efektywny. W jego skład wchodził: szefowa, dyrektor muzeum i kilku anonimowych biznesmenów, wykładających co jakiś czas wcale niebagatelne sumy na zakup nowych obrazów artysty. W ten sposób rosła w siłę chluba Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku – największa w Polsce (i na świecie) kolekcja dzieł Witkiewicza, który, nim odszedł z tego padółu, pozostawił wiele śladów swego malarskiego, rysunkowego, fotograficznego i literackiego talentu.

Magda otworzyła szafkę i wyjęła swój służbowy kostium. Nie potrafiła powstrzymać oburzenia, wywołanego prymitywnym, cynicznym żartem strażnika.

Pani Witkacy – pracująca dorywczo Magda nie pamiętała prawdziwego nazwiska kierowniczk, w myślach identyfikując ją z obiegowym przezwiskiem – nie żyła. Odeszła w zeszłym tygodniu, w sposób, o jakich codziennie czytuje się w gazetach, niespecjalnie biorąc to do siebie. Jej skoda fabia nie pokonała zakrętu zgodnie z przewidywaniami budowniczych drogi Słupsk – Ustka i w konsekwencji wylądowała na pniu przydrożnego dębu, grzebiąc w oblachowaniu swoją właścicielkę.

Minęło zaledwie kilka dni, a tu takie bezduszne dowcipy...

Magda westchnęła do własnych myśli.

Wyjęła z torebki kosmetyki, usiadła przed lustrem, niczym aktorka przed spektaklem, i rozpoczęła makijaż. Zajął jej to dobre kilka minut, bo chociaż w rezultacie twarz i tak miała być ukryta za czarną woalką, to jednak cały efekt w tym, co ledwie dostrzegalne, co pobudza wyobraźnię niedopowiedzeniem szczegółów.

Magda była upiorem. Duchem księżniczki Anny Gryfitki, żony księcia Ernesta de Croy i Arschott, a później wdowy po nim, gdyż małżonek poległ w czasie wyprawy wojennej pod Oppenheim nad Renem, po niespełna rocznym pożyciu. Magda wygrała casting na tę „rolę”, ogłoszony w zeszłym roku przez muzeum w celu ściągnięcia większej liczby turystów. Dzięki temu – a przede wszystkim dzięki cosobotniej pracy barmanki w herbaciarni w Spichlerzu Richtera – mogła kontynuować studia w Pomorskiej Akademii Pedagogicznej, zachowując status dziennej studentki i miejsce w akademiku.

Przejrzała się w lustro, odchodząc najdalej, jak pozwalały skromne gabaryty pomieszczenia. „Doskonale!” – pomyślała z satysfakcją. – „Samemu można się wystraszyć”.

Weszła na górę, na pierwsze piętro, ignorując strażnika Zenona spoglądającego za nią

melancholijnie.

– Cześć – powiedziała, przechodząc obok rycerskiej zbroi maksymiliańskiej (XVI wiek), stojącej pod okiennym wykuszem, należącej niegdyś – sądząc po rozmiarach – do wyjątkowego kurdupla.

Kurdupel ani drgnął.

Za to w sąsiedniej sali zaskrzypiała szafa.

W zasadzie nie ma nic dziwnego w tym, że stare szafy skrzypią, szczególnie zabytkowe – mimo to ów dźwięk zaniepokoił Magdę.

Sęk w tym, że wszystkie muzealne szafy miały zablokowane drzwiczki i szuflady, co stanowiło pewne zabezpieczenie przed wścibstwem zwiedzających. Niełatwo było je otworzyć, a już z pewnością nie mogły otworzyć się same. Skąd więc skrzypienie zakłócające muzealną ciszę? Zaciekawiona Magda odchyliła zakrywającą twarz czarną woalkę, zarzucając ją sobie na tył głowy, i wkroczyła do komnaty.

Prawe drzwi intarsjowanej szafy, absolutnie nie wyglądającej na swoje czterysta lat, zatrzasnęły się w ułamku sekundy. Jakby mebel nagle ożył i wystraszył się wtargnięcia upiora, któremu odsłonięta woalka odejmowała może nieco tajemniczości, lecz za to niecodzienny makijaż dodawał grozy.

– Kto tu jest?! – zawołała dziewczyna, nagle wystraszona.

Poczuła chłód. Ledwie się powstrzymała, żeby nie uciec na dół. Przypomniały jej się słowa pana Zenona. „Dzisiaj tłok z samego rana”.

– Pani Witkacy?!

Co za absurd!

Otrząsnęła się i zdecydowanym krokiem podeszła do szafy.

Wyciągnęła rękę i w tym momencie wyczerpał się zapas energii, który wiódł ją do działania. Zastygła w tej pozycji, nasłuchując.

Cisza. Nie było za co złapać – drzwi nie posiadały uchwytów, a pozbawione kluczy zamki łyptały czarnym otworami, zbyt małymi, żeby włożyć choćby palec. O ile ktoś by się na to odważył. Magda nie miała zamiaru.

Cała zamieniła się w słuch; czas jakby stanął w miejscu (cud w muzeum powszedni), i – jak się okazało ku zatykającemu dech w piersiach przerażeniu dziewczyny – nie nasłuchiwała na darmo.

W szafie ktoś oddychał.

Odkoczyła, jakby poraził ją prąd.

– Kto tu jest? – zdobyła się na powtórzenie pytania, lecz tym razem zdołała wykrzesać z gardła tylko szeleszczący szept.

Drzwi szafy drgnęły. Powoli, jakby zamierzały dorównać wytrwałości wskazówce zegara,

wypuszczały ze środka wiekowy mrok. Nie wiadomo, czy to skrzypiało rozeschłe drewno, czy śniedziejące zawiasy, a może wszystko naraz, w każdym razie dźwiękowy efekt był niezwykły, do powtórzenia może na jakimś muzycznym instrumencie, ale nigdy przez współczesny stolarski produkt. W dodatku ten dźwięk hipnotyzował, i to było najgorsze. Magda nie była w stanie się poruszyć, choć zamiar ucieczki dojrzał już w niej całkowicie.

– Dlaczego masz takie wielkie oczy? – zapytał mężczyzna w kraciastej marynarce, skulony wewnątrz szafy. Musiał być skulony, gdyż część, w której tkwił, przeznaczono na bieliznę, zatem jej gabaryty nie były duże. Istny mistrz jogi: wygięte w pałąk plecy, podkulone kolana, głowa wykręcona w bok.

Łagodne spojrzenie dziecka spoczęło wyczekująco na wyszminkowanym obliczu ducha księżnej de Croy.

– To moje ulubione pytanie. Ale wolę, gdy pada z odwrotnej strony. – Nieznajomy puścił do Magdy oczko i począł gramolić się z szafy, co wcale nie było łatwe.

Magda nie była w stanie powiedzieć słowa. Wciąż stała nieruchomo – gdyby tak zastali ją zwiedzający turyści, mogliby pomyśleć, że to udana, precyzyjnie wykonana woskowa figura – nowa, nieco makabryczna ozdoba muzeum. Lecz na zwiedzających było jeszcze za wcześnie, a paraliżujący dziewczynę strach powoli zmieniał swój charakter: co innego lęk metafizyczny, mało racjonalny, ale potrafiący nawet zatrzymać ludzkie serce, co innego strach przed istotą z krwi i kości, który – owszem – przyjemnością nie jest, ale od którego umrzeć nie sposób.

– Uwielbiam jeszcze inne pytania – poinformował profanujący zabytki intruz, prostując się przed Magdą. Był niewiele wyższy od niej, miał sympatyczną, pogodną twarz i miły, trochę nieśmiały uśmiech. Lecz słowa, które wypowiadał, w żadnym wypadku miłe nie były.

– Na przykład takie – kontynuował – „Czy i dlaczego chcesz zrobić mi krzywdę?”. Prawda, że brzmi całkiem niezłe? Ale... – z teatralnym zacięciem pokręcił głową – ...to o wielkich oczach jest znacznie subtelniejsze. Brzmi zdecydowanie mniej prymitywnie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Stał może metr przed Magdą, wpatrując się w nią z niezmiennie ciepłym uśmiechem. Nagle wyciągnął do tyłu rękę, ruchem niespodziewanym, szybkim jak skok kobry. Jednym szarpnięciem zatrzasnął drzwi szafy, aż od ścian odbiło się echo.

Magda odskoczyła i dzięki temu rtec w jej żyłach ponownie zmieniła się w krew. Wreszcie odzyskała swobodę ruchów. Wycofywała się powoli, nie spuszczać z oczu mężczyzny, który jakby nie dostrzegał tej oczywistej rejterady.

– Straszne to wszystko, prawda? – spytał, wciąż jednakim beztroskim tonem, stwierdzającym fakt pomimo pytańka na końcu zdania. – A mogło być jeszcze ciekawiej. Zamierzałem spocząć w sarkofagu Ernesta. No, Ernesta Bogusława de Croy, twojego synalka, ducha, jednakże krata była zamknięta. Może bym jakoś sobie z nią poradził, ale pomyślałem, że pewnie tam nie

zajrzysz. Nie zaglądasz do krypty, gdy nie ma tam turystów, mam rację?

– Szkoda. – Westchnął. – To byłby efekt! Ty wchodzisz, upiorze, w czarnych falbanach, z rozczochranym włosiem, może nawet pohukujesz niczym puszczyk, a wtedy z hukiem spada płyta sarkofagu i wstaję ja, jak wampir z dziennej kryjówki. Wyciągam ręce... Stój! – krzyknął nagle. – Dokąd to?!

Magda zatrzymała się, z trudem powstrzymując panikę.

– No, ale numer z tą szafą też był niezły, prawda? – Mówił dalej, jakby nic się nie stało, całkowicie usatysfakcjonowany faktem, że jego milcząca słuchaczka jednak pozostała na swoim miejscu.

Popukał w szafę.

– 1597 – powiedział, krzywiąc się z niesmakiem. – Na tabliczce napisali, że została wykonana w roku 1597. Kłamią. Łgarstwo najczystszej wody. W 1597 roku ten buk wygrzewał jeszcze swoje liście w słońcu. Poważnie. To był wyjątkowy rok, nigdy już się taki nie powtórzył, jeśli chodzi oczywiście o pogodę. Ostatnie liście spadły wtedy w grudniu. Drzewo ścięto na początku 1598 i musiało być suszone przynajmniej przez trzy lata. Zatem cieśla zabrał się do roboty najwcześniej w 1601. No, mógł zrobić intarsję, ale do snycerki pewnie kogoś wynajął, rzemieślnicze łapy za twarde, chyba że miał zdolnego czeladnika. W sumie nic wielkiego, szafka nie jest znowu takim arcydziełem, najwyżej roczek im zeszło i skończyli. A więc 1602. Tak, to chyba...

Zenon Gadowski siedział na stanowisku, które dzielił z szatniarką (godziny ich pracy nigdy się nie pokrywały) i bezmyślnie wbijał wzrok w książkę. Usiłował czytać. Stephen King, „Miasteczko Salem”. Lubił Kinga, ale wołał Barkera czy Smitha, u których trup ściele się gęściej, a krew jest zdecydowanie bardziej czerwona.

W ogóle uwielbiał horrory. Szczególnie te o zombi. Niejednokrotnie śniło mu się, że jest zombi, i były to jego najwspanialsze chwile. Budził się zlany potem, z sercem dygoczącym pod samą krtanią, za to z twarzą roześmianą i pogodną jak u dziecka, które dostało wyczekiwany prezent. Fajnie byłoby zostać prawdziwym zombi! Od lat odkładał pieniądze na emerytalne wakacje na Haiti.

Kiedyś oglądał „Królestwo” von Triera i dowiedział się, że na Haiti potrafią robić z nieboszczykiem różne sztuczki, przy których Frankenstein Mary Shelley jest miłym misiaczkiem. Nie za bardzo w to wierzył, ale przecież trzeba mieć w życiu jakiś cel.

Mimo wysiłków Gadowski nie potrafił się dziś skupić na lekturze i nie było w tym ani trochę winy Kinga. Po prostu był zły.

Przez Magdę. Nie rozumiał jej niemiłego zachowania, gdy wspominał, że przyszła pani Witkacy. Przecież wszyscy ją tak nazywają, tę panią Witkacy. Powiedział tak nie ze złej woli...

Lubił Magdę. Jeszcze bardziej lubił zapominać, że ma na karku pięćdziesiątkę, i wyobrazić sobie, że pewnego dnia dziewczyna dostrzeże w nim mężczyznę. Był pewien, że sprostałby takiemu wyzwaniu, bez względu na porę dnia czy nocy. Inna sprawa, że nigdy w życiu nie przyznałby się do tego, choćby rozciągnano go na kole i wbijano gwoździe w czoło.

Westchnął, wyprostował się na krześle i spojrzał na znajdujące się po prawej stronie monitory. Cztery. Ustawione w parach, jedna nad drugą. Uwagę natychmiast przyciągnął najmniejszy ekran, ukazujący obraz z kamery zawieszanej w komnacie nazywanej salą trzecią, w której znajdowały się głównie meble i fragment starego pieca. Magda rozmawiała z panią Witkacy.

„Może jej powiedziała?” – pomyślał Gadowski i nieoczekiwanie poczuł wstyd. – „Wszyscy nazywają ją Witkacy, ale padnie na mnie”.

Ale pani Witkacy wciąż się uśmiechała i opowiadała o czymś, gestykulując. Zenon poczuł ulgę. O czymkolwiek by rozmawiały, to musiały być jakieś miłe sprawy. Może opowiadała dowcip.

Że coś jest nie tak, zorientował się dopiero wówczas, gdy Magda zaczęła odsuwać się od swojej rozmówczyni – tyłem, jakby ktoś cofał obraz na kasecie wideo. Stała nieco bokiem do kamery.

Była przerażona. Nie ulegało wątpliwości, że była przerażona – widział to wyraźnie na czarno-białym ekranie, pomimo grubego makijażu, pokrywającego twarz dziewczyny. Nagle drgnęła, wstrząśnięta jakimś spazmem, jej ramiona gwałtownie szarpnęły w przód, po czym opadły zrezygnowane. Pani Witkacy dotykała ręką szafy, coś mówiła. Wciąż coś zabawnego?! Niespodziewanie obraz na wysłużonym monitorze zamigotał i przez ułamek sekundy głowa pani Witkacy uległa zdumiewającemu przeobrażeniu. Zamiast niej pojawiła się ciemna plama, z niewyraźnym śladem męskiej twarzy.

Jak to męskiej?!

Strażnik poderwał się z krzesła. Biegając, odpinał kaburę. Nie potrafił zrozumieć, jak wcześniej mógł nie zwrócić uwagi na dziwaczny ubiór pani Witkacy. Co tam ubiór! Jak mógł nie zauważyć, że charakterystyczna, czarna brodawka, wielka jak jagoda – niewykluczone, że przyczyna staropanieństwa żywicielki – zmieniła miejsce z lewego policzka na prawy?!

– Tak, to chyba będzie ten rok. Stanowczo powinni zmienić tabliczkę informacyjną. To zbyt prymitywny sposób wprowadzania ludzi w błąd. Ja – mężczyzna zawiesił na moment głos – nigdy bym się nie zniżył do takich chwytów.

– Ręce do góry! – wrzasnął Zenon Gadowski, wpadając jak burza do trzeciej sali Muzeum Pomorza Środkowego. Był mańkutomem, więc pistolet trzymał w lewej ręce.

Nieoczekiwanie poczuł się głupio, z okrzykiem policjanta z Miami, mierząc z pistoletu do dwóch nieuzbrojonych kobiet (mierzył w zasadzie do jednej, ale Magda stała na przedłużeniu linii strzału).

– O szczerbate jego kły! – powiedziała pani Witkacy, najwyraźniej z siebie niezadowolona. – Przez moje gadulstwo ktoś dzisiaj straci życie.

– Niech pani się nie rusza – brnął dalej Gadowski, upewniwszy się, że jagodowa brodawka kierowniczkii rzeczywiście zmieniła miejsce, a kusa marynarka w kratę ma guziki zapinane po męsku. – Magda, do mnie! – dodał przytomnie.

Dziewczyna skwapliwie wykonała polecenie. Pobieęła ku strażnikowi, a po drodze zsunęła się jej z głowy czarny welon, lądując na parkiecie lekko niczym latawiec. Zatrzymała się dopiero przy drzwiach. Za plecami czuła zimny powiew z korytarza.

– Proszę podnieść ręce – ponaglił strażnik – i powoli, bardzo powoli, podejdzie pani do mnie.

– Bo co? – zapytała pani Witkacy.

– Dlaczego pan mówi do niego „pani”? – zapytała Magda.

Strażnik Zenon nie odpowiedział na żadne z tych pytań. Oba wydały mu się co najmniej dziwaczne.

– Strzelisz do mnie? – pośpieszyła/pośpieszył z podpowiedzią kobieta/mężczyzna w kraciastej marynarce. – Bo ukradłam ten złom? – Pokazała coś na palcu, jakby obrączkę. – Cha! Cha!

Naprawdę się śmiała, i to serdecznie, szczerze rozbawiona. Zdezorientowany Zenon potrząsnął pistoletem, co w zamyśle miało dodać mu pewności siebie, w rezultacie zaś przyniosło taki skutek, że broń o mało co nie wysliznęła mu się z ręki.

– Jedno, co podoba mi się w waszych pedalskich czasach – powiedziała kobieta przez śmiech – to, że nie wolno zastrzelić bandyty – Widzę, że zdajesz sobie z tego sprawę, kolego. Możesz dostać trzy lata jak nic, i to bez zawieszenia. W dodatku pragnę poinformować, przy tym oto świadku – wskazała na Magdę – że jestem bez broni. A w takim wypadku nie wyłgasz się poniżej dychy. Jeśli na domiar złego sędzią będzie kobieta... a będzie, bo w przypadkach zabójstwa kobiet sędziami zawsze są kobiety... Mój ty biedaku. – Westchnęła współczująco. – Wpadłeś jak śliwka w kompot.

– Lubisz striptiz? – spytała ni stąd, ni zowąd.

Zenon Gadowski stał jak zamurowany. Wreszcie dotarło do niego, że ma przed sobą wariatkę, a na to nie był przygotowany.

Na oprycha z łomem, owszem. Nawet na terrorystę z bombą. Ale wariatka?

Pani Witkacy rozpięła guzik marynarki. Spod rozchylonych kłap wyskoczył obfity biust, osłonięty jedynie czerwonym podkoszulkiem. Aż dziw, że przy tych rozmiarach zdołał ukryć się dotąd niezauważony.

– Wiem, że lubisz – rzekła, uśmiechając się kokieteryjnie. Zaciśnęła palce na fałdach materiału na brzuchu i jednym ruchem podciągnęła podkoszulek. Na światło dzienne wyjrzały dwie piersi, kształtne i sterczące jak u dziewczyn z „Penthouse”, którego kilka sfatygowanych egzemplarzy Zenon trzymał w swojej służbowej szafce.

Postąpiła kilka kroków w stronę strażnika. Szła powoli, tak jak żądał tego wcześniej, ale dla niego to nie było już istotne. Spoglądał to na piersi, nie opadające nawet o milimetr (silikonowe czy co?), to na twarz pani Witkacy, kobiety po sześćdziesiątce, z rzadkimi włosami i dziesiątkami zmarszczek na żółtej jak świeca piegowatej twarzy.

– Mogę pokazać więcej – powiedziała, będąc już całkiem blisko. Sięgnęła do paska spodni.

Oczy Gadowskiego podążyły za tym ruchem i wtedy pani Witkacy uderzyła go w twarz zewnętrzną stroną otwartej dłoni.

Całkowicie zaskoczony strażnik syknął i sięgnął do bolącego miejsca. Krew momentalnie spłynęła po dłoni. Następny cios, w szczękę, zadano mu równie błyskawicznie, tym razem twardą niczym skała pięścią. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się pod ścianą, z głową przekrzywioną, jakby pękł mu kark, i ciemną plamą przed oczami.

Pani Witkacy podniosła z parkietu pistolet i popatrzyła na pierścień, który nosiła na małym palcu. Oczyszczyła go z krwi oraz sporego kawałka mięsa wydartego z policzka strażnika.

– No tak – skomentowała. – Pierścionki nakłada się oczkiem na zewnątrz. To oczywiste.

Obróciła klejnot o sto osiemdziesiąt stopni i mężczyzna spojrzał na Magdę.

– To tylko jakieś badziewie z tamtej gabloty. – Wykonał nieokreślony gest dłonią. – Gdybym miał pierścień Ernesta, stare złoto, piętnaście diamentów, pewnie już by nie żył. A tak zyskał z dziewięć sekund. Ale chyba mu się nie dłuży, co?

Podszedł do oszołomionego strażnika, przyłożył mu pistolet do klatki piersiowej.

– Szkoda – powiedział. – Byłeś leworęczny.

Strzelił dwa razy. Za każdym strzałem ciało strażnika drgało konwulsyjnie.

Magda zaczęła krzyczeć. Wrzeszczała jak oszalała, bo szaleństwo w istocie dopadło ją teraz; szaleństwo, któremu opierała się, gdy Mrok wyszedł z szafy, gdy Zły cieszył się jej przerażeniem i raczył cynicznym monologiem.

Odwróciła się i zaczęła uciekać, zanim mężczyzna schował pistolet do kieszeni marynarki i zdążył się odwrócić. Biegła po schodach, cudem tylko z nich nie spadając, potykając się o długą, bufiastą suknię ducha. Wreszcie parter! Skręciła w prawy korytarz. Drzwi. Dopadła klamki, szarpnęła.

Drzwi były zamknięte.

Oczywiście, że były zamknięte.

Echo niosło odgłos zbliżających się kroków.

NIEDZIELA. Dom Studenta nr 1.

Bywają chwile, kiedy człowiekowi trudno uwierzyć w to, co widzi. W życiu inspektora Karola Szydły takich chwil było przynajmniej kilka, ale gdyby przyszło mu wyszczególnić którąś z nich, wskazanie padłoby pewnie na dzisiejszy dzień. Na sierpniowy niedzielny poranek, gdy większość środkowoeuropejskiej części ludzkiej populacji leniwie zabiera się do śniadania. O ile oczywiście zdążyli już wstać.

– I co? – zapytał lekarza.

Nieopodał policyjny fotograf migał zawzięcie lampą aparatu.

Był wyraźnie spłoszony; starał się zaangażować w swoją pracę, najwyraźniej licząc, że rutyna pozwoli mu zachować się profesjonalnie.

– Ano tyle, że nic tu po mnie – odparł lekarz. – Co mogłem, zrobiłem, reszta to już nie moja działka. Jestem lekarzem pogotowia ratunkowego, a nie...

– Oczywiście. – Szydło powstrzymał jego dalszy wywód. – Doskonale to rozumiem.

Fotograf uporał się w końcu ze swoim zadaniem i ocierając pot z czoła wyszedł na korytarz. Łapczywie sięgnął po papierosa, unikając porozumiewawczych spojrzeń dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, broniących dostępu do studenckiego pokoiku. Inny współpracownik Szydły, buszujący po pokoju, zdejmujący skąd się da odciski palców, był w zdecydowanie gorszej sytuacji od swojego kolegi. Na razie odwlekał wiadomą chwilę jak mógł, ale inwigilowany obszar zawężał się i kryminolog zdawał sobie sprawę, że w końcu będzie musiał zająć się zakrwawionym tapczanem, a przede wszystkim szczegółowymi oględzinami...

Zaraz! Jak powiedziała o niej ta studentka? Beata? Tak właśnie! Będzie musiał zająć się Beatą.

Tymczasem inspektor Szydło sięgnął po stojącą na stole szkatułkę.

– To może być ta nitka? – zapytał lekarza, wyjmując splątany kłębuszek. – Kolor jakby...

– Na to wygląda – przytaknął tamten i odruchowo przyglądał rzadkie włosy, odsłaniając wydatne czoło. Westchnął, jakby go kto zmuszał torturami do wypowiedzi. – Powiem panu, że nawet gdy byłem na studiach i uczyliśmy się zszywać rany, nawet wtedy nie widziałem podobnej partaniny...

Umilkł, przygwożdżony ciężkim spojrzeniem Szydły.

– Chodzi mi o to – podjął po chwili, doszedłszy do wniosku, iż winien brnąć dalej – że z pewnością nie jest to robota fachowca, ani nikogo, kto choćby otarł się o chirurgię.

– Dziękuję – skwitował oschle inspektor. Nieoczekiwanie uśmiechnął się lekko. – Oczywiście każda informacja może się przydać.

– Czy mogę już jechać? – zapytał lekarz. – Wciąż jestem na dyżurze i mogę mieć następne wezwanie. A, jak widzę, akt zgonu nie będzie potrzebny.

Pałacy papierosa fotograf parsknął nerwowym śmiechem, natychmiast jednak zamilkł, zorientowawszy się, że nikomu nie udzielił się jego nastrój.

– Dobrze – zgodził się Szydło. – Romek! – zawołał do umundurowanego policjanta, jednego z tych, którzy blokowali wejście do pokoju. – Weź dane pana doktora i niech jedzie!

– Tak jest!

Po wyjściu lekarza Szydło przez chwilę błądził po pokoju niewidzącym wzrokiem i zastanawiał się, czy powierzą mu tę sprawę.

Czy nie popełnił błędu, ściągając ekipę – fotografa i analityka – bez porozumienia z szefostwem? Miał niedobre przeczucie i niemal pewność, że to, co stało się dzisiaj w akademiku, jest dopiero początkiem grubszej sprawy. Oczywiście w pracy policjanta przeczucia cokolwiek znaczą tylko w kinie, tak przynajmniej sam nauczał kadetów Słupskiej Szkoły Policji, w której miał kilka godzin wykładów, ale okazuje się, że życie weryfikuje najbardziej stabilne poglądy.

Na podłodze, obok zgruchotanej komputerowej klawiatury, leżało kilka kamieni. Według słów portierki przyniosła je matka Magdy Papisten: „Wzięła je z trawnika koło sali gimnastycznej. Pełno ich tam przy klombie. Specjalnie po nie wyszła.

Widziałam, jak zbierała. Ale to przecie nie moja sprawa, to nic nie gadałam”.

Skąd matka studentki wzięła się w akademiku w samym środku nocy?

„Przyjechała odwiedzić córkę. To co? Na dworze miałam ją trzymać? Wpuściłam, rzecz jasna i podałam numer pokoju. Skąd mogłam wiedzieć? Powiedziała, że jest matką Magdy. Nie miałam powodu, żeby nie wierzyć. Przez te lata poznało się studentów, w szczególności tych ze starszych roków, a ta kobieta podobna była do niej jak siostra bliźniaczka, no, trochę starsza, rozumie się, ale nawet smutna taka jakaś, też jak Magda. Ale nie tak elegancka, byle jaką marynarkę miała na sobie. W paskudną kratę”.

Portierka mówiła dużo i ochoczo, ale zbyt często strzelała oczami na boki. Szydło odniósł wrażenie, że tym potokiem słów kobieta pragnie splawić jakiś dręczący ją problem. Ale inspektor nie wnikał na razie w szczegóły – i tak będzie oficjalnie przesłuchiwana na komendzie.

– Kamienie – powiedział analityk, który w końcu dotarł do tapczanu.

– Co? – Szydło powrócił do teraźniejszości – Skurwiel rozciął brzuch i zaszył w nim kamienie. Dlaczego?

– Dlatego – odparł Szydło, po czym wyszedł z pokoju.

Z prawej strony znajdowało się wejście do drugiego pokoju w segmencie. Ponieważ był wolny, Beata Krzak mogła się tam przenieść, udostępniając swój naprędce zmontowanej ekipie śledczej. To tam zbadał ją lekarz pogotowia, stwierdzając, że dziewczynie nic nie jest, poza kilkoma siniakami i startym naskórkiem w miejscach, gdzie napastnik związał ręce i nogi ofiary.

– Lepiej się pani czuje? – zapytał Szydło.

– Tak – odparła studentka. Siedziała przy stole, z brodą wspartą na zwiniętych w kułak dłoniach. Podkrążone oczy odznaczały się cieniem na bladej twarzy, silnie kontrastującej z włosami barwy przejrzałej marchewki.

Szydło nigdy nie pozwoliłby własnej córce pofarbować włosów na tak fatalny kolor. Na szczęście nie miał córki, lecz dwóch synów, których w dodatku udało mu się wychować tak, że żaden nie nosił kolczyków w uchu.

– Możemy rozmawiać?

– Tak – powtórzyła i wyprostowała się. Dopięła pod szyją guziki błękitnego szlafroka.

– Może pani dokładnie opisać tego mężczyznę?

Skinęła głową. Zastanawiała się przez chwilę.

– Średniego wzrostu. Na pewno po czterdziestce. Szatyn.

Włosy trochę falowane, średniej długości...

– Jakiś znak szczególnie, wie pani, blizna lub coś w tym rodzaju?

– Nie. – Pokręciła głową. – On... Wyglądał nawet dość sympatycznie. Może to dziwne, że tak o nim mówię po tym wszystkim, ale naprawdę tak wyglądał. Oczywiście, dopóki... – urwała.

Pociągnęła nosem i otarła go rękawem szlafroka.

– Ma pan papierosy? – zapytała.

– Nie palę – odparł Szydło.

– Moje zostały tam. – Wskazała palcem na ścianę. – Ale...

– Wolałbym, żeby nikt tam nie wchodził dopóki nie skończymy – rzekł starszy inspektor. – Roman! – krzyknął przez otwarte drzwi. – Jest tam Tadeusz?

– Co? – W korytarzu pojawił się fotograf.

– Poczęstuj dziewczynę papierosem.

– Oczywiście. Proszę wziąć całą paczkę. – Mężczyzna wyciągnął z opakowania dwie sztuki, które włożył sobie do kieszonki koszuli, a resztę podał dziewczynie, prześlizgując wzrokiem po wystającym spod szlafroka kolanie.

– Dziękuję – Beata Krzak sięgnęła po leżące na stole zapalniczki i zapaliła – Dziękuję – powiedział Szydło, głośno i wyraźnie, patrząc wymownie na fotografa, który wzruszył ramionami i się wycofał.

– Zatem swoim wyglądem wzbudzał zaufanie? – podjął inspektor.

Studentka kiwnęła głową.

– Miał miły uśmiech... – zaczęła i nagle umilkła. Machając ręką rozgoniła papierosowy dym. – Na koniec, jak odchodził, również się uśmiechał. Jakby się nic nie wydarzyło. Spokojnie umył ręce, powiedział do mnie „Pa, pa” i wyszedł. Jeśli nawet natknął się na kogoś na schodach, założył się, że nie wzbudził podejrzeń.

– Nie natknął się – odrzekł Szydło.

- Nie?
- Oprócz pani nikt go nie widział.
- A portierka?
- Też nie.

Milczeli przez chwilę.

- Od dawna mieszka pani z Papisten? – zapytał Szydło.
- Od pierwszego roku.
- Widziała pani kiedyś jej matkę?

Beata uniosła brwi, zdziwiona.

– Ona nie ma matki. Umarła kilka lat temu. Magda była jeszcze w ogólniaku. Dlaczego pan pyta?

Karol Szydło westchnął.

- Nie z ciekawości – odparł z lekkim zniecierpliwieniem. – Gdzie ona teraz może być?
- Matka? Jezus Maria! Pewnie na cmentarzu!
- Pytam o pani współlokatorkę. Gdzie możemy ją znaleźć?

– Ma nowego faceta, być może u niego nocowała. – Studentka przerwała na chwilę. Mocno zaciągnęła się papierosem. – Która teraz jest godzina? – spytała.

– Dochodzi dziewiąta.

– To pewnie poszła już do pracy. Zawsze w niedzielę udaje ducha w Zamku Książąt Pomorskich, wygrała casting, pewnie słyszał pan, było o tym nawet w „Teleexpresie”?

– Coś słyszałem, ale nie miałem przyjemności...

Przerwał, zorientowawszy się, że dziewczyna ma zamknięte powieki. Ręka, w której trzymała papierosa, drżała; dym kreślił w powietrzu wymyślne, szybko rozmywające się kształty.

– Co się stało?

Otworzyła oczy.

– Ten facet też mnie o to...

– Ja do pani Magdy Papisten. Mam pilną wiadomość ze Spichlerza Richtera.

Beata przekreśliła klucz w zamku i uchyliła drzwi.

– Magdy nie ma – poinformowała stojącego za progiem mężczyznę.

– Ale tu mieszka? – upewnił się przybysz, unosząc kąciuki ust w nieśmiałym uśmiechu.

Przygładził kłapy kraciatej marynarki.

– Mieszka, ale jej nie ma – powtórzyła.

– A gdzie mogę ją znaleźć?

– Teraz, w nocy? Skąd mam wiedzieć? Nie jestem jej matką.

– Ale ja jestem... – Nieznajomy chrząknął i uśmiechnął się szerzej. – Jestem w trudnej sytuacji.

Beata zawahała się. Gdyby tego nie zrobiła, może nie nastąpiłyby późniejsze drastyczne wydarzenia. Ale zawahała się i ten moment nie uszedł uwagi mężczyzny.

– Wiesz gdzie ona jest – stwierdził, nie gasząc miłego uśmiechu. Pchnął drzwi i złapał zaskoczoną dziewczynę za rękę. – Wiesz gdzie i zaraz mi to powiesz! A spróbuj tylko pisnąć albo zawołać o pomoc, to skręcę ci kark jak królikowi.

Dopiero teraz cały urok spłynął z jego twarzy – jakby nagle zrzucił maskę – niepojęte, że wcześniej można ją było uznać za sympatyczną. Popchnął Beatę na tapczan. Upadła na pościel (spała, gdy nieznajomy zapukał do drzwi), boleśnie uderzając głową o ścianę.

– Gdzie mogę znaleźć Magdę Papisten? Mów!

Patrzyła z mieszaniną wściekłości i strachu. Jeszcze nie dotarło do niej, że powinna się bać. Wyłącznie się bać.

– Spierdalaj!

Ma moment świat zastopował. Być może zaskoczyła bandytę swoją postawą, a może on tylko zastanawiał się, jak wydobyć z niej potrzebną informację. Błądził wzrokiem po pokoju. Nieoczekiwanie uśmiech powrócił na znów urokliwą twarz; mądre, wesole oczy zalśniły łagodnością.

– Jak chcesz. Mogę odejść. – Wzruszył ramionami.

Beata spoglądała nieufnie. Czuła ciepło w tyle głowy, w miejscu uderzenia w ścianę, pewnie będzie niezły guz. Na razie jednak nie pojawił się ból, widać nie wystarczało dla niego miejsca w adrenalinowej burzy.

– Ale gdy wrócę, będzie niezła kaszanka – oświadczył mężczyzna i podszedł do zawieszanej na ścianie półki, z której zabrał szeroką, brązową taśmę klejącą. Nagle jednym skokiem, zgarbiony jak atakujący orangutan, znalazł się przy dziewczynie.

Brutalnym uściskiem chwycił głowę Beaty i zakleił usta taśmą.

– To dla stłumienia instynktu samobójczego – wyjaśnił. – Zaczнешz krzyczeć i będę musiał cię zabić. A to nie byłoby dobre rozwiązanie ani dla ciebie, ani dla mnie. Ty straciłabyś życie, a ja całą frajdę. No i nie dowiedziałbym się tego, co chcę wiedzieć.

Beata Krzak odsunęła się i uniosła rękę. Próbowwała zerwać taśmę. Mężczyzna przytrzymał dziewczynę, schylił się i wyrwał z gniazdka przewód nocnej lampki. Odwrócił ofiarę na brzuch, wykręcił jej rękę i związał silnie obie razem, na wysokości nadgarstków. Potem wstał i z zadowoleniem przyjrzał się swemu dziełu. Beata jakoś zdołała z powrotem przewrócić się na plecy.

Wydała serię stłumionych odgłosów.

– Chcesz coś powiedzieć? – Napastnik odchylił taśmę.

– Magda pojechała do domu – padły pośpiesznie wyrzucane słowa. – Do matki!

– Doskonale. Ale za późno – oświadczył mężczyzna, ponownie zaklejając jej usta i dla pewności dokładając drugą taśmę. – Teraz, gdy już się rozgrzałem, nie zamierzam psuć przedstawienia. Bo przygotowałem dla ciebie przedstawienie, kotku. Lubisz przedstawienia? Uśmiejesz się po pachy. Oczywiście, potem cię wysłucham. Przynajmniej będę miał pewność, że mówisz prawdę. Teraz nie byłbym tego taki pewien, jak widać twarda z ciebie suka. Jak to do mnie powiedziałaś? Spierdalaj? Fu! Cóż za gminny język. No tak, ale czegoż spodziewać się po czasach, gdy kobiety dopuszczają się do szkolnictwa wyższego. Skutki moralnej degradacji nigdy nie każą na siebie długo czekać.

Na stole stał komputer. Przedpotopowy model, AT-286, ale na edytor tekstów wystarczał. Korzystało z niego pół piętra. Mężczyzna w kraciastej marynarce wyszarpnął wtyczki myszki i klawiatury. Klawiaturę rozbił o blat, nie przejmując się hałasem, jaki czyni. Może wiedział, że w akademiku nocny hałas nie jest niczym nienaturalnym. Podobnie obszedł się z myszką i w dłoniach pozostały mu same przewody. Grubszym, tym od klawiatury, związał nogi Beaty, drugim poprawił wiązanie rąk.

– Wracam za pięć minut – poinformował. – Nie zaśnij.

Wyszedł z pokoju, przełożył klucz z zamka na zewnątrz i zamknął drzwi. Uwięziona dziewczyna rzucała się na tapczanie, jak ryba wyrzucona przez wędkarza na trawę. Lecz podobnie jak ona, nie była w stanie nic zrobić.

Rzeczywiście zaraz wrócił. Kieszenie marynarki miał wypchane kamieniami. Wyrzucił je na stół, ubrudzone ziemią. Niektóre nosiły ślady białej, wapiennej farby.

Następnie sięgnął po lalkę.

Tę lalkę, wielką jak pluszowy miś, Beata Krzak dostała od przyjaciół na swoje osiemnaste urodziny. Urodziny odbyły się w wynajętej na całą noc knajpie. Był szampan, wóda i ta lalka – „BEATA”, jak oznajmiał napis na czerwonej szarfie, którą była wówczas przepasana. Następnego dnia nikt z cierpiącej na ból głowy młodzieży nie pamiętał, czy była to zwięzła dedykacja, czy imię prezentu, paradoksalnie symbolizującego wejście w dorosłość. Tak czy siak, pozostało tak – jak mawiała poetka. Do lalki przyłgnęło imię jej właścicielki.

– Gdzie trzymacie noże? – zapytał mężczyzna. – Macie tu chyba jakieś noże, co?

Odwróciła głowę, jeszcze bardziej wytrzeszczając oczy, których białka i tak już pokrywały czerwone żyłki. Z przerażeniem wykręcała szyję, strąki rozczochranych włosów kołysały się po bokach głowy.

– Hm... – chrząknął mężczyzna. – Najwyraźniej jesteś przeciwna udzieleniu odpowiedzi. No cóż... W zasadzie to rozumiałe.

Nóż znalazł przy umywalce, za przepierzeniem. Rozciął lalce sukienkę, odsłonił różowy brzuch i zamierzył się końcem ostrza.

Obserwująca to Beata była coraz bardziej bliska hysterii.

– Nie. – Zatrzymał się w pół ruchu. – To powinno odbyć się w łóżku – stwierdził.

Podszedł do tapczanu, złapał dziewczynę wpół i nie zważając na nieudolne próby wyrwania się, przeniósł na krzesło.

– Stąd będziesz miała dobry widok – powiedział.

Położył lalkę na pościeli i zabrał się do dzieła.

Plastik był twardy i kruchy, Beata doskonale o tym wiedziała, pamiętała z dzieciństwa, gdy – mając może dziewięć lat – wykonywała z Krzyśkiem, kolegą z sąsiedztwa, świece dymne. Receptura była prosta: kilka zapalczanych łąbków, strzępki gazety i potłuczone skrawki starej lalki. Składniki wkładało się do pudełka, podpałało i po chwili przymykało pudełko (tylko przymykało!), żeby z niedostatku tlenu zgasił żywy ogień, a pozostał żar. Efekt był murowany. Dymiło lepiej niż z komina. Zamiast lalki można było użyć piłeczki pingpongowej, ale lalka była materiałem łatwiej dostępnym i znacznie wydajniejszym. Zabawa skończyła się, gdy jedna ze świec uległa zapłonowi i spaliła się ogrodowa altana na tyłach domu Krzyśka.

Zadziwiające myśli płaczą się w umyśle człowieka pod wpływem głębokiego stresu. Do tej chwili Beata nie zdawała sobie sprawy, że w ogóle pamięta tamto wydarzenie. Zapomniała, jak przerażone może być dziecko.

Brzuch był prawie rozpruty, kiedy ostrze noża niespodziewanie ześlizgnęło się z plastiku, z nieprzyjemnym zgrzytem przejechało po różowym biodrze i wbiło w rękę operującego.

– O żesz świński ryj, okrągły i z dziurkami! – zaklął mężczyzna, najwyraźniej z trudem powstrzymując się od głośniejszego krzyku.

Przez chwilę trzymał nieruchomo zranioną dłoń, przyglądając się kroplom krwi spadającym na białą pościel.

– Przerwa techniczna – poinformował Beatę i udał się za przepierzenie, skąd wrócił ze ścierką. Jednak nie od razu obwiązał nią ranę, przedtem wytarł rękę w prześcieradło, pozostawiając na nim krwawe ślady.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – stwierdził, przyglądając się plamom, i zapytał: – Spektakl zyskał na realizmie, nie sądzisz?

Beata ani drgnęła.

Mężczyzna podszedł do stołu i zebrał leżące tam kamienie.

Prowizoryczny opatrunek z kuchennej ściereki chyba mu nie przeszkadzał. Wrócił do rozbebeszonej lalki i wrzucił do niej kamienie. Kilka z głuchym stukiem spadło na podłogę, co w ciszy, która zapanowała, zabrzmiało jak bicie werbla.

Beata Krzak wydała z siebie bulgoczący dźwięk i zaczęła rzucać się na krzesło. Po kilku niezgrabnych ruchach straciła równowagę i spadła na podłogę, boleśnie tłukąc sobie biodro. Gdy zdołała przybrać pozycję siedzącą i spojrzała na tapczan, gdzie wszędzie były plamy krwi,

szalenciec (facet był szaleńcem, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości) zaszywał rozdartą bieliznę lalki wyciągniętymi ze szkatułki nićmi.

– No, gotowe – odezwał się, jak gdyby nagle przypomniał sobie o istnieniu studentki. – Powiniennem zaszyć brzuch, nie gorsecik, ale za łykowata z niej gąska. – Wymownie wskazał na opatrunek.

Wreszcie zerwał z ust dziewczyny taśmę. Bolało jak cholera, ale nie zważała na to, zachłystując się łąpczywie powietrzem.

Nigdy nie przypuszczała, że oddychanie przez nos kosztuje tyle wysiłku.

– No to gdzie jest Magda? – zapytał głosem cichym i łagodnym. Można rzec, słodkim jak miód. – I pamiętaj, że jeśli powiesz nieprawdę, wrócę tutaj i powtórzę przedstawienie. Chyba nie masz wątpliwości, kto tym razem zagra łózkową rolę?

Powiedziała mu prawdę.

– Ten facet też mnie o to pytał.

– I powiedziała mu pani? – Szydło wstał. A więc miał rację.

Wiedział. Przeczynał, że to dopiero początek.

Beata Krzak skinęła głową. Zgniotła w popielniczce papierosa i raptem się rozpląkała. Przez chwilę inspektor poczuł nieodpartą ochotę przytulenia dziewczyny i pogłaskania jej po krótkich, pomarańczowych włosach. Nie był pewien, co go przed tym powstrzymuje, czy odstraszący kolor tych włosów, czy raczej nadzwyczaj zgrabne udo, wysuwające się spod szlafroka aż po samo biodro. Jakakolwiek byłaby przyczyna, zamiast zachować się po ojcowsku, chrząknął tylko z zakłopotaniem i wycofał się z pokoju.

– Jedziemy! – rozkazał jednemu ze stojących na korytarzu mundurowych. – Ty, Przemek, zostajesz – powiedział do drugiego.

– A ja? – zapytał fotograf, wciąż przeżuwiający fakt, że wykonał dziś niezły zestaw zdjęć zwykłej lalce.

– A co mnie do tego? – Szydło wzruszył ramionami. – Ty masz swoją robotę, ja swoją.

– Panie inspektorze! – W drzwiach pojawiła się marchewkowa głowa Beaty Krzak. – Właśnie zdałam sobie z czegoś sprawę.

Pytał pan o znaki szczególne tego mężczyzny...

– Tak?

– On jest leworęczny.

Szydło pośpiesznie skinął głową. To było coś co lubił – gdy los stał po stronie prawa, zawężając krąg poszukiwań.

– Jeszcze porozmawiamy – powiedział. Ponaglił Jarka i zbiegli schodami w dół.

– Dokąd, szefie? – zasapał Roman.

– Do Zamku Książąt Pomorskich.

Minął portiernię, lecz będąc już przy drzwiach, zatrzymał się, nie zdając sobie sprawy, że dla idącego za nim policjanta wygląda w tej chwili jak porucznik Colombo, który nigdy nie przestawał główkować. Zawrócił.

– Może mi pani odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie? – zapytał portierkę.

Kobieta skinęła głową.

– Czy jest pani całkowicie pewna, że osoba podająca się za matkę Magdy była kobietą?

W pierwszej chwili Szydło pomyślał, że oto po raz drugi w historii świata wystąpił przypadek przemiany kobiecego ciała w słup soli. Portierka patrzyła wprost na niego, lecz oczy wyglądały jak wykonane ze szkła. Nie mrugała. Na twarzy nie drgał nawet jeden mięsień.

Czy ona w ogóle oddycha?

– Proszę pani! – Zapukał w szybę. – Pytam, czy to nie mógł być ucharakteryzowany mężczyzna. Może było ciemno i...

Ocknęła się; mogłoby się wydawać, że z jakiegoś tajemnego transu, gdyby nie to, że odpowiedziała zupełnie trzeźwo, wręcz opryskliwie, jak do kogoś kto nadmiernie się narzuca:

– Przecież żarówki świecą! Co pan myśli, że chłopca od baby nie potrafię rozróżnić?

– Ja tam czasem nie potrafię. Szczególnie jak obraz w telewizorze śnieży – skwitował z humorem Szydło i odszedł.

Portierka z powagą patrzyła za policjantami, dopóki nie odjechali niebieskim polonezem. Wtedy wyjęła spod swetra coś, co oglądała z zadziwiająco martwym wyrazem twarzy. Kilka godzin temu była to legitymacja uprawniająca do kolejowej zniżki, ze zdjęciem przedstawiającym matkę Magdy Papisten. Teraz nie.

Jezus Maria! Miała mętlik w głowie. Teraz nie! Chyba oszalała.

Ze zwykłej kartki, wyrwanej niedbale z notesu, spoglądała na nią kudłata mordą, wymalowana naprędce ołówkiem. Wilk z wyszczerzonymi zębiskami.

Jak coś takiego pokazać policjantom?!

Przecież nie mogła im powiedzieć, że jednak poprosiła tamtą kobietę o dowód tożsamości, zgodnie z regulaminem akademika! Pewnie, że nie wpuściłaby nikogo bez okazania dokumentów, środek nocy czy nie. Ale jak miała im o tym powiedzieć?

I co? Pokazać tę paskudną kartkę?

Przecież nikt by nie uwierzył!

NIEDZIELA. Zamek Książąt Pomorskich.

– Ratunku! – krzyknęła Magda Papisten w zakratowane okienko zamkowych drzwi. – Ratunku! Czy ktoś mnie słyszy?!

Niespodziewanie trzasnęła mała szybka, tak zakurzona, jakby ostatnio czyszczono ją za życia Anny de Croy. Odłamki szkła omal nie wbiły się w policzek dziewczyny.

– Ciii – rozległ się głośny szept. – Chwytaj Gnat! Szybko!

W szczelinie ukazał się żółtawy przedmiot, w kształcie wydłużonego walca. Z jednej strony był zakończony kulką.

– Ratunku! – zachłysnęła się Magda. – Tu jest morderca! Proszę otworzyć!

Przedmiot, przypominający moździerzowy tłuczek, przez moment balansował na krawędzi wybitej szybki, po czym upadł na kamienną posadzkę, z odgłosem wskazującym na dość znaczny ciężar. Równocześnie zza pleców Magdy dobiegł niepokojący hałas. Odwróciła się, szybko i nerwowo.

Przyglądał się jej człowiek w kraciastej marynarce. Przekrzywił głowę, jakby podziwiał malarskie dzieło.

– Pożoga, zostaw ją! – zagrzmiął głos zza drzwi. – Dobrze wiesz, że jest moja!

– To ty, Wielgus? – Twarz mężczyzny nazwanego Pożogą wydłużyła się. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Ja.

– Tego się obawiałem. Dziś w nocy to też byłeś ty. Śledzisz mnie, psi synu!

– Powinieneś wiedzieć, Pożoga, że ona ma przy sobie Gnat. Lepiej znikaj!

Kratka na marynarce tylko zamigotała w szarzyźnie zamkowej sieni, gdy jej właściciel odskoczył w cień. Magda przywarła plecami do drzwi, w pierwszej chwili przekonana, że mężczyzna rzucił się na nią. Osunęła się w dół, szorując plecami po gładkim drewnie. Dopiero teraz dotarło do niej, że napastnik nie zaatakował. On... uciekł?!

Gnat!

Natrafiła ręką na to coś, wrzucone przez okienko. Zacisnęła dłoń. Było bardzo zimne.

– Mam Gnat! – krzyknęła rozpaczliwie.

Nie miała pojęcia, co oznacza to słowo. Nie miała pojęcia, co może się kryć w małym, niewiarygodnie ciężkim odlewie, i w fakcie, że ma go przy sobie, ale chwyciła się – jak tonący brzytwy – tej irracjonalnej szansy ocalenia. Ścisnęła przedmiot, przytuliła go, jak dziecko tuli ukochaną zabawkę.

– Nabierasz mnie – doleciało niepewnie z mroku. Ni to stwierdzenie, ni zapytanie. Lecz jakakolwiek byłaby intencja, zniknęła nonszalancja w głosie, wyparował beztroski cynizm.

Magda Papisten uniosła przedmiot na wysokość twarzy. Głośno oddychała, nie potrafiąc

w inny sposób zapanować nad drżeniem rąk. Nagle przyszło jej do głowy, że to przecież nieprawda, kompletna bzdura, nie istnieje żaden cudowny, ratujący życie Gnat, ani inne podobne nonsensy – to tylko pobożne życzenia, tęsknota przerażonego umysłu. W realnym świecie do muzeum wtargnął morderca i nic nie jest w stanie go powstrzymać.

– Wielgus! Jesteś kompletnym idiotą! – warknął wściekle Pożoga. – Przez ciebie zginiemy kiedyś obaj!

A potem... Magda nie mogła w to uwierzyć, lecz naprawdę usłyszała odgłos oddalających się kroków. Straszny Człowiek odchodził.

– Jest tam pani? – dobiegło zza drzwi po dłuższej chwili.

Wstała.

– Chcę wyjść – powiedziała, najciszej jak potrafiła. – Proszę mnie stąd zabrać!

– Zabiorę – odparł nieznajomy. I wtedy go rozpoznała. To był głos gościa z herbaciarni popijającego wino z mirindą. – Zabiorę, ale niestety jeszcze nie teraz. Nie potrafię otworzyć tych drzwi.

– Proszę nie odchodzić. – Wystraszyła się nagle. – On może zaraz wrócić. Jest gdzieś tutaj...

– Nie wróci. Na dzisiaj ma chyba dość.

– Zimno mi. – Nagle zaczęła się trząść. Niemal szczekała zębami.

– To Gnat. Lepiej nie trzymać go gołymi rękami...

– Dzień dobry! – nagle inny głos wszedł w pół słowa. – Co pan tu robi?

– Tam coś się stało – powiedział Wielgus. – Jakaś kobieta krzyczy, a drzwi są zamknięte.

– Jesteśmy policjantami – poinformował przybysz stanowczym głosem. – Proszę się nie oddalać. Romek, pilnuj go!

Zaklekotała klamka i zadygotały drzwi.

– Ratunku! – krzyknęła Magda.

– Co tam się dzieje?!

– W zamku jest włamywacz. Zabił strażnika! Wypuście mnie stąd!

– Cholera! – Ponownie szczęknęła klamka. W okienku pojawiła się twarz jakiegoś mężczyzny. – Proszę się nie bać. Zajmiemy się tym.

Twarz zniknęła, by po chwili pojawić się ponownie, nieco z boku, a przez wybity prześwit wsunęła się do środka lufa pistoletu.

– Mam wszystko na oku – poinformował policjant. – Ale oświetlenie jest nie najlepsze. – Gdyby coś pani zauważyła, proszę natychmiast mówić. Ma pani klucze?

– Nie.

– A... A są gdzieś?

– Strażnik je ma. Ale ja tam nie pójdę!

– Oczywiście, że nie. Proszę nic nie robić i nie ruszać się z tego miejsca. Czy włamywacz

jest jeszcze w środku?

– Tak.

– A ten drugi? Czy to przypadkiem nie jego wspólnik? – Policjant odchylił głowę i podejrzliwie zlustrował stojącego obok mężczyznę.

Jego współpracownik, Romek, wyciągnął czujnie rękę i położył ją na ramieniu zatrzymanego. – Pańskie nazwisko? Dokumenty proszę...

– Panie policjancie! – zawołała Magda.

– Tak? – Czujne oczy ponownie pojawiły się w okienku. Lufa pistoletu zastukała o metalowe krawędzie wyłomu.

– Boję się. Niech się pan więcej nie odwraca!

– Oczywiście. Przepraszam. Romek, sprawdź faceta. Nie, weź go do wozu, najpierw zawiadom komendę, wezwij posiłki. Niech przyjeżdżają w trymiga! Podejrzenie morderstwa.

– Tak jest!

– Nazywam się Wielgus. Nie mam dokumentów, ale... – usłyszała Magda oddalający się głos człowieka, który być może uratował jej życie, chociaż już teraz – a minęły zaledwie minuty – zaczynała wątpić, czy stało się tak naprawdę. Gdyby w skostniałej dłoni wciąż nie tkwił moździerzowy tłuczek...

Przełożyła przedmiot do drugiej ręki, momentalnie czując w niej lodowate zimno. W kostiumie ducha Anny Gryfitki nie było żadnej kieszeni, w którą mogłaby cokolwiek schować. A wbrew temu, w co wierzyła, a w co nie, na razie za nic w świecie nie zamierzała rozstawać się z czymś, co – jeśli dobrze rozumiała – nazywano Gnatem.

– Kto jeszcze może mieć klucze? – zapytał policjant.

– Nie wiem – Magda mówiła szybko, połykając sylaby. – Pracuję tu tylko w niedzielę.

– Mógłbym gdzieś zadzwonić...

– Naprawdę nie wiem. Nie pamiętam nawet nazwiska dyrektora.

Policjant westchnął.

– Och! – Magda wydała stłumiony, rozpaczliwy okrzyk.

– Co się stało? – Twarz przywarła do okienka, nos rozpląszczył się jak akwariowy glonojad.

– Coś słyszałam.

– Gdzie? – Pistolet znów się zakołysał.

– Na górze. On jest na piętrze! Chyba coś rozbił. Może jakąś gablotę.

– Spokojnie – szepnął policjant. – Jestem przy pani. Kontroluję sytuację. Jak tylko przyjadą moi koledzy, coś wymyślimy.

Zdobędziemy te cholerne klucze.

Nie zdobyli.

Przyjechał radiowóz. Potem dwa następne, ciekawscy przechodnie zatrzymywali się

i powstało zbiegowisko. Jak się okazało, jedyny zapasowy zestaw kluczy także znajdował się w muzeum. Przepisy zabraniały trzymać je gdzie indziej. Ostatecznie Karol Szydło, na własną odpowiedzialność (cholera wie ile wart jest taki zabytkowy zamek!) oddał sześć strzałów w miejsce, gdzie jego zdaniem powinna znajdować się zapadka. Mimo wieloletniego stażu w policji po raz pierwszy w życiu otwierał drzwi w ten sposób. Nigdy by nie przypuszczał, że to jest takie trudne.

Że trzeba aż sześciu pocisków, by osiągnąć skutek.

Wbiegł do środka i omal nie wystrzelił po raz kolejny, ujrawszy siedzącą na posadzce kobietę. Miała upiornie bladą twarz, sterczące czarne jak smoła włosy, równie czarne oczodoły i wiśniowe krople pod nimi, jakby płakała krwią. Minęła dobra sekunda, nim uzmysłowił sobie, że to tylko artystyczny makijaż.

Beata Krzak mówiła przecież, że Magda wygrała casting na ducha księżnej Anny.

– Na pierwszym piętrze – wyszeptała zmora i rozpląkała się.

Karol Szydło pobiegł w stronę schodów, ledwie przypominając sobie plan muzeum, w którym ostatnio był może z dziesięć lat temu, ze swym małoletnim jeszcze wtedy synem (dzieci wpuszczano za darmo, pamiętał, że przeczytał taką informację w gazecie, co zadziało magicznie i dlatego poszli). Pędził po dwa stopnie naraz, jak młodzieniaszek. W dodatku pistolet trzymał wyciągnięty przed siebie, co było nie lada sztuką.

Gdy tylko wbiegł na piętro, zorientował się, że pośpiech nie jest już potrzebny. Okno – osadzone w grubym na prawie metr murze – było wyłamane. Stalowa krata dyndała na dwóch prętach. W wykuszu zalegało mnóstwo tynku i jeden samotny kawałeczek skruszonej czerwonej cegły. Tylko jeden. Od razu było widać, że krata w zasadzie trzymała się na wapiennej zaprawie; nie wbito jej porządnie w mur. Nie potrzeba było żadnego Herkulesa, żeby poradzić sobie z taką atrapą. Przez umysł Szydły rutynowo przemknęły przypuszczenia co do osoby odpowiedzialnej za takie zaniedbanie, kiedy z tyłu ktoś się odezwał.

– Panie inspektorze!

– Tak?

– Strażnik jest tam. – Umundurowany funkcjonariusz pokazał drzwi po przeciwległej stronie korytarza.

Poszedł za nim. Gdy tylko zobaczył strażnika, od razu wiedział, że wezwane pogotowie nie będzie miało nic do roboty.

Dwie krwawe plamy w lewej części klatki piersiowej denata, niemal pokrywające się, były dokładnie tam gdzie należało, jeśli można rzecz ująć w sposób cyniczny. Facet strzelał, żeby zabić.

Paskudna historia. Paskudny dzień.

Od czterech lat Szydło nie miał do czynienia z morderstwem.

Do emerytury (tej wcześniejszej, policyjnej) brakowało mu dosłownie małpiego skoku i miał nadzieję doczekać jej w spokoju.

A dziś nadzieje te okazały się płonne. A od początku miał złe przeczucia! Już rano, gdy wezwano go do akademika!

– Paskudna historia! – głos za plecami potwierdził rozmyślania Szydły. Inspektor odwrócił się.

– Aaa, Romek... – rzekł na widok współpracownika. – I co z tamtym gościem?

– Z kim?

– Jak to z kim? – Szydło niecierpliwie zlustrował podwładnego. – Z tym facetem, którego kazałem ci przepytac?

Twarz Romka wyrażała konsternację.

– Nic nie wiem o żadnym facecie – powiedział powoli, z każdym słowem nabierając pewności, że to nie jest dobra odpowiedź. Wyraz twarzy szefa nie pozostawiał co do tego najmniejszej wątpliwości.

Karol Szydło westchnął, powstrzymując gniew.

– Wziąłeś, baranie, do radiowozu faceta, którego zastaliśmy przed zamkiem – rzekł tonem świadczącym, iż zamiar powstrzymania gniewu powiódł się tylko połowicznie. – Mówił, że nazywa się Wielgachny, czy jakoś tak. Miałeś go wylegitymować.

Przez kilka długich sekund obaj funkcjonariusze mierzyli się wzrokiem.

– Gdy przyjechaliśmy, nikogo tu nie było – odezwał się Romek. W jego głosie brzmiała pewność. – I nikogo nie brałem do radiowozu.

– Co ty opowiadasz? – Szydło próbował się roześmiać. – Przecież...

– Dlaczego pan mi to robi, szefie? – przerwał mu Romek w pół słowa. – Zawsze myślałem, że pan mnie lubi.

– Ja ci coś robię? – zachłysnął się inspektor. – Ja?

– Pan – odrzekł twardo Romek. – I nie sądzę, żeby regulamin dopuszczał... takie... Ach! – Machnął ręką, wyraźnie zdenerwowany. Niespodziewanie odwrócił się i ostentacyjnie odszedł.

– Pogadamy o tym później! – krzyknął za nim Szydło. – Odpowiesz za niesubordynację!

Wrócił spojrzeniem do zwłok strażnika. Poczł mdłości.

– Zabezpieczyć teren – rozkazał i stanął przed wyłamanym oknem, z ulgą wdychając świeże powietrze.

Ktoś podszedł. Spojrzał badawczo, ale to nie był Romek.

– Dziewczyna czeka w szatni – powiedział funkcjonariusz. – Już się przebrała.

– Jak z nią?

– Chyba nieźle. Jest młoda, wie pan, najgorsze są gospodynie domowe powyżej czterdziestki, pewnie bez pogotowia by się nie obeszło.

– Tak, wiem. – Inspektorowi jakoś nie było do śmiechu. – Dobrze. Zaraz przyjdę.

Nagle dostrzegł, że coś wisi w dolnej części wyważonej kraty.

Przechylił się przez szeroki jak stół wykusz, nie zważając na brudzący ubranie pył.

– Co to? – zapytał z tyłu jeden z policjantów, których nagle namnożyło się w muzeum. Widać do trzech radiowozów, które przyjechały wcześniej, dołączyły następne. Wszystkich, którzy są na służbie, gna jak sępy do padliny! Lada moment będzie tu komisarz.

– Marynarka – odpowiedział Karol Szydło, dostawszy się wreszcie do kraciastej poły.

Wyprostował się, z czerwoną od wysiłku twarzą, z brzuchem białym od kredy.

– Wygląda na to, że ptaszek wyfrunął, ale sprawdźcie dokładnie całe muzeum. Może tylko chciał, żeby tak to wyglądało.

Przeszukał marynarkę. Jedna kieszeń pusta. W drugiej natknął się na coś twardego, w pierwszej chwili pomyślał, że znalazł pistolet zabrany strażnikowi, ale gdy wyciągnął przedmiot, ze zdumieniem stwierdził, że to kość. Stara, ogryziona kość, brudna i pęknięta z jednej strony. Śmierdziała śmietnikiem.

Na co komu taka kość?

Karol Szydło zdziwił się tylko trochę. Sądził, że po tym, co widział w akademiku, już nic nie jest w stanie naprawdę go zaskoczyć.

Ale, oczywiście, mylił się.

NIEDZIELA. Dom Studenta nr 1.

Policyjny radiowóz zatrzymał się.

– Odprowadzić panią do pokoju? – zapytał policjant.

Był młody, sympatyczny, miał na imię Romek i zasmuconą minę. Magda wiedziała, skąd ten smutek; czuła się trochę winna, choć cały jej udział sprowadzał się do tego, że na pytanie inspektora Szydły odpowiedziała, iż nie sądzi, żeby nieznajomy sprzed Zamku Książąt Pomorskich był w zмовie z mordercą. Inspektor posłał wtedy druzgocące spojrzenie w kierunku młodego funkcjonariusza, który skulił się, jakby deszcz padał mu za kołnierz.

– Odprowadzić? – Uśmiechnęła się. – Nie, nie trzeba.

Odwzajemnił uśmiech i skinął głową:

– W akademiku jest nasz człowiek. Będzie uważał, jakby co...

– Tak, wiem. Pan Szydło wszystko mi powiedział.

„On powiedział wszystko”, pomyślała. Ja natomiast nie”. Nie powiedziała, że Wielgus i Pożoga bez wątplenia znali się wcześniej, nie wspomniała o incydencie z dwoma chuliganami w herbaciarni. Lecz przede wszystkim zataiła istnienie Gnata, chociaż przez cały czas czuła chłód w okolicy prawego uda, w miejscu gdzie kieszeń dżinsów dotykała ciała.

Gnat. Przedziwny kawałek materii (magicznej, jakoś nie potrafiła myśleć o tym inaczej), który uratował jej życie. Nie zdobyła się na odwagę, żeby wydobyć na światło dzienne nie tylko sam przedmiot, ale i jego wspomnienie. Coś ją powstrzymywało: nie tylko obawa, że w końcu uznają ją za wariatkę – niedużo potrzeba, wszak przeżyła szok – ale i trudny do wyjaśnienia wewnętrzny imperatyw. Wiele dni później, gdy już się uspokoiła, a koszmary odeszły w przeszłość, zrozumiała, że są na świecie tajemnice, które wyjawia się tylko w wyjątkowych chwilach. Na razie jeszcze tego nie wiedziała, ale wiedzę zastąpiła intuicja; to ona nakazała zaufać Wielgusowi, zakazywała przysparzać mu kłopotów.

Przecież nie zasłużył na nie – tak naprawdę to on (jego Gnat), nie policja, przepłoszył Pożogę.

Zresztą, nawet to co wyznała, w oczach przesłuchującego ją inspektora musiało wyglądać co najmniej histerycznie.

– Zdaje sobie pani sprawę, że te zeznania są trochę... hm... fantastyczne? – zapytał Karol Szydło.

Stali przed czterechsetletnią intarsjowaną szafą.

– Miał zmieścić się tutaj? – Uchylił prawe drzwiczki i zajrzał do środka. – No tak – zreflektował się. – Teoretycznie to rzeczywiście możliwe... – Czuł, jak kłamstwo różowi mu twarz. – Jednak... po co miałby to robić?

– Skąd niby mam to wiedzieć? – wybuchnęła Magda. – Mówiłam już, że to jakiś świr,

zachowywał się jak... – szukała odpowiedniego słowa – jak Jack Nicholson w tym filmie o Batmanie!

– Przepraszam – powiedział inspektor, choć jego mina świadczyła, że raczej nie oglądał wspomnianej ekranizacji komiksu. – Ja tylko próbuję zrekonstruować wydarzenia. Czasami jakiś pozornie nieważny drobiazg może naprowadzić na ślad.

– W takim razie... – Magda zawahała się. – Jest jeszcze coś.

– Tak?

– Tylko niech pan znów nie komentuje, że to brzmi fantastycznie.

– Już przeprosiłem – zauważył Szydło.

– Mówiłam wcześniej o pani Witkacy. Tak sobie myślę, że pan Zenon naprawdę mógł nie wiedzieć, że zginęła w wypadku... bo, widzi pan... Kiedy ten facet, morderca, podchodził do niego; w pewnym momencie podniósł do góry koszulkę. Odsłonił piegowatą klatkę piersiową, raczej rachityczną, z rzadkimi włosami...

– I co? – spytał wyczekująco inspektor.

Magda westchnęła.

– Mówił o jakimś striptizie i... Ja odniosłam wrażenie, że pan Zenon naprawdę widział wtedy nagą kobietę. Tak sobie myślę, że może... Może on go zahipnotyzował?

– No to do widzenia. – Policjant Romek wyciągnął rękę.

Odwzajemniła uścisk, a wtedy on zapytał, najwyraźniej zmieszany:

– Czy wtedy, gdy przyjechaliśmy, a pani była zamknięta w zamku, czy może słyszała pani przez drzwi, jak tamten człowiek mówił do mnie, że nazywa się Wielgus?

– Mówił do kogoś, kogo inspektor Szydło nazywał Romkiem. Jeśli to pan... – Zawiesiła głos, widząc, jak mężczyzna smutnieje jeszcze bardziej.

– Bo ja tego nie pamiętam – wyznał, niespodziewanie również dla samego siebie. – W ogóle nie pamiętam. A pewnie puściłem wolno faceta, który mógł być współnikiem mordercy. Cholera! Jak to możliwe?

– On nie był współnikiem – zapewniła Magda. – Tym niech się pan nie martwi. Próbował mi pomóc. Naprawdę.

– Dzięki. Dobre chociaż i to. – Policjant wszedł do radiowozu.

Odjeżdżając, zasalutował na pożegnanie.

Magda Papisten weszła do akademika. W holu rozejrzała się, poszukując wzrokiem kogoś, o kim wspominał Romek – ochroniarza wcinającego hamburgera, jak to widać na licznych filmach o psychopatach czających się na bezbronne kobiety. Nie zobaczyła nikogo takiego. Natomiast na fotelikach, przy wielkiej przenośnej popielnicze siedzieli ONI.

Wielgus i Pożoga.

Razem.

Serce dziewczyny stanęło, przestała oddychać. Próbowwała się cofnąć, lecz Wielgus zatrzymał ją gestem dłoni. Wstał. Pożoga najwyraźniej zamierzał pójść w jego ślady, lecz został osadzony na miejscu jedną krótką komendą – słowo było niezrozumiałe, lecz ton głosu owszem. Tak mówi się do psa, zarejestrowała Magda pomimo przerażenia.

Wielgus podszedł do niej.

– Proszę zachować spokój – rzekł ściszym głosem. – Proszę pamiętać, że ma pani Gnat. Dzięki Gnatowi sytuacja Pożogi, wbrew pozorom, jest w tej chwili zdecydowanie gorsza, niż pani.

– Cześć! – Grupa roześmianych studentów przeszła przez hol, nie poświęcając im większej uwagi. Ten powrót do codzienności pozwolił Magdzie ochłonąć. Strach zelżał. Sięgnęła do kieszeni i odniosła wrażenie, że wkłada rękę do zamrażarki.

– Nie musi go pani wyjmować – poinformował Wielgus. – Wystarczy ścisnąć.

Ścisnęła.

– Co tu robicie?

– Zawarliśmy układ.

– Układ z mordercą?

– Odpowie za to w odpowiednim miejscu i czasie.

– Zaufałam panu! – wyrzuciła z siebie żal.

– I słusznie – starał się ją uspokoić. – Podejdźmy do niego, proszę się nie bać, teraz nie jest niebezpieczny, gwarantuję.

– Chyba oszalałam. – Magda westchnęła i podążyła za Wielgusem. W zanurzonej w kieszeni dłoni czuła chłód Gnata.

Požoga uklonił się, ale nie wstał z fotelika. Włosy miał gładko przyczesane, twarz łagodną, a na niej lekki, wręcz nieśmiały uśmiech. W niczym nie przypominał świra, który kilka godzin wcześniej z psychopatyczną przyjemnością zastrzelił strażnika.

Był wręcz przystojny i uwodzicielski.

Mimo wszystko Magda wołała nie podchodzić zbyt blisko.

– Każdy z nas ma dla pani pewną propozycję – rzekł Wielgus.

– Powiem bez ogródek: pierwsza oferta jest wyjątkowo korzystna, druga niesie wielką niewiadomą i poważne ryzyko, że wszelkie wysiłki pójdą na marne. Niestety, ze smutkiem wyznaję, iż ta druga pochodzi ode mnie.

Na chwilę zamilkł, zapewne po to, by jego słowa zostały dobrze zrozumiane.

– On – wskazał Pożogę, który skinął głową, niczym przedstawiany uczestnik teleturnieju – chce pani zaproponować koniec koszmaru, a na dodatek sławę i bogactwo.

Požoga roześmiał się od ucha do ucha, jego oczy promieniały życzliwością. Święty Mikołaj bez brody.

– A pan?

– Proponuję kontynuację tego, co zaczęliśmy, lecz prawdę mówiąc, nie gwarantuję niczego poza rzetelną opieką.

– A cóż takiego my zaczęliśmy? – spytała zdumiona Magda.

Wielgus chrząknął.

– Szkopuł w tym, że tego właśnie nie mogę wyjawić. Mógłbym wszystko popsuć, a to byłoby niewybaczalne...

– Ścieliby mu łeb jak nic – wtrącił Pożoga, lecz zaraz uniósł przepaszająco dłoń, gdy uciszyło go ostre słowo w obcym języku.

– Byłoby niewybaczalne nie tylko ze względu na moje osobiste interesy, jeśli już o tym mowa – dokończył Wielgus.

– W zasadzie swoje już powiedziałeś – oznajmił Pożoga. – Mogę teraz ja?

– Proszę.

Spojrzenie łagodnych oczu spoczęło na Magdzie, która natychmiast odwróciła wzrok.

– Znam takie miejsce, dość daleko stąd, bo aż pod Cedynią, gdzie niecały metr pod ziemią jest zakopany mały gliniany kubek, z uszkiem w kształcie głowy zaskrońca. Kubek pochodzi z 1001 roku i jest naprawdę cenny, ale mniejsza o niego. Otóż w owym kubku poza kilkoma biżuteryjnymi drobiazgami, wartymi małą fortunę, znajdują się dwie bezcenne dziś monety. Denary Bolesława Chrobrego.

Požoga westchnął.

– Z ciężkim sercem, ale wyjawię to miejsce. Narysuję dokładną mapkę, dziecko by trafiło. Zapewne zastanawia się pani, co chcę w zamian? Otóż nic. Wystarczy, że wyjedzie pani z miasta, najlepiej zaraz, najbliższym pociągiem, obojętnie gdzie, byle daleko. I nie wróci pani wcześniej niż w środę.

Dziewczyna nie odzywała się. Spoglądała pytająco na Wielgusa, który pokiwał głową:

– Jeśli chodzi o denary króla Chrobrego, to mówi prawdę.

Przymrużyła oczy i spojrzała na rozpostartego w foteliku mężczyznę.

– Dlaczego tak ci zależy, żebym zniknęła z miasta? – spytała z nieoczekiwaną śmiałością.

Znów się uśmiechnął, wzruszył ramionami i w odpowiedzi rozłożył bezradnie ręce.

– Dlaczego to jest warte dwóch denarów? – Powróciła wzrokiem do Wielgusa, który jednak również milczał.

– Plus biżuteria – przypomniał Pożoga. – O kubku z zaskrońcowym uszkiem nie wspominając. Zdaje sobie sprawę, że w myśl bandyckich przepisów waszego kraju skarby nie należą do uczciwego znalazcy, więc proponuję ujawnić jedynie denary, i tak nikt nie zapłaci za nie uczciwej ceny, za to pani nazwisko trafi do kronik na wieki, do gazet na miesiąc, radia i telewizji na tydzień. Kto wie, czy nie zrobią gry komputerowej z postacią wzorowaną na

poszukiwaczce skarbów Magdzie Papisten? Natomiast biżuterię radzę zatrzymać. Może nie dziś, nie jutro, ale za parę lat z pewnością zdoła ją pani spieniężyć. Wystarczy na dostatni żywot.

– Dzielisz skórę na niedźwiedziu – rzekł Wielgus.

– Jak się wytacza armatę przeciwko pistoletowi na wodę, wynik wojny jest przesądzony – padła riposta.

Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– A gówno! – wyrecytowała zwięźle Magda Papisten.

Odwrócili głowy równocześnie, jakby kto pociągnął za niewidzialny sznurek. Na obu twarzach malowało się zaskoczenie.

– Chodźmy po moje rzeczy, panie Wielgus. Nie wyjadę z miasta. Ale rozumiem, że tutaj również nie mogę zostać! – Patrzyła spokojnie, bez strachu, który tkwił w niej jeszcze przed minutą.

Pewny siebie uśmiech, rzadki gość na ładnej twarzy, w jednej chwili odmienił nastroje.

– Doskonale pani rozumie – ocknął się Wielgus.

Gdy wchodzili na schody, pokazał Pożodze środkowy palec.

Sekundę później zmiarkował się i z lekko zaczerwienionymi policzkami podążył za dziewczyną.

– Pozwoli nam odejść? – zapytała, gdy weszli na piętro.

– Mamy godzinę, taka była między nami umowa.

– Wierzy pan w umowy z kimś takim?! Założę się, że kłamie kiedy tylko może.

– I owszem. A nawet jeszcze częściej. Ale nie teraz, nie w tej sytuacji.

– Jednak...

– To nie kwestia wiary, ja to wiem.

Magda nacisnęła klamkę i weszła do segmentu. W progu swojego pokoju zatrzymała się nagle, wydając niekontrolowany okrzyk. Wielgus skoczył naprzód, zasłonił sobą dziewczynę.

Na wąskim tapczanie leżały dwie osoby; nagie, jak je Pan Bóg stworzył. Beata Krzak naciągnęła na głowę kołdrę, sprawdzonym od wieków sposobem znikając ze świata. Młodszy aspirant Przemysław Mroczek wyskoczył z pościeli jak oparzony i sięgnął do przewieszanej przez oparcie krzesła kabury z pistoletem.

Oddając sprawiedliwość, należy zaznaczyć, że zabrało mu to najwyżej sekundę.

– Ręce do góry! – krzyknął schrypniętym głosem. – Policja!

Wielgus bez zwłoki zastosował się do polecenia. Obok jego ramienia pojawiła się głowa Magdy.

– To pan miał mnie ochraniać? – zapytała, nie tracąc rezonu.

Bez skrepowania, ostentacyjnie, spoglądała na niczym nie zasłonięte męskie przyrodzenie.

Pistolet zadrżał w policyjnej dłoni.

– Tak, ja – wykrztusił aspirant, który nagle zdał sobie sprawę ze swej golizny. Nie przestawał jednak mierzyć z pistoletu, usiłując równocześnie lewą ręką zasłonić najbardziej wstydliwą część ciała, co niezbyt mu się udawało, zważywszy na erekcję, nie zamierzając ustąpić mimo wrażeń.

– Kto to jest? – Wskazał lufą (pistoletu) na Wielgusa.

– Kolega.

– Aha! – Zdeprimowany Przemysław Mroczek zdecydował się opuścić broń. – Przepraszam, zaskoczył mnie pan. – Patrzył na Wielgusa spode łba. Szybkim ruchem sięgnął po koszulę i zasłonił genitalia. Wolną ręką otarł z czoła nieistniejący pot.

– Nic nie szkodzi – odparł Wielgus.

Spod kołdry wysunęła się marchewkowa czupryna Beaty Krzak.

– Cześć Magda! Dobrze, że jesteś! Masz pojęcie co tu się działo? – Z entuzjazmem przywitała przyjaciółkę.

– Właśnie widzę.

– Ja nie o tym. – Studentka zachichotała i machnęła ręką, jakby odganiała muchę. – Mam na myśli dzisiejszą noc. Istny horror.

– Mniej więcej wiem. Opowiedzieli mi podczas przesłuchania.

– Uff! – Beata opadła na poduszkę. – Ale wreszcie czuję się lepiej. Dzięki, młodszy aspirancie.

– Yhm... – Na twarzy policjanta pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Ty nigdy się nie zmienisz – zauważyła Magda.

– No wiesz... Skończyły mi się papierosy, a Przemek...

– Puściłaś się za paczkę papierosów?!

Beata roześmiała się głośno, jakby usłyszała dobry dowcip.

– Na to wychodzi... Wiesz, jaką dziewczyny z akademika mają reputację na mieście.

W końcu ktoś musi na tę opinię zapracować, no nie?

– Bardzo śmieszne – zauważyła z przekąsem Magda. – Bardzo.

– Nie bądź dewotką.

– W porządku. – Magda uniosła ugodowo dłonie. – Nie będę wam przeszkadzać. Wezmę tylko parę drobiazgów i znikam.

– Nie powinna pani! – zaproponował policjant. – Po tym, co się dzisiaj stało...

– A cóż takiego się stało? Jestem więźniem?

– Oczywiście, że nie, ale...

Magda Papisten nie słuchała. Wrzuciła do małego plecaka swoje rzeczy i wraz z Wielgusem wyszli z pokoju.

– Proszę poczekać! – Młodszy aspirant Przemysław Mroczek wybiegł za nimi, zaraz jednak zawrócił, przygwożdżony wzrokiem dwóch studentek rozmawiających w korytarzu.

– Powiniennem z nią pójść – powiedział do Beaty, rzucając w kąt koszulę. Wciąż miał erekcję.

– Ale nie poszedłeś – zauważyła trzeźwo dziewczyna. – Zapalimy?

NIEDZIELA. Ul. Psie Pole.

Stali na rogu ulic Psie Pole i Henryka Pobożnego.

Od strony położonej nieopodal ruchliwej trasy na Gdańsk co jakiś czas skręcały samochody, przemykając ulicą Pobożnego, żaden jednak nie zamierzał zwolnić przy skromnym skrzyżowaniu, gdzie sterta skrzynek z warzywniaka leżała aż na bruku (kocich łbach, nomen omen). Na Psim Polu nikt nie parkował, nie licząc sfatygowanej hulajnogi, porzuconej niedbale w kałuży.

– Nigdy tu nie byłam – powiedziała Magda, zerkając ciekawie w głąb zaśmieconej uliczki. – Setki razy przechodziłam obok i nawet nie zauważyłam, że coś tutaj jest. Czy to nie dziwne?

– Wcale nie – stwierdził Wielgus. – Psie Pole nie rzuca się w oczy. To jego podstawowa zaleta; ogromna, jak będzie pani miała okazję się przekonać. Założę się, że większość rodowitych słupszczan nie ma pojęcia o istnieniu w ich mieście tej ulicy, a nazwa Psie Pole, jeśli z czymkolwiek im się kojarzy, to najwyżej z miejscem zwycięstwa wojsk Jego Wysokości Bolesława III nad Jego Wysokością Henrykiem V. Z tym, że nie ma to nic do rzeczy, bo bitwa odbyła się w zupełnie innym miejscu, gdy nad Słupią stały trzy chaty na krzyż.

– Ach tak – powiedziała Magda Papisten, spoglądając z ukosa na swego towarzysza. Wciąż jeszcze nie przywykła do jego poważnego wysławiania się.

Wielgus chrząknął dyskretnie, przykładając do warg zwiniętą w kułak dłoń.

– Przepraszam – odrzekł. – Nudzę panią?

– Ależ skąd – odparła, mimowolnie przyjmując narzucony styl rozmowy. – Chciałabym jednak wiedzieć, dokąd mnie pan prowadzi. Widzę tylko kilka zaniedbanych budynków i zakręt.

– To zależy – odparł z wahaniem Wielgus. – W zasadzie ten zakręt stanowi koniec ulicy, jeśli jednak pójdziemy kawałek dalej...

– Za zakręt?

– Nie.

– To dokąd, przecież na wprost jest tylko płot i odrapany tył jakiegoś budynku?

– W zasadzie tak, jednakże po drodze... hmm... jest jeszcze kilka starych kamienic, i park, i Rybny Staw, i... – Wielgus zamilkł, zorientowawszy się, że oczy Magdy przybierają dziwny wyraz.

Przez chwilę milczeli. Dziewczyna strzepnęła nieistniejący kurz z niebieskich džinsów, które miała na sobie.

– Dlaczego wciąż stara się pan być taki zagadkowy? – zapytała. – Czy nie można mówić bardziej po prostu?

Wielgus uśmiechnął się przeproszająco. Rozłożył ręce.

– Wcale nie staram się być zagadkowy – oświadczył. – Wręcz przeciwnie. Robię, co mogę,

żeby takim nie być. Ale widać nie jest to takie proste.

– Wystarczy być szczerym.

– Ależ jestem, problem w tym, że nie mogę powiedzieć wszystkiego. Pewne ogólniki wynikają z tej właśnie niemożności.

– A dlaczegoż to pan nie może?

Westchnął i spojrzał w niebo. Znikąd pomocy.

– Gdyby wzięła pani starszą mapę Słupska, powiedzmy sprzed trzydziestu lat, zauważyłaby pani, że tam ulica Psie Pole jest troszeczkę dłuższa. Na mapie sprzed stu lat byłaby dłuższa przynajmniej dwukrotnie, zatem...

– Pytałam, dlaczego nie może pan być ze mną całkowicie szczerzy?

Tym razem patrzył jej prosto w twarz, jakiś zasmucony, wyraźnie spięty.

– Bo się boję – rzekł cicho.

– Czego?

– Boję się, że mnie pani zostawi. Ucieknie i nie będzie chciała więcej rozmawiać. – Nie spuszczał dziewczyny z oczu, wyczekując na reakcję.

– Ależ... – Słowa Wielgusa wyraźnie zbiły Magdę z tropu. – Przecież... to ja się boję. Że nagle zniknie pan, jak sen, i zostanę sama z tym koszmarem z zamku. Ze wspomnieniem szaleńca mordercy. Z idiotycznym pytaniem, czy naprawdę był człowiekiem. Bo jeśli...

– Jeśli co? – zapytał Wielgus po dłuższej chwili, bo Magda zacięła się, jakby niespodzianie głos odmówił jej posłuszeństwa.

– To trudne.

– Proszę mówić.

– Mój ojciec ma schizo...

– Jej stary jest czubkiem! – wołał Adam, czarnowłosy chłopak, w którym jedenastoletnia Magda kiedyś się podkochiwała.

Ale to było w zeszłym roku. Teraz go nienawdziła.

– Czubkiem! – podjął ktoś inny.

Magda uciekła. W domu długo leżała na tapczanie i płakała.

Nie słyszała, kiedy wszedł tata, mimo że człapał w swoich łączkach, jakby był starym dziadkiem, a nie mężczyzną przed czterdziestką, wciąż bez śladu siwizny na czarnych jak węgiel włosach. Oboje z matką mieli czarne włosy, takie musiała mieć i ich jedyna córka, jeśli nie zamierzały odezwać się zbyt stare zapisy genów.

To, że tata człapał i chodził zgarbiony, jakby przybyło mu lat, wbrew pozorom było dobrym znakiem. W dniach nawrotu choroby prostował się, młodził w oczach, wręcz tryskał zdrowiem.

Jego wymagany świat najwyraźniej lepiej mu służył od tego, który otoczenie uznawało za realny.

– Dlaczego płaczesz, córeczko? – zapytał.

– Oni mówią, że jesteś czubkiem! – wyznała, nadal łkając i nie zdając sobie sprawy, jaki ból sprawia ojcu.

– Nie jestem czubkiem – odpowiedział, może celowo nie unikając drażliwego słowa. – Co to w ogóle znaczy być czubkiem, twoim zdaniem, kochanie?

– No... wariatem... – Zachłysnęła się powietrzem, wstrząśnięta spazmem po niedawnym płaczu.

– Cóż takiego robi wariat, że tak go zwą? – zapytał tata i natychmiast odpowiedział na swoje pytanie: – Wariat zachowuje się po wariacku, robi głupie miny, ślini się i plecie bzdury, kompletnie przy tym bełkocząc. Czy jeśli za chwilę tak właśnie zrobię, uwierzysz, że jestem wariatem?

Uśmiechnęła się, pociągnęła nosem i otarła go wierzchem dłoni, myśląc równocześnie, że nie powinna tego robić, do tego przecież służą chusteczki, na szczęście tata nigdy nie zwracał na to uwagi, w odróżnieniu od mamy, drażliwej na punkcie odpowiedniego zachowania się (wariactwo!).

– Pewnie, że nie – odpowiedziała tacie.

– Czy kiedykolwiek widziałaś, żeby bełkotał, pluł i robił głupie miny?

– Nie – odparła, ale przez chwilę jakiś cień usiłował wtrącić się w ten dialog ojca i córki. Przegoniła ten cień i bardzo chciała, by nigdy nie wrócił. Raz widziała, jak tata był dziwny. Nie pluł i nie robił żadnych min, ale z kimś rozmawiał. Gdy zaczął się kłócić, do pokoju wbiegła mama i kazała iść Magdzie na podwórko. Magda poszła chętnie. Bardzo chętnie. Była wystraszona, bo oprócz niej i taty w pokoju nie było nikogo.

– Mój ojciec ma schizofrenię – powiedziała.

Na pozór odbiegła od tematu. Twarz miała poważną i zamyśloną, jak wtedy w Spichlerzu Richtera, przy pierwszym spotkaniu. Zamilkła, jakby te kilka słów miało wszystko wyjaśnić.

Wielgusowi wyjaśniało.

– Boi się pani, że nie wszystkie wspomnienia są prawdą. Na zamku wydarzyło się coś złego, ale czy na pewno wyglądało tak, jak to pani zapamiętała? Czy możliwe, żeby umysł zniekształcił, przeinaczył, wręcz dorobił epizody całej tej historii? – Na chwilę zawiesił głos, pokręcił głową, po czym podjął: – Wszystko wydarzyło się naprawdę, wspomnienia są prawdziwe w każdym szczególe. Świat ani przez chwilę nie przestał być realny, jeśli już chcemy nazwać to po imieniu. Ani ja, ani Pożoga nie znikniemy jak duch, dym, czy co tam postrzegają chore zmysły. Samo

przypuszczenie, że może być pani schizofreniczką wydaje mi się absurdalne.

Dziewczyna uśmiechnęła się, z nieśmiałym błyskiem wdzięczności w oczach.

– Lepiej już chodźmy – powiedział Wielgus po dłuższej chwili.

Wszedł na wąski chodnik, poprowadzony wzdłuż trzech budynków króciutkiej uliczki.

– Wciąż nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłam, nie opowiadając o panu policjantowi – powiedziała Magda.

– Nie uwierzyłby – skwitował Wielgus.

– Mam dowód... – Sięgnęła do torebki i wyjęła Gnat. Wciąż był zimny jak lód.

– Proszę mi go oddać – rzekł Wielgus i wyciągnął dłoń. – Należy do mnie – ponaglił stanowczo, widząc wahanie dziewczyny.

– Oczywiście. – Oddała rekwizyt i poczuła coś w rodzaju ulgi.

Jakby w jakiś sposób zażegnała nieznane zagrożenie.

Wielgus schował Gnat do kieszeni.

– A co to właściwie jest? – zapytała Magda.

– Kość gryfa. Zdaje się, że fragment stopy. Nie jestem pewien, nigdy się tym specjalnie nie interesowałem.

Minęli pierwszy budynek ulicy Psie Pole.

– Gryfa?

– Macie go w herbie miasta... Pół lew, pół...

– Wiem, czym jest gryf – przerwała dziewczyna. – Ale przecież to postać mitologiczna!

Wielgus wzruszył ramionami.

– Jak pani uważa – odparł.

Obojętnie przeszedł obok drzwi drugiego budynku.

– Dlaczego Pożoga tak wystraszył się Gnata?

– Doskonale wie, że z gryfem nie ma żartów, żadne ryzyko się nie opłaci. Gryf to gryf.

Zadaje pytania dopiero gdy się naje.

Więc rzadko zdarza się, żeby pozostał ktoś zdolny na nie odpowiedzieć.

– Sugeruje pan, że kawałek kości mógłby przeistoczyć się w gryfa?

– Nic podobnego! – zaprotestował Wielgus, najwyraźniej oburzony naiwnością hipotezy. –

W gryfa może zmienić się posiadacz Gnata – sprostował.

Minęli trzeci, wyjątkowo odrapany budynek ulicy Psie Pole. (Zaaferowana rozmową Magda nawet tego nie zauważyła).

– Ja? W gryfa?

– Właśnie.

– Mam w to uwierzyć?

– Pożoga uciekł jak zmyty – zauważył Wielgus. – Ważne, że on uwierzył.

– A pan wierzy?

– Raczej tak – odpowiedział Wielgus i zwolnił. Zbliżali się do następnej kamienicy.

– Dlaczego więc nie stałam się gryfem, szanowny panie?

– Nie było bezpośredniego zagrożenia życia.

– Nie było bezpośredniego zagrożenia życia? – powtórzyła jak echo Magda. – Jeśli to nie było bezpośrednie zagrożenie, to co miałyby nim być?!

– Gdyby się na panią rzucił.

– Wtedy raczej byłoby za późno.

– Przemiana jest natychmiastowa.

– I co by się stało?

– Trudno wyrokować. Na początek z pewnością pożarłaby pani Pożogę, potem mnie. Wątpię, żebym zdążył uciec, takie drzwi jak w Zamku Książąt Pomorskich, to dla gryfa papierowa kartka.

– A potem?

– Nie byłoby wesoło. Problem polega na tym, że przemiana w gryfa jest nieodwracalna.

Wielgus zatrzymał się. Stali przed masywnymi, na wpół uchylonymi drzwiami w czwartym, licząc w linii prostej od ulicy Pobożnego, budynku na Psim Polu.

– Chociaż... – kontynuował Wielgus – rzeczywiście całe to przeobrażenie wydaje się dość wydumanym efektem... Prawdę mówiąc, nigdy nie miałem okazji sprawdzić tego fenomenu. Tak mi powiedzieli, więc uwierzyłem, ale cóż... Pani wątpliwości, przyznam, udzielają się teraz i mnie.

Kamienica była jeszcze bardziej zaniedbana niż poprzednia.

Z pradawnego tynku pozostały tylko resztki, większość ścian ukazywała szerniąłą, łuszczącą się cegłę. Nie pachniało zbyt miło.

Gdzieś w górze stuknęło okno i na chodnik posypały się odpadki, głównie obierki po ziemniakach.

– Gdzie my jesteśmy? – Zdumiona Magda spoglądała w tył, na trzy budynki, które minęli. Ulicą Henryka Pobożnego, dość teraz oddaloną, jeździły samochody; chodnikiem wędrowali przechodnie. Magda spojrzała w przeciwną stronę. Płot i tył budynku przy ulicy Sierpinka wydawały się prawie tak samo odległe jak wcześniej, z perspektywy skrzyżowania.

– Mówiłem, że pójdziemy nieco dalej – przypomniał Wielgus.

– Nadal jesteśmy na Psim Polu! Nadal przed zakrętem. Jak to możliwe?

– Nie mam pojęcia, przyznam szczerze. Tym również nigdy się nie interesowałem. – W głosie mężczyzny było słycać nutę zawstydzienia.

– Skąd wziął się ten dom?

Wielgus zamrugnął, zakłopotany.

Z góry znów poleciał deszcz ziemniaczanych obierek. Zleciały się ptaki, najpierw wróble,

potem głośne wrony.

– Wejdźmy do środka – powiedział Wielgus. – Bo jeszcze coś spadnie nam na głowy.

Na klatce schodowej przywitał ich chłód i szarość; tylko jedno małe okienko wychodziło na podwórko; jeśli kiedykolwiek było ich więcej, to zamurowano je dawno temu. Ku zdumieniu Magdy było tu czysto i schludnie.

– Uwaga! – ostrzegł Wielgus i nagle po prawej stronie otworzyły się drzwi. Na korytarz wyszła zgarbiona kobieta w czerni, o bladej, pełnej zmarszczek twarzy, ze spiętymi w kok siwymi włosami.

– Państwo są z Hadesu? – W schrypniętym głosie brzmiał smutek, lecz również odrobina nadziei.

– Na szczęście nie – odpowiedział Wielgus.

Nadzieja zniknęła z oczu kobiety; pozostał w nich tylko smutek.

– Dlaczego nikt nie przychodzi?

– Nie wiem.

Westchnęła i mrucząc coś pod nosem, wróciła do mieszkania.

Na piętro weszli po drewnianych schodach, zabezpieczonych na rantach wytartymi, stalowymi listwami. Poręcz również była drewniana, ze śladami ciemnobordowej farby sprzed wieków. Na drzwiach, przed którymi stali, widniała elegancka, mosiężna wizytówka S. Wodnik. Wielgus nacisnął dzwonek, który zbulgotał dziwacznie. Czekali, ale nikt nie otwierał. Nikt nie otworzył również po powtórny naciśnięciu dzwonka.

– Widać wyszedł... – mruknął Wielgus i schylił się ku słomianej wycieracze, spod której wyjął trzy klucze, pozornie jednakowe, różniące się jednak rozstawem ząbków.

– Który? – zapytał Magdę.

– Może ten? – Wskazała pierwszy z brzegu.

– Proszę się odsunąć – polecił Wielgus. – Jeszcze dalej, najlepiej na półpiętro.

Dopiero gdy zrobiła jak kazał, włożył klucz do zamka i przekręcił. Otworzył drzwi. Przez moment stał w bezruchu, jakby oczekiwał, że się coś wydarzy.

– Przepraszam, to nie brak zaufania, lecz zwykła ostrożność, taka jest procedura – poinformował Magdę. – Ostrożności nigdy za wiele.

– A gdybym wybrała inny klucz?

– Trudno przewidzieć. Kiedyś pewnemu włamywaczowi wybuch urwał całą dłoń.

– Nieprawda!

– Fakt – zgodził się Wielgus. – To były tylko trzy palce.

Nie była pewna, czy wciąż nie żartuje.

– Nie wiedziałam, który klucz jest właściwy – wyznała.

– Akurat! – skwitował Wielgus.

Weszli do mieszkania. Wszędzie stały akwaria: na półkach, stołach. Większe ustawiono wprost na podłodze. Jedna ze ścian w całości stanowiła gigantyczny, szklany zbiornik, zielony od gęstych roślin, wśród których krzątały się różnobarwne ryby. Po drugiej stronie wodnej tafli było widać kuchnię, ze zwyczajną lodówką, gazowym piecykiem i niezwykłym srebrnym samowarem, wielkim niczym lokomotywa. Ciszę zakłócała praca urządzeń natleniających wodę i bulgot wydostających się z akwariów baniek. W wilgotnym powietrzu unosiła się lekka woń gnijących roślin, całkiem jednak przyjemna, jak w ciepłym, botanicznym ogrodzie. Wszystko tonęło w nikłym blasku dziesiątek słabych lampek, połączonych ze sobą cienkim przewodem. Rozwieszona pod sufitem sieć fosforyzowała zgniłą zielenią.

– Ale чудо! – zawołała z podziwem Magda. – Kto tu mieszka?

– Wodnik.

– Nazwisko widziałam na drzwiach. Pytam, co to za człowiek. Też taki... niezwykły jak pan?

– Zależy, co ma pani na myśli. W każdym razie jest słupszczaninem od urodzenia. Utopił się w Słupi, będąc dzieckiem.

– Przecież żyje, jak sędzę...

– Bo ja wiem? – zastanowił się Wielgus – Właściwie tak.

Usiadł na kanapie.

– Wreszcie mogę odpocząć. – Westchnął i rozparł się wygodniej. – Jestem na nogach chyba ze sto godzin. Nie pogniewa się pani, jeśli się zdrzemnę? Tutaj jesteśmy bezpieczni.

– Nie pogniewam się – odparła machinalnie Magda. – Ale proszę powiedzieć, co z tym Wodnikiem?

– Nie wiem dokładnie. Utopił się, a potem go wyciągnęli, wypompowali z płuc wodę i powiedzieli, że jest uratowany. Ale on w to nie uwierzył. Nie dał się nabrać. Miał dopiero siedem lat, ale dobrze wiedział, że człowiek nie może żyć, jeśli wielki szczupak przytrzyma go za nogę dwie godziny pod wodą.

– A świstak nic, tylko zawija je w sreberko... – Zrezygnowana Magda usiadła w fotelu naprzeciwko. Od Wielgusa, z trudem usiłującego zapanować nad opadającymi powiekami, oddzielał ją drewniany stolik z blatem w kształcie ryby płaszczy.

– Proszę?

– Nic, nic, taka telewizyjna reklama. Miła, ale równie bezsensowna, jak to, co pan plecie...

Magda przerwała i niespodziewanie zarumieniła się.

– Przepraszam – powiedziała speszona. – Nie to chciałam... Wszystko jest takie dziwne. – Westchnęła. – Od kiedy pana spotkałam, świat stał się inny. Niesamowity.

– Ani mi w głowie się obrażać – oświadczył pogodnie Wielgus. – Doskonale panią rozumiem. Ale oświadczam, że świat jest wciąż taki sam. To tylko pani patrzy inaczej.

– Jednak trochę się boję...

– Ale jednocześnie ten świat panią pociąga – dokończył sennie Wielgus.

– Tak – przyznała. – Skąd pan wie?

– Już to kiedyś słyszałem. Dawno temu, od osoby bardzo do pani podobnej. Ona również, będąc dzieckiem, marzyła, że zostanie wróżką.

– Ja o tym marzyłam? – zdziwiła się.

– Nie? – W jednej chwili powieki Wielgusa przestały opadać. Oczy się zaokrągliły.

Wyraźnie otrzeźwiał.

– Nie.

– To może wiedźmą?

–..?

– Czarownicą!

– Nie sądzę... O co chodzi?

Wielgus milczał. Przez długą chwilę lustrował siedzącą w fotelu dziewczynę. Oczy miał nieruchome, nawet nie mrugał.

– Co się stało? – zapytała Magda.

– Nie, nic – odpowiedział Wielgus i otrząsnął się zabawnie, zupełnie jak wyjęty z kąpieli pies. – Muszę pomyśleć – rzekł głosem nie znoszącym sprzeciwu. – Muszę się przespać.

Położył się na kanapie i zamknął oczy. Magda sądziła, że zasnął, gdy nieoczekiwanie się odezwał:

– To nie lekarz z pogotowia uratował naszego gospodarza, stosując sztuczne oddychanie. Uratowały go marzenia. Od kiedy w telewizji zobaczył wodnika, rządzącego w stawie pod Żacholeckim Lasem, zawsze chciał nim zostać. To, co stało się, kiedy utonął, było tylko naturalną tych marzeń konsekwencją.

Wielgus umilkł. Tym razem zasnął naprawdę.

NIEDZIELA. Herbaciarnia w Spichlerzu Richtera.

– Mów mi Bogda – powiedziała. – Naprawdę wcale tak się nie nazywam, ale to ułatwi kontakt.

Arek Szyszko pokiwał głową. Siedział wsparty na jednym łokciu, omal nie kładąc się na stolik. Druga ręka zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia.

– Chciałeś go przelecieć. Uważam, że to świetny pomysł – oznajmiła. Nie miała już na sobie nietwarzowej marynarki w kratę. Ale koszulka wciąż była ta sama. Czerwona. – Moim zdaniem powinieneś to zrobić jak najprędzej.

Arkowi nie było do śmiechu. Ledwie dowlókł się na spotkanie, choć do Spichlerza Richtera miał dwa kroki. Dwie ostatnie noce prawie nie spał. Zwariowana nieznajoma miała rację. Z takim bólem nie da się spać. Kilkakrotnie podsypiał, może na minutę, dwie, ale zaraz przytomniał. Koszmar. Doszło do tego, że liczył godziny do tego spotkania („...o dwunastej... bądź punktualny, bo pięć po dwunastej wychodzę”). Przecież musiał mieć jakąś nadzieję. Sam już nie wiedział, w co wierzy, a w co nie. Jak jeden facet może włożyć w siebie ból, a drugi go wyjąć? Jakieś Filipiny czy co?

– Zdecydowałeś, komu przekażesz swój kierat?

Przebiegł zmęczonym spojrzeniem po sali. Zatrzymał wzrok na barmance, parzącej herbatę dla gości siedzących dwa stoliki dalej.

– Tamtej dzisiaj nie ma – podchwyciła kobieta, która kazała nazywać się Bogdą. – Już pytałam. Pracuje tylko w piątki wieczorem i soboty. Jeśli jesteś gotów poczekać...

– Nie jest mi do niczego potrzebna – odparł ponuro.

– Więc komu go przekażesz? – powtórzyła pytanie, z wesołym błyskiem w oku.

– Chciałbym najpierw wiedzieć, jak ma się to odbyć?

– Co odbyć? – Przyglądała mu się z troskliwym uśmiechem. Jak starsza (znaczenie) siostra, albo nawet całkiem nieźle trzymająca się matka.

– W jaki sposób wyzdrowieję! – Igły wbite w chorą rękę zakłuły silniej, jakby sadystyczny wyznawca voodoo wcisnął je jeszcze głębiej w woskową podobiznę: „NIE WYZDROWIEJESZ!”.

– Ach! – Bogda zrozumiała o co zapytał. – Chodzi ci o to, czy ta osoba będzie wiedziała, że to ty?

Potwierdził, osowiale wpatrując się w niebieski obrus.

– Nie. O ile będziesz dla mnie miły. Będziesz?

– Będę.

Czuł się podle. Kiedyś czytał, że ból fizyczny jest niczym w porównaniu z psychicznymi torturami, jakie jeden człowiek może zadać drugiemu. W porównaniu z zaznanymi

upokorzeniami. Bzdura! Osobiście mógł dziś się o tym przekonać. Niesamowita Bogda mogła śmiało traktować go z góry, nie obchodziło go to. Czuł się podle wyłącznie z powodu czysto fizycznego cierpienia.

– Więc kto to? – ponagliła.

– Patrycja.

Bogda była wyraźnie wniebowzięta.

– Już się bałam, że wybierzesz matkę – powiedziała. – Nie, żeby nie mogła być – zastrzegła się – nie mówię, że nie. Ale to jakieś... nieludzkie. Nie sądzisz?

– Wybrałem Patrycję! – warknął Arek.

Spoważniała. Zacisnęła wargi, przymrużyła oczy.

– Ależ jesteś niemilec – oświadczyła. – No, ale nie wymagajmy za wiele. Gdybyś postępował jak grzeczny chłopiec, nie byłoby tej rozmowy.

Milczał.

– Wrócisz do domu – podjęła. – Pocałujesz Patrycję i powiesz: „Kocham cię siostrzyczko”. Żartowałam – dodała z szerokim uśmiechem, widząc zbaraniałą minę Arka, który wreszcie zdecydował się unieść głowę. – Doskonale wiem, że żaden starszy brat przed ukończeniem trzydziestki nie jest w stanie powiedzieć czegoś takiego młodszej siostrze. Nie notowano takich przypadków, nie licząc związków kazirodczych. Dlatego wystarczy, że ją dotkniesz, o tak! – Zademonstrowała, przejechawszy otwartą dłonią po swojej ręce, od ramienia, przez łokieć, do nadgarstka.

– I to wszystko? – zapytał po dłuższej chwili, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Pewnie, że wszystko. Poza tym, oczywiście, że przez cały ten czas, naprawdę, ale to naprawdę mocno, będziesz chciał pozbyć się bólu.

Rozchyliła usta i przejechała językiem po górnej wardze. Zęby miała białe i równe, jak dziewczyna z kolorowej kartki kalendarza.

– Coś nie tak? – zapytała, pochylając się nad stolikiem. – Czegoś nie rozumiesz? Coś jest za trudne?

– Rozumiem wszystko – odrzekł Arek. Czuł się zawiedziony.

Spodziewał się czegoś więcej, znacznie więcej; nie potrafił sprecyzować, co miałyby to być, ale na pewno nic tak zwyczajnego. Trywialnego. Nijakiego. Prędzej jakieś zaklęcia, eliksiry, coś bliżej... magii? Coś, co – paradoksalnie – zabrzmiałoby wiarygodniej.

– Śmiejesz się ze mnie – zauważył podejrzliwie.

Wyprostowała się natychmiast. Z ίσcie zmijową szybkością schowała język.

– Owszem – wyznała. – Bawię się całkiem nieźle. Ale naprawdę pragnę ci pomóc. Inaczej zabawa...

Dziewczyna za barem starała się nie spoglądać w stronę klientów siedzących przy stoliku

najbliżej drzwi. Nie było to łatwe, zwłaszcza że o tej godzinie niewiele miała do roboty. Podała już herbatę gościom siedzącym w przeciwległym końcu sali, a nikogo więcej nie było.

Niełatwo przyszło omijać wzrokiem stolik przy wejściu, ponieważ para, która przy nim siedziała, była jednej płci, a zachowywała się w sposób, w jaki zachowują się pary płci odmiennej.

Młoda barmanka dotąd rzadko miała okazję oglądać (tych, no, jak im tam... gejów) pedałów. Szczerze mówiąc, tak z bliska (nie w telewizji) nie widziała ich nigdy. Przynajmniej nic jej o tym nie było wiadomo.

Niczego nie zamówili. Nie wołali jej, a ona nie miała śmiałości podejść i spytać.

Ten młody, siedzący tyłem do niej, wyglądał na nieszczęśliwego, może nawet chorego. Natomiast starszy mężczyzna promieniał. To on jest w tym związku kobietą – stwierdziła barmanka, ustawiając sobie schemat pary. Wyglądał bardzo sympatycznie i wcale nie na pedzia. Ale za to – w odróżnieniu od osowiałego młodzieńca – jak pedzio się zachowywał. Właśnie po tym rozpoznała, że są homo. Przymilał się, poważniał, to znów śmiał się delikatnie, po kobiecemu. W pewnej chwili pełnym erotyzmu ruchem pogładził się po ręce, prężąc ciało jak pantera. Zmysłowo zajrzał w oczy partnera.

Jak tu nie patrzeć na coś takiego? Na szczęście niezwyčajni kochankowie w ogóle nie zwracali uwagi na otoczenie, rozprawiając o czymś zawzięcie. Niestety, nie zdołała usłyszeć o czym.

Nagle zdała sobie sprawę, że drżą jej kolana. Nieco zażenowana – jakby ktokolwiek mógł zauważyć, co się z nią dzieje – odwróciła wzrok. Ale nie wytrzymała długo. Niełatwo nie patrzeć na coś, co człowieka podnieca.

– Inaczej zabawa może stracić sens.

Zawiesiła głos.

– Zrobisz to?

– Nie wiem – przyznał szczerze Arek. – Przed chwilą byłem zdecydowany, ale teraz...

– Niech zgadnę. Ból trochę zelżał?

Skinął głową.

– Tak jakby.

Wtem przypomniało mu się, że podobnie było wczoraj, w mieszkaniu.

– Znów coś ze mną robisz?

– Nic podobnego – zaprotestowała. – Nic a nic. Może to zaczyna się atrofia. Moim zdaniem za wcześnie na nią, ale masz pięknie rozwinięte mięskły, więc kto wie...

– Co się zaczyna? – W głosie Arka pojawiła się nutka paniki.

– Zanik mięśni. W takich przypadkach to norma. Mięśnie muszą zanikać, skoro robisz wszystko, żeby ich nie używać. Zwłaszcza takie mięśnie – dodała z podziwem. – Nie myśl

jednak, że gdy tkanka obumrze, gdy z ramienia będzie ci zwisać tylko okryty skórą patyk, że wówczas zniknie również cierpienie. Nie ma tak dobrze. Ból pozostanie. Będzie zapewne mniejszy, łagodniejszy. Można rzec: bardziej człowiekowi przyjazny. Może nawet da się z nim żyć. Ale nie zniknie. O nie! I jeszcze o jednym musisz pamiętać. Byłoby nie fair, gdybym ci o tym nie powiedziała.

Atrofia nigdy nie jest odwracalna w stu procentach. Nigdy! Można wiele zrobić, odzyskać sprawność mięśni na tyle, że nie będzie to przeszkadzało w normalnym życiu. Ale nigdy, przenigdy, nie będzie tak jak dawniej. Mój ty biedaku! – Wyciągnęła dłoń i pogłaskała Arka po głowie. Od strony baru dobiegł dźwięk tłuczonego szkła, prawdopodobnie kieliszka, ale żadne z nich nie zwróciło uwagi na niezgrabne ruchy barmanki. – Twoja ręka staje się martwa. Nie masz dużo czasu! Na pocieszenie pragnę ci przypomnieć, że Patrycja jest kobietą. Kobiety łatwiej znoszą ból. O wiele łatwiej. To, co dla ciebie jest udręką, dla niej może okazać się tylko dolegliwością. Zrób to, póki nie jest jeszcze za późno.

Skinął głową:

– Zrobię.

Powoli wstawał od stolika. Bolałą rękę trzymał daleko od siebie, jakby była w gipsie.

– Chwileczkę! – powstrzymała go Bogda. – A zapłata za poradę? Co ty sobie wyobrażasz? Że jestem z PCK?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pieniędzy.

– Nie chodzi o pieniądze.

Arek Szyszko przechylił głowę, wykrzywając przy tym usta. Czekał.

– W zamian za tę przysługę przez trzy dni będziesz mój – oświadczyła Bogda. Spojrzała na zegar ze złotą tarczą i kalendarzem, stojący na półce baru. – Teraz już i tak nic z tego nie będzie, dam ci się wyspać do wieczora. Kiedy załatwisz sprawę z siostrzyczką, połóż się i odpocznij. Spotkamy się o dwudziestej pierwszej przed twoim blokiem. Nastaw budzik, żebyś nie zaspał. Weź od ojca samochód. Wszystko jasne, czy nadal masz kłopoty z koncentracją? No! Co tak się gapisz? – spytała, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Co to znaczy, że będę twój?

Zamaszystym ruchem obu rąk poprawiła włosy. Westchnęła niczym matka, zmuszona odpowiadać na setne pytanie nierozgarniętego dzieciaka.

– Miałaś kiedyś psa?

Nie musiała mówić nic więcej. To proste pytanie okazało się wystarczającym wyjaśnieniem.

NIEDZIELA. Ul. Nowowiejska.

Siedział w fotelu, pił piwo i palił papierosa. Posługiwał się tylko jedną ręką, lewą, na zmianę korzystając z popielniczki i szerokiego drewnianego oparcia zastępującego stolik. Jak inwalida.

Jezus Maria!

Nagle naprawdę poczuł strach. Prawda dotarła do broniącego się przed nią umysłu, jasna i druzgocąca, jak wiadomość o raku.

Co będzie, jeżeli do końca życia pozostanie... kaleką? Cholera!

Ale sięopakował. Może rzeczywiście trzeba było przep...

„Twoja ręka staje się martwa. Nie masz dużo czasu!”

Poduszka elektryczna leżała porzucona na podłodze, owinięta byle jak czarnym przewodem. Termoform i olejki również cisnął w kąt. Ostatnio dużo palił. Bardzo dużo. To wcale nie pomagało, ale przynajmniej miał czym się zająć.

Zgasił papierosa i postawił butelkę z piwem przy nóżce fotela. Zawsze ją tam stawiał; była bezpieczna przed przypadkowym rozlaniem zawartości.

– Patrycja! – krzyknął doniośle.

– Czego się drzesz? – Siostra zajrzała do pokoju, miła jak zawsze.

Sto lat temu byli nadzwyczaj zgodnym rodzeństwem. Mimo dużej różnicy wieku (pięć lat i dziewięć miesięcy) rozumieli się nadzwyczaj dobrze. Budzili pełen aprobaty podziw krewnych i nawet przypadkowych znajomych. To rzucało się w oczy: odpowiedzialny, opiekuńczy brat, miła, wpatrzona w niego jak w obraz siostra.

Skończyło się, gdy Arek skończył podstawówkę i poszedł do liceum. Może wydorósł, zaczęły go interesować inne dziewczyny od strony bardziej (hm...) praktycznej. A może również i Patrycja stała się dojrzała, pojawiły się przyjaciółki, z którymi można pogadać znacznie wydajniej niż z najbardziej nawet przyjaznym bratem. Najpewniej jedno i drugie, i kilka innych szczegółów, które przemykają niezauważone, choć wpływają na życie znacznie niż jaskrawe fajerwerki.

Nie oznacza to, że nagle zostali wrogami, wiecznie zwalczającymi się i wymieniającymi poglądy wyłącznie w kłótniach.

Oczywiście, że nie. Oni po prostu stali się jak inne dzieci, które różnica pici i dat urodzenia stawia w określonym miejscu szeregu. Stali się zwyczajni. Siostra i sporo od niej starszy brat.

– Chcesz się napić? – Arek podniósł butelkę i pokazał etykietę „Brooka”. – Kanclerz.

Patrycja prychnęła jak kotka i wrzuciła lekceważąco ramionami.

– Coś jeszcze? – zapytała.

– Poczekał – powstrzymał ją, widząc, że zbiera się do odejścia. – Chciałem pogadać.

Popatrzyła podejrzliwie. Rozejrzała się po nie posprzątanym pokoju. Doświadczenie kazało jej wietrzyć jakiś podstęp.

– O czym?

Pociągnął łyk piwa i odstawił butelkę na miejsce.

– Wierzysz w czary? – zapytał.

– Jasne! – Zamknęła drzwi, nim zdążył zaprotestować.

– Patrycja! – ryknął za nią.

– Co drzesz ryja?! – Dziewczęca głowa ponownie pojawiła się przy futrynie.

Arek pokręcił głową z niesmakiem. I ta dziewczyna miała dopiero dwanaście lat?! Gdyby on w jej wieku odezwał się w ten sposób do kogokolwiek, niechybnie uznano by go za psychola.

– Dlaczego jesteś taka wredna? Przecież jestem chory...

– Ja jestem wredna? – wskoczyła mu w słowo. Zdumienie w jej głosie wyglądało na autentyczne.

– Jestem chory – ciągnął Arek – więc chyba możesz poświęcić mi trochę uwagi?

– Przecież przyszedł, co nie? – złagodniała. – Faktycznie wyglądasz jak śmierć na urlopie – stwierdziła.

– Ty to potrafisz dodać człowiekowi otuchy.

Niespodziewanie się zasepił. Wyciągnął rękę, by sięgnąć po piwo, ale cofnął ją, nim dotarła do celu. Ruch był zbyt energiczny, wywołał kolejny atak bólu, choć przecież to nie była TA ręka.

– Może zawołam mamę – zaproponowała Patrycja.

– Nie. – Opanował się. – I tak nic nie pomoże, tylko panikuje. Uzgodniłem, że w poniedziałek pójdę do lekarza... Zakaszła.

– Wciąż boli? – Patrycja zbliżyła się. Stała wystarczająco blisko, by mógł sięgnąć do niej, nie wstając z fotela.

– Tak. – Popatrzył na chudą, piegowaną twarz. Nie była zbyt ładna.

Ale co tam uroda siostry. Rzecz względna. Tym co względne nie ma się co przejmować. Raz jest prawdziwe, a raz nie. Najgorsze są prawdy bezwzględne. Jak ta, która dziś dotyczyła jego.

„Nie masz dużo czasu!”.

– Najbardziej boli tutaj – powiedział drewnianym głosem i uniósł rękę. TĘ rękę!

Najwspanialsze było to, że w ogóle nie bolała. Ból przepadł, zniknął w nieskończenie małym ułamku czasu, jakby dotyczył innego wszechświata. A przecież jeszcze nic nie zrobił?! Nikogo nie dotknął. Tylko zamierzał.

Może to wystarczy? Serce biło jak oszalałe.

Chyba, że... „staje się martwa”?!.

Później wielokrotnie usiłował przypomnieć sobie kilka następnych sekund, ale nie potrafił.

W pamięci miał czarną dziurę. Prawdziwie czarną: im bardziej się do niej zbliżał, tym łapczywiej pochłaniała okruchy świadomości, które wokół niej budował.

Wiedział tylko, że w końcu dotknął Patrycji. Umknęło gdzieś, jak i kiedy, pozostały jedynie jej zatroskane, czarne oczy (zawsze miała niebieskie!), w których nagle pojawił się ogień.

– Puść! – Była najwyraźniej przestraszona.

Puścił natychmiast, zdawszy sobie sprawę, jak mocno ją ścisnął. Zerwał się z fotela. Stał przed siostrą, rosły osiłek, wyższy o dwie głowy.

Cofnęła się.

– Co ty robisz? – wykrztusiła.

Powoli uspokajał się. Napięcie opadło. Powrócił blask światła.

Unióś obie ręce na wysokość twarzy. Obie drżały tak samo; tak samo wyglądały. Tak samo je czuł, nie czując. Nic nie bolało. Nie bolało! Jak wspaniale...

Byłoby wspaniale, gdyby...

– Jak się czujesz? – zapytał.

Patrycja patrzyła na brata jak na czubka.

– A jak mam się czuć? – Wzruszyła ramionami. – Odbiło ci?

Przecież to nie ja jestem chora?

– Nie ty? – Spoglądał podejrzliwie.

– Lecz się sam! – wykrzyknęła oburzona. – Ze wszystkiego robisz sobie jaja! Mutant! – skwitowała, wychodząc z pokoju.

Z hukiem zatrasnęła za sobą drzwi.

Opadł na fotel, ale zaraz wstał. Nie był w stanie usiedzieć na miejscu. Nie w takiej chwili. Zapalił papierosa i otworzył okno, niespodziewanie dostrzegając, jaki zaduch panuje w pokoju. Od czasu feralnego zdarzenia w Spichlerzu Richtera grzał się w ciepłe, okładał ramię maściami o różnorodnych zapachach (wcierać nie był w stanie) i palił. Nie wietrzył ani razu.

Ale co tam smród! Najważniejsze, że nic nie bolało. Nic! Wciąż nie mógł uwierzyć. Odetchnął pełną piersią; chłodne powietrze okazało się cudowne. To nic, że okno wychodziło na ruchliwą ulicę, odległą zaledwie o dwadzieścia metrów, gdzie z uwagi na bliskie skrzyżowanie samochody hamowały, maksymalnie wykorzystując przepustowość swych wydechowych odbytów. Powietrze i tak było cudowne. Wszystko było cudowne.

A Patrycja?

Zachichotał. Emocjonalnie, nerwowo. Wyglądało na to, że wbrew przepowiedniom Bogdy nic złego się nie stało. Nikt nie przejął pieprzonego bólu. U niego minął, przepadł, ale na Patrycję nie przeszedł. Czy nie na tym polegają czary?! Ale! – Nagle dreszcz niepewności przeszył szczęśliwą twarz Arkadiusza Szyszki. – „Kobiety łatwiej znoszą ból. O wiele łatwiej”. Może jednak coś czuła i jeszcze nie wiedziała, że to nie jest chwilowy skurcz, nie ukłucie, które

każdemu przecież się zdarza, a potem mija nie wiadomo kiedy? Może początek nie był taki straszny, a dopiero teraz...

Wyrzucił peta przez okno i wyszedł z pokoju. Ostrożnie – sam nie wiedział dlaczego skrada się na palcach – przemknął przez przedpokój. Drzwi siostrzanego pokoiku były uchylone. Patrycja leżała na tapczanie, w swojej ulubionej pozycji, z poduszką pod głową. Czytała książkę.

Chyba ktoś, komu w ręce buzuje wiertarka, nie czyta sobie książek?!

Pewnie wyczuła spojrzenie albo coś usłyszała, bo niespodzianie odwróciła wzrok od książki i spojrzała prosto na Arka. Wahał się tylko ułamek sekundy, otworzył szerzej drzwi i wszedł.

– Co czytasz? – spytał i zaraz pożałował, że wypalił tak bez zastanowienia, bo popatrzyła na niego, jakby urwał się z choinki.

Ale wbrew temu spojrzeniu odwróciła okładkę i przeczytała tytuł:

– „Zabójca czarownic”.

Z długim, powłóczystym mrugnięciem powiek powróciła spojrzeniem do brata. To nie była zwyczajna choinka, ta z której się urwał – to był świerk przynajmniej w rodzaju tych, które co roku na Boże Narodzenie jadą przez pół Europy, żeby stanąć na Placu Świętego Piotra i cieszyć oko papieża.

– Dobra powieść? – pytanie wyrwało się Arkowi. Sam nie wierzył, że to mówi. Chyba przez cały czas był w jakimś szoku, coś go niosło, musiał mówić.

– Zbiór opowiadań – sprostowała. – A po co ci ta wiadomość? Przecież nie umiesz czytać.

Miał bezczelną siostrę, musiał to przyznać po raz stutysięczny w życiu. Przynajmniej w domu była bezczelna; gotów był się założyć, że do niejednego chłopaka w jego wieku, spotkanego, dajmy na to, w pociągu, wołałaby: „Proszę pana!”.

– Daj spokój – rzekł ugodowo. Mówił szczerze. Nieoczekiwanie zapragnął, żeby było jak kiedyś, w latach, które dawno odeszły do lamusa.

Widać jednak Patrycja nie miała tego rodzaju pragnień, gdyż odparła:

– Napisy „Brook”, „Lech” i tak dalej, to nie słowo pisane, drogi braciszku, to ikony. Chwytasz? Ikony.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że ręka przestała mnie boleć – powiedział Arek i pewnie od tego powinien był zacząć, bo oczy Patrycji (niebieskie, oczywiście, że były niebieskie – nie czarne i nie płonął w nich żaden ogień!) zmieniły wyraz.

– Fajnie – odparła ciepło. – Tak nagle?

– Tak nagle – potwierdził i wtedy coś przykrego usiłowało wpełznąć mu go głowy. Obrzydliwy pajak z ruchliwymi, włochatymi nogami. Czy tak wygląda sumienie? Precz! Gdyby Patrycja wiedziała, czego udało się jej uniknąć, gdyby wiedziała, że własny brat chciał przekazać jej... Precz! „Kobiety łatwiej znoszą ból”. Precz! Rozdeptał pajaka. Na szczęście potrafił to zrobić.

– Mimo wszystko musisz iść do lekarza – powiedziała Patrycja.

– Pójdę – przytaknął skwapliwie.

– Naprawdę się cieszę – usłyszał jeszcze, gdy wychodził z pokoju siostry. – Chociaż i tak wiem, że jesteś mutantem – dodała, ale nieco ciszej, zatem mógł udawać, że nie słyszy.

Jego barłóg już się przewietrzył, więc Arek zamknął okno.

Usiadł w fotelu, wziął piwo (coś tam jeszcze zostało w butelce) i z przyjemnością wypił kilka łyków. Było mu dobrze. Naprawdę dobrze. Czy tak wygląda szczęście? (Żadnych pajaków).

Shczęście. Może to i za dużo powiedziane, ale życie jest piękne. Poczłł senność. Nic dziwnego. „Nastaw budzik, żebyś nie zasnł”. Tak. Oczywiście. Nieoczekiwanie zapragnł znowu zobaczyć Bogdę, podzielić się z nią radością. Nieoczekiwanie za nią... zateśkniał?

Wziął ze stolika zegar i przesunął czerwoną wskazówkę na dwudziestą czterdzieści. Po namyśle cofnął o dziesięć minut. Nie chciał się spóźnić.

„Będiesz mój!” – Jakoś nie niepokoiły go te słowa. Był raczej zaciekawiony.

W zeszłym roku studenci z Pomorskiej Akademii Pedagogicznej zorganizowali podczas juwenaliów giełdę staroci, na Starym Rynku obok fontanny. W większości oferowano bezwartościowe drobiazgi, zebrane z przetrzebionych przez lata kaszubskich gospodarstw, a dochód szedł na rzecz Domu Dziecka w pobliskiej Ustce. Chętnych do kupowania było dużo – bo i miejsce wybrano dobre (centrum miasta), dzień też nie najgorszy (sobotę) – i z tych to dwu powodów szybko skończyła się podaż oferowanego przez studencką brać towaru. Ponieważ jednak popyt wśród zgromadzonego na Starym Rynku tłumku nie ustał, przedsiębiorczy żacy rzucili na ladę jeszcze jedną, dodatkową atrakcję. Oto student, przedstawiany jako weteran po trzech dziekańskich urlopach (giełda staroci, jak się rzekło) zaoferował sam siebie. Do końca dnia miał zostać niewolnikiem tego, kto w licytacji zaoferuje najwyższą cenę. Warunek był jeden, a właściwie – jeśli przyjrzeć się dokładniej – dwa. Kupujący miał mieć skończone osiemnaście lat i musiał być kobietą. Zgromadzona przy fontannie grupka podchmielonych mężczyzn zaproponowała, aby również zlicytowano którąś z dziewcząt, oczywiście z warunkiem przeciwnym do postawionego w przypadku zdesperowanego żaka (do końca nie wiadomo, czy chodziło im również o wiek), jednak żadna ze studentek nie zdecydowała się zostać giełdowym obiektem.

Student został zakupiony przez postawną czarnulę z włosami tapirowanymi jak negatyw cukrowej waty, bynajmniej nie podlotka. Arek Szyszko nie znał dalszych losów wylicytowanego żaka, ale wśród buzującej androgenami słupskiej młodzieży przez wiele dni krążyły legendy o seksualnym wykorzystaniu pozyskanego niewolnika.

Czyżby w przypadku Bogdy szykowało się coś podobnego?

„Jeszcze niezła ze mnie laska, co?”.

Prawdę mówiąc, nie miałyby nic przeciwko temu. Może to zboczenie, ale zazdrościł wtedy

temu studentowi. Zazdrościł mu jak cholera.

To nic, że Bogda była trochę leciwa, że drwiła sobie ze wszystkiego, że bawiła ją cudza niepewność i strach. Ale przecież mu pomogła. Naprawdę pomogła. Nie miał pojęcia, na czym tak naprawdę polegała diabelska iście sztuczka z wyleczeniem, ale w tej chwili niespecjalnie go to obchodziło. Był zdrowy. Pieprzona ręka zapomniała o cierpieniu. Jak tu nie kochać kobiety, która to sprawiła? A że zadrwiła sobie w sprawie Patrycji, bawiła się jak kot z myszką jego wahaniem, że mało co nie zrezygnował z próby ratowania się? No cóż. Czyż nie lepiej, że to była nieprawda?

Przebaczał Bogdzie wszystko.

Nawet nie wiedział kiedy zasnął. Mógłby przysiąc, że w ogóle nie spał, gdyby nie to, że budzik ryczał, wskazując dwudziestą trzydzieści jeden.

– Jesteś punktualny – stwierdziła Bogda, otwierając samochodowe drzwiczki. – To dobrze. Jak ręka?

– Wspaniale – odparł z entuzjazmem Arek. – Czuję się jak nowo narodzony.

– A ja nie – powiedziała Bogda. Zajęła miejsce z tyłu, za siedzeniem pasażera.

Arek obejrzał się z niepokojem. Nieoczekiwanie poczuł się winny, że może zrobił coś nie tak.

– Straciłam marynarkę – wyjaśniła kobieta. – Poplamiłam gdzieś koszulkę. – Demonstracyjnie zmięła w lewej dłoni czerwony materiał. – Śmierzę jak skunks w miejskiej latrynie.

– Nie śmierdzisz – zaprotestował Arek.

– Może jeszcze nie. – Westchnęła. – Ale ubranie powinnam zmienić, tym bardziej że robi się za chłodno na krótki rękaw.

Wiesz co? Zanim pojedziemy, przynieś mi jakieś swoje ciuchy. Masz marynarkę?

– Mam, ale...

– Więc przynieś! Koszulkę, marynarkę i krawat.

– Krawat? – zdziwił się Arek. – Po co ci krawat?

Bogda uniosła brwi.

– Powiedziałam krawat? – zapytała. W jej głosie brzmiała pretensja. Niemal oburzenie. – Czy ja powiedziałam krawat?

– Tak zrozumiałem...

– Źle zrozumiałeś! – weszła mu w słowo. – Powiedziałam: koszulkę i marynarkę, kurwat jego mać. Jasne? Czy jak mówię językiem nieco bardziej wyrafinowanym, przeinaczającym gminną gwara, to już nie jesteś w stanie mnie zrozumieć?

Nie zamierzał tego wysłuchiwać. Wysiadł z samochodu i poszedł do mieszkania. Po drodze złość mu mijała. „Nowe doświadczenie”, powtarzał sobie, wchodząc po schodach. „To tylko

nowe doświadczenie. Trzeba się uczyć cierpliwości”.

Znalazł swoją starą marynarkę, prawie nie używaną; wyrósł z niej, więc na Bogdę powinna być w sam raz. Chwycił jakąś koszulkę (bezwiednie wybrał czerwoną) i wyszedł, unikając pytającego wzroku matki, stojącej ze ścierką w drzwiach kuchni.

„Poza tym, jakby nie było, jestem jej coś winien”.

Poza tym, jakby nie było, wyglądała sexy. Naprawdę sexy.

Gdy przebierała się na tylnym siedzeniu ojcowskiego samochodu, jej nagie piersi wyglądały jak żywcem zdjęte z Pameli Anderson. Cierpiał katusze, powstrzymując się, by do nich nie sięgnąć. Może powinien to zrobić? Może powinien chociaż coś powiedzieć, zasugerować. Czyż wczoraj nie powiedziała do niego: „...a może i... kochance”.

Czyż tamten student z juwenalijnej licytacji nie pozwalał sobie z natapirowaną czarnulą tak, że po trzech dniach niewoli wyglądał nie lepiej od tego gościa z pierwszej, jeszcze niemej, wersji „Drakuli”.

Może rzeczywiście powinien coś powiedzieć.

Ale nie wystarczyło mu śmiałości. Ledwie miał odwagę, żeby ukradkiem spoglądać we wsteczne lustro.

NIEDZIELA. Okolice Aresztu Śledczego.

– Na co czekamy? – zapytał Szyszko.

Było już ciemno. W połowie sierpnia dni są wyraźnie krótsze, czego nie dostrzegasz, dopóki mrok nie złapie cię w chwili beczynności.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała Bogda, przeciągając się na tylnym siedzeniu samochodu. – Ale mam nadzieję, że się nie spóźnilimy.

Ze zgaszonymi światłami zaparkowali na końcu ulicy Szarych Szeregów, ślepej z tej strony. Bogda chciała stać bliżej budynku więzienia, ale Arek przekonał ją, że tam za bardzo rzucaliby się w oczy. Uliczka była pusta. Od pół godziny nie przemierzył jej żaden przechodzień, nie mówiąc już o samochodach, jakby ta część miasta nagle wymarła. Kilkadziesiąt metrów dalej życie wciąż się toczyło zwyczajnym tempem, chociażby po drugiej stronie rzeki, lśniącej odbitym światłem, gdzie na ławce imprezowało kiluosobowe towarzystwo. Już trzy butelki (chyba piwa, bo kto w takim tempie spożywałby mocniejszy alkohol?) z regularnością zegarka, co dziesięć minut, rozbiły się o mur warowny grodu nad Słupią. Ten fragment muru nie tak dawno został zburzony, z powodu wykopów czynionych pod nową kanalizację, a potem ponownie odbudowany, lecz nie z poprzedniej, omszałej i szerniałej cegły, ale zupełnie nowej, bladoczerwoniutkiej jak wnętrze niezbyt dojrzałego arbuza. Na nieśmiałe uwagi mieszkańców Słupska, że może raczej należało zachować poprzedni materiał, bo i wygląd nie ten, i dusza starych murów ucieka, wykonawca odpowiedział, że większość cegieł i tak pochodziła z lat powojennych, a burzenie cegła po cegle (tzw. „niehurtowe”) zajęłoby tygodnie. Poza tym mury i tak nie mają duszy. Zarząd Miasta przyjął to wyjaśnienie z godną podziwu wyrozumiałością i mur pozostał. Jak nowy.

Nic więc dziwnego, iż co bardziej odpowiedzialni i orientujący się w prawach fizyki (głównie w teorii chaosu oraz kwantowej teorii czasu) mieszkańcy Słupska, rozbijali on butelki, przyczyniając się do starzenia cegły, w szybkim czasie niwelując różnicę między starym a nowym fragmentem dawnej obronnej fasady.

– Mogę zapalić? – zapytał Arek.

– Jasne. Daj i mnie.

Podsunał Bogdzie zapalniczkę.

– Ależ nabrałaś mnie z tą Patrycją – powiedział, decydując się wreszcie poruszyć ten temat.

– Z Patrycją? – Przekrzywiła głowę. W półmroku, zabarwionym różowawym światłem ulicznych lamp, wyglądała nadzwyczaj atrakcyjnie. Twarz Arka rozjaśniała się na sam jej widok.

– No... że przejmie ode mnie ból. Że będzie cierpieć. Naprawdę w to uwierzyłem.

Bogda ostrożnie zaciągnęła się papierosem.

– Nie umiem palić – przyznała. – Ale podoba mi się. Chcę się nauczyć. Ach! Patrycja! –

wróciła do tematu. – A co, nie cierpi?

Skromny uśmiech zniknął z twarzy Arkadiusza Szyszki.

– Nie – odparł i nagle poczuł się niepewnie.

– Ile ma lat?

– Dwanaście...

– Więc wszystko jasne. – Bogda machnęła ręką, odpędzając przed twarzą dym. – Ból pojawi się na piętnaste urodziny. A swoją drogą, popatrz, jak dorodna jest ta dzisiejsza młodzież. Dziewczyna wygląda jakby za dziewięć miesięcy mogła rodzić, a tu taka niespodzianka. Dwanaście lat! Szpikujecie ich czymś czy co?

– Na piętnaste urodziny... – powtórzył jak echo Arek. Głos miał nieoczekiwanie ochrypły.

– A co? – zdziwiła się Bogda. – Nie wiedziałeś?

– Nie.

– Myślałam, że to oczywiste. Powinnaś ci powiedzieć. Przepraszam.

– Powinnaś – odparł Arek grobowym głosem.

– W takich przypadkach ból może być innego rodzaju – powiedziała Bogda, przerywając przedłużające się milczenie.

– Innego rodzaju? – Arek usłyszał w swoim głosie pełną wdzięczności nadzieję. Zaczynał się za to nienawidzić.

– Mam na myśli, że ból wcale nie musi być fizyczny. Niektórzy dotkliwiej cierpią z powodu utraty czegoś, co było treścią ich życia, a co potem nagle utracili. Na przykład jakąś umiejętność. Na przykład talent.

– Przecież Patrycja nic nie potrafi.

Spojrzała na Arka, jakby wyskoczył z konopi.

– A skąd ty, u diabła, możesz o tym wiedzieć?

– Ale...

– Cicho! – Bogda wpatrywała się w stalową bramę Aresztu Śledczego. – Bo jeszcze coś przegapimy.

– Zatem zegnamy się, Piekarski – stwierdził dyżurny strażnik, otwierając wielką kopertę z depozytem.

Sygnet, zegarek, pasek z ogromną srebrną klamrą i inne drobiazgi wysypały się na blat.

– Tu pokwituj – strażnik podsunął papier i długopis.

– Może najpierw sprawdzę – zaproponował Piekarski, zerkając z urazem w oczach na funkcjonariusza.

– Nie podskakuj, Marchewa! – Drugi strażnik wymownie postukał w ścianę gumową pałką. –

Nie psuj sobie mile zapowiadającego się wieczoru!

Piekarski zacisnął wąskie usta i poprawił marynarkę. Wydawała się strasznie ciasna. Gdy mu ją wydano, w pierwszej chwili pomyślał, że pomyłono ciuchy. A on tylko przytył na więziennym wikcie. Od trzech miesięcy nie nosił garnituru (normalnie, czyli na wolności, też go nie nosił, chyba że pokazywał się publicznie; wyniósł to z domu – publicznie zawsze garnitur i biała koszula; (rozprawa sądowa to, jakby nie było, wystąpienie publiczne). Zasady zakwaterowania w Areszcie Śledczym są proste: w czym przyszedłeś, w tym wychodzisz.

A dla pensjonariuszy powyżej 48 godzin, którym pobyt zasądzano w poczet odbywanej kary: o której przyszedłeś, o tej wychodzisz.

Wiszący nad dyżurką okrągły zegar pokazywał 21.58. Za dwie minuty Jędrzej Piekarski przestanie być więźniem.

Tymczasem zgarniał wysypane z koperty drobiazgi, pochuchał na sygnet, wytarł go w połę marynarki i wsunął na palec.

Nie uwierał. Widać aż tak Piekarski nie przytył.

Potem stał w milczeniu, w asyście strażników, beznamiętnie obserwujących wędrówkę zegarowego sekundnika. Regulamin jest regulaminem. Ani więzień (były!), ani strażnicy nie mieli pojęcia, że fakt pełnodobowego pobytu w areszcie wynika z urzędniczego formularza ISKK-12, określającego (i wyliczającego) koszty pobytu w osobowościach na dobę, zgodnie z ministerialnymi wytycznymi z 1957 roku.

Wreszcie wskazówki zegara ustawiły się w oczekiwanych pozycjach.

Strażnik sięgnął po klucze, a Jędrzej Piekarski wystawił środkowy palec w geście, który widywał w telewizyjnych serialach dla młodzieży.

Milczeli. Arek, sztywny jak kołek, z rękami zaciśniętymi na kierownicy, Bogda w skupieniu dopalając papierosa i strzepując popiół przez uchylone okno.

Coś trzasnęło w wieczornym mroku. Zaskrzypiały metalowe zawiasy.

– Podjeżdżaj! – Bogda pośpiesznie wyrzuciła żarzący się niedopałek. – Już!

– A jak nie?

Zawiasy zaskrzypiały powtórnie. Z głuchym stukiem zatrzasnęły się jakieś drzwi. Bogda drapieźnie chwyciła Szyszkę za ramię.

– Zawarliśmy umowę – syknęła.

– A jak ją zerwę, to co? Ból powróci?

– Nie.

– Więc...

Arek nie dokończył. To, co wydobyło się z gardła pochylonej ku niemu kobiety, z pewnością nie było niewieścim altem.

W ogóle nie było głosem człowieka. Ni to warknięcie, ni skowyt; jedno i drugie razem wzięte, i jeszcze coś znacznie więcej, przeszywające po same trzewia, wydobywające najczarniejsze lęki i śmiertelne niepokoje. Coś takiego mógł może słyszeć Perseusz z ust Gorgony lub Beowulf z gardzieli skandynawskiego potwora.

Arkadiusz Szyszko nie był herosem ani bohaterskim wikingiem. Omal nie umarł, przekręcając drżącą ręką kluczyk w samochodowej stacyjce. Podjeżdżając pod ulicę Sądową, czuł się jak mistrz Twardowski, gdy przyszedł czas zapłaty. Jedynym świętełkiem było to, że nie na wieczność zaprzedał swoją duszę, lecz tylko na trzy dni.

– To on – powiedziała Bogda. – Zatrzymaj się przy tym mężczyźnie.

Głos miała łagodny i cichy. Ani śladu Meduzy.

Człowiek idący chodnikiem przystanął, najwyraźniej zaciekawiony. Był wysoki, dość tęgi; uliczna latarnia rzucała na mur cień wyjątkowo barczystej postaci. Na kościstej twarzy pojawił się wyraz nieufności, gdy wysiadający z samochodu nieznajomy uklonił się z uśmiechem starego kumpla:

– Cześć, Marchewa!

Przez krótką chwilę mierzyli się wzrokiem: z jednego końca wirtualnej nici radość, z drugiej rezerwa.

– My się znamy? Bynajmniej sobie nie przypominam – odparł Marchewa, głosem zaczepnym i pewnym siebie. Zbliżył się do intruza, niższego od niego o głowę.

– To ze mną rozmawiałeś zeszłej nocy – usłyszał odpowiedź.

– Nazywam się Pożoga. Pamiętasz?

Wydatne kości policzkowe mężczyzny uwypukliły się jeszcze bardziej, oczy nagle jakby zapadły się w głąb czaszki. Cofnął się o krok, tracąc rezon.

– Zeszłej nocy kiblowałem... – rzekł niepewnie.

– No, śniłem ci się – wyjaśnił beztrósko Pożoga. – Przecież nie mogłeś zapomnieć. Jestem tym facetem, co odgryzł ci jaja!

Marchewa skulił się bezwiednie; zupełnie jak w kinie czyni to męska część publiczności, gdy ekranowy bohater otrzymuje cios w krocze.

– To był tylko sen – wykrztusił.

– Oczywiście, że sen – odpowiedziała Bogda. – Ale dlaczego tylko? Nim doszło do, hm... nieporozumienia z narządami, rozmawialiśmy całkiem konkretnie.

– Przecież to niemożliwe – zaprotestował słabo Marchewa. – Czy ja... wciąż jeszcze śnię?

– Moim zdaniem nie. Ale mogę się mylić. Wiesz, ja czasami również podejrzewam, że życie jest tylko snem...

Bezruch oczu Marchewy wyrażał całkowite niezrozumienie.

Sytuacja najwyraźniej go przerastała.

– Wsiadaj do samochodu – powiedział Pożoga. – Uzgodnimy strategię.

– Nie! – zaproponował zdecydowanie Marchewa. Cofnął się jeszcze trochę. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– Ho, jaki inteligent! – wrzasnął Pożoga, aż echo poniosło po rzece Słupi i wróciło odbite od miejskich murów. – „Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego” – sparodiował cienkim głosem kastrata. – Już masz! – oświadczył. – Otóż oświadczam ci, że już masz, a naszą znajomość zakończymy wtedy, kiedy ja ci to powiem. Jasne?

Wtem zakrztusił się. Zakaszłał. Próbował jeszcze coś powiedzieć, coś w rodzaju „pytam czy to jasne?”, ale z krtani wydobywały się tylko urwane sylaby. Nagle stęknął i czknął.

Coś oślizgłego wypadło mu z ust i z cichym plaśnięciem spadło na asfalt.

Obaj mężczyźni w skupieniu wpatrywali się w obły kształt leżący na jezdni. Również siedzący w samochodzie Arek Szyszko przywarł czołem do szyby, na próżno usiłując w półmroku rozpoznać co to takiego.

Požoga (Bogda) czknął (czknęła) po raz drugi i znów coś wyleciało spomiędzy wykrzywionych z niesmakiem ust. Tak samo okrągłe, wylądowało tuż obok swego poprzednika.

– No! – Pożoga splunął. – Od razu mi lepiej. – Odetchnął z wyraźną ulgą. – Chyba pobladłem, co? – zwrócił się do Marchewy.

Osilek ani drgnął. Jak zahipnotyzowany przyglądał się leżącym w rynsztoku dwóm kamykom, okrytym śluzem.

– Co to jest? – wyszeptał.

– No przecież nie piłeczki pingpongowe. – Pożoga roześmiał się. – Nie poznajesz? Naprawdę nie poznajesz własnych jąder?

Mimo że na skrzyżowanie uliczek słabo docierało światło latarni, Arek Szyszko wyraźnie widział, jak twarz nieznanego szarzeje, przybierając brudny kolor widocznej w tle ściany. Nagle rosła postać zgięła się w pół. Marchewa wymiotował.

– Jezuuu! – Uniósł wreszcie umęczoną twarz. – Co tu się dzieje! Ty sku...

– Tylko bez wulgaryzmów – zaprotestował gniewnie Pożoga. Uniósł wskazujący palec lewej ręki, mierząc wprost w swego rozmówcę. – To jak? Wsiadasz do wózka czy robimy na jawie powtórkę ze snu? – Palec wymownie powędrował w dół, ku leżącym w cieniu krawężnika śluzowatym ochłapom.

– Ze snu... – powtórzyło kamienne echo. Arek Szyszko mógłby przysiąc, że posągowe oblicze Bogdy pokryło się czarną jak węgiel sierścią, a w ustach błysnęły kły. Natychmiast zamknął oczy, chyba by oszalał, gdyby tego nie zrobił. Serce po raz drugi omal nie wyskoczyło przez gardło – co z tego, że tym razem nie o niego chodziło, że w ogóle nie znał wielkiego jak kaszubski stółem faceta...

– Wdepnąłeś w niezłe gówno – usłyszał kiedyś kapitan Halski od swego zwierzchnika.

Wyglądało na to, że zwierzchnik Halskiego nie miał bladego pojęcia, co to znaczy naprawdę wdepnąć.

Kiedy Arek otworzył oczy, Bogda i Marchewa wsiadali do samochodu.

– Gdzie?! – wrzasnęła Bogda do Marchewy, próbującego zająć miejsce na tylnym siedzeniu.

– Na kozioł, przy woźnicy!

Zganiiony mężczyzna jedynie mruknął coś potulnie. Otworzył przednie drzwiczki i usiadł obok Arka, który dopiero teraz zdał sobie sprawę, że facet przez cały czas zwraca się do Bogdy jak do mężczyzny. Jak mu się przedstawiała? Pożoga. Nazwisko nieodmienne, ale...

„Tak jest, proszę pana!”.

Czy temu gościowi wszystko poplątało się z emocji?!

Przez jedną krótką chwilę, intuicyjny ułamek sekundy, podejrzenie równie straszliwe co absurdalne usiłowało wykiełkować w umyśle młodego Szyszki, ale uszło, nim wyjrzało na świat.

Wystarczyło, że spojrział we wsteczne lustro, na twarz Bogdy, łagodną i odprężoną, nadzwyczaj piękną w półmroku. Gdy ich spojrzenia spotkały się, mrugnęła kokieteryjnie i przeciągnęła dłonią po krągłej piersi, wychylającej się z odsłoniętej poły jego starej marynarki.

Jak można do takiej babki mówić „proszę pana”?! Ze współczuciem spojrział na swego nowego towarzysza – miał tatuaż wychodzący spod kołnierzyka koszuli aż na szyję i dwie ciemne kropki pod prawym okiem – pośepnie siedzącego obok. Niewątpliwie był to typ spod ciemnej gwiazdy, jakich należało unikać i jakich unikał zawsze (nigdy by się nie przyznał, że bał się tego rodzaju prymitywnych osiłków, i w ogóle ludzi z marginesu), ale teraz niemal fizycznie czuł spajającą ich więź. Solidarność. Doskonale rozumiał pokonujący go rodzaj szaleństwa.

– Odwagi, człowieku! – Nagle zdał sobie sprawę, że wypowiedział te słowa głośno.

Marchewa powoli obrócił ku niemu głowę na byczym karku.

– A ty kto? – zapytał głosem Pożeracza Ciał.

– Arek! – Szyszko wyciągnął dłoń, którą mężczyzna potraktował jak powietrze, z przymrużonymi powiekami przyglądając się jej właścicielowi.

– Wiesz, skąd wzięła się ksywa Marchewa? – zapytał nieoczekiwanie.

– Bo jesteś rudy?

Osilek pogładził się po wygolonej na centymetr głowie.

– Ja rudy? Odbiło ci, koleś? – Ożywił się. Chwycił oddech.

Najwyraźniej tego mu było potrzeba: oderwania się od absurdalnej rzeczywistości, która jak cios obuchem przywitała go za bramą Aresztu Śledczego.

Arek cofnął rękę, zrozumiał, że jego własne odczucia w stosunku do nowego znajomego nie są odwzajemniane.

– Nazywają mnie Marchewa – podjął mężczyzna – ponieważ, uważasz koleś, tą oto rączką

potrafię wycisnąć z warzywa sok. – Podsunął pod nos Arka pokrytą odciskami dłoń, z grubymi jak serdelki paluchami.

– Naprawdę? – zapytała Bogda.

– Jak Boga kocham – powiedział Marchewa, spuszczać wzrok. Każde wypowiedane słowo brzmiało ciszej, a przy ostatnim zgarbił się, jakby oczekiwał, że otrzyma z tyłu cios.

Zapadła cisza.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Arek.

– Na drugą stronę rzeki – powiedziała Bogda. – Pod Basztę Czarownic.

Wysłuzony opel Szyszki seniora ruszył w stronę mostu na Słupi, zwanego Mostem Kowalskim.

CZEŚĆ DRUGA
W BASZCIE

NIEDZIELA/PONIEDZIAŁEK.

Ul. Francesco Nullo, Baszta Czarownic.

Izabela Radtke zaparzyła kawę i odłożyła grzałkę, zawieszając elektryczny przewód na odrapanej rurze. Zdążyła usadowić się wygodnie przy służbowym biurku, kiedy ktoś załomotał do drzwi. Kobieta zastygła w bezruchu, podtrzymując kubek tuż pod brodą. Nasłuchiwała. Łomot powtórzył się.

Dochodziła dwudziesta trzecia. W baszcie panował półmrok, rozjaśniany słabym blaskiem naftowej lampy, zawieszanej na haku w obłym narożniku komnaty, gdzie Izabela urządziła sobie swój prywatny kącik. W żadnym razie nie ośmieliłaby się zapalić światła o tak późnej porze. Godziny otwarcia Baszty Czarownic były jasno określone i widniały na tabliczce umieszczonej na zewnętrznych, drewnianych drzwiach. Czynne codziennie w godzinach 9–17.

Poza owym terminem wieża – jako obiekt zabytkowy – powinna być zamknięta nie tylko dla zwiedzających, ale także dla personelu. Należało również włączyć system alarmowy. O ile pierwszy warunek został dotrzymany: pani Iza punktualnie (17.00) zamknęła drzwi od środka, o tyle spełnienie drugiego nie było możliwe, ze względu na oczywisty fakt przebywania jej samej na inwigilowanym przez fotokomórki obszarze.

Ktoś, kto dobijał się do baszty, najwyraźniej nie miał zamiaru rezygnować. Izabela Radtke odstawiła kubek z kawą, wstała i ostrożnie podeszła do drzwi. Żałowała, że nie posiadają choćby małego okienka i w żaden sposób nie da się zobaczyć, kto stoi z drugiej strony.

Usłyszała męskie głosy.

– Otwierają się na zewnątrz. Wystarczy byle łom.

– Skąd mam wziąć łom?

– W samochodzie mam chyba łyżkę do opon. Może być?

Izabela Radtke cofnęła się bezszelestnie. Jej trzydziestoośmioletnie serce biło jak dzwon, szarpany ręką zamroczonego winem dzwonnika.

Włamywacze!

Podeszła do lampy naftowej i przykręciła knot, pozostawiając malutki płomyk. Szarość pogłębiła się, długie cienie czarnych belek niemal zlały się z otoczeniem. Nagle któryś z mężczyzn za drzwiami wybuchnął głośnym śmiechem. Wzdrygnęła się, przestraszona. Przekręciła kółeczko lampy do oporu i światelko zgasło; w powietrzu unosił się jedynie słaby zapach ekstrakcyjnej nafty. Jednakże całkowita ciemność ogarnęła tylko pozbawione okien sanktuarium pani Izabeli, na resztę pomieszczenia padał blask ulicznej latarni, bez problemu przedzierający się przez ogromne okna, wstawione przed wielu laty, podczas odbudowy, gdy zdecydowano, że baszta doskonale nadaje się na miejsce malarskich wystaw i innych artystycznych prezentacji.

Włamywacze – ale się porobiło! Lęk Izabeli nie był tylko strachem samotnej kobiety, nękaną nocą przez bandziorów. Dodatkowe obciążenie stanowiła świadomość, że jej pobyt tutaj jest nielegalny. Na dobrą sprawę można by uznać, że ona sama również jest włamywaczem.

Izabela nie po raz pierwszy w życiu nocowała w Baszcie, robiła to już setki razy, od czasu pewnej nocy przed dziesięciu laty, kiedy to po raz pierwszy zdecydowała się nie wracać do domu.

A potem już nie miała wyjścia; musiała – chociaż raz w tygodniu – spędzać tu noc. Chybaby umarła, gdyby odebrano jej tę możliwość. Na pewno by umarła.

Problem Izabeli Radtke polegał na tym, że dobrze wiedziała, kim jest naprawdę. A ciężko żyć ze świadomością, że jest się prawdziwą bestią.

Swej tajemnicy pani Izabela strzegła pilnie i zamierzała ją zabrać do grobu, jeśli takowy był jej w ogóle pisany. To z tego powodu pozostała panną (O Boże! Chyba już stara! Jaki ten czas jest wredny!), choć była ładną kobietą, a atrakcyjna figura wciąż przyciągała wzrok mężczyzn.

Strzygą została w dwunastym roku życia, z winy pijanego kierowcy małego fiata, jadącego ze znaczną prędkością przez przejście dla pieszych. Stan śmierci klinicznej, w którym wtedy pozostawała, trwał dwadzieścia siedem minut. Rekord reanimacyjny słupskiego szpitala, choć podobno wcale nie rekord świata. Później przeczytała mnóstwo książek na ten temat, głównie wspomnień ludzi, którzy byli po tamtej stronie, przeżywających swe „życie po życiu”, ale nigdy nie doszukała się jakiejś wspólnej cechy z własnym doznaniem. Bo Izabela Radtke nie pamiętała niczego z tamtych martwych minut. Żadnego żeglowania ponad ciałem, żadnego tunelu, światła wabiącego barwą i łagodnością. Ani poczucia spokoju, ulgi, szczęśliwości.

Nic z rzeczy, o których gęsto na szpaltach gazet.

Za to po przebudzeniu, gdy jej serce na nowo podjęło pracę, wskakując w rytm pompy szpitalnej aparatury reanimacyjnej, od razu zdała sobie sprawę, kim się stała. Wiedziała, że nie ma już tamtej Izabeli. Ona umarła. Oddała ducha, podcięta zderzakiem fiata i wleczona dwadzieścia metrów pod jego podwoziem. To, co wróciło do życia wysiłkiem lekarskich pięści, walących niemiłosiernie w wątłą, dziewczęcą pierś, było już kimś innym. Strzygą. Choć niezupełnie taką, jaką znano z dawnych baśni i współczesnych komputerowych gier.

Nigdy nie ujawniła się. Nie przybierała o północy prawdziwej postaci. Nawet gdy na pasterkę biły wszystkie kościelne dzwony. Nawet w noc Kupały. I nigdy żaden piejący kur nie wywoływał w niej poczucia lęku. Jakby zapewne ostrożnie przekonywał każdy psychoanalityk: nie miała żadnego dowodu na to, że jej przekonanie nie jest jedynie urojeniem, urazem spowodowanym traumatycznym przeżyciem. Ale dobrze wiedziała, że brak dowodów zawdzięcza wyłącznie sobie. Żelaznej woli, niezłomnemu postanowieniu, iż nie da sobie do końca odebrać człowieczeństwa.

– Dobra będzie? – rozległ się chłopięcy głos osobnika, który poszedł do samochodu po łyżkę

do opon.

– Dawaj! Zobaczymy.

Izabela przycupnęła w kącie. Z nadzieją wpatrywała się w stalowe drzwi. Wytrzymają? Zgrzyt metalu uświadomił jej, że przecież nie o drzwi tu chodzi, mogą być najmocniejsze, co z tego, skoro może nie wytrzymać zamek. A nie wytrzyma, zrozumiała to w jednej chwili, wszak otwierała i zamykała go codziennie.

Ledwie się trzymał. Kiedyś nawet próbowano go wymienić, ale stwierdzono, że skoro jest system alarmowy, szkoda fatygi.

Lecz system alarmowy dzisiejszej nocy nie działał. Z jej winy.

Co za pech, że to akurat dzisiaj! Jak żyje, nie pamięta, żeby kiedykolwiek próbowano włamać się do Baszty Czarownic. Aktualnie swoje obrazy wystawiał tu Zygmunt Jasnoch, malarz z Kołobrzegu. Ceny jego prac, widniejące na przyklejonych dyskretnie metkach, były co prawda wysokie, lecz nie odbiegały od średnich na artystycznym rynku amatorskim. I – ceny cenami – nie wyobrażała sobie, żeby ktokolwiek (nic nie ujmując autorowi obrazów) mógł pałać żądzą ich posiadania w stopniu popychającym ku przestępstwu.

Coś trzasnęło.

– Idzie! – usłyszała uradowany, zachrypnięty głos.

Bliska paniki Izabela rozejrzała się nerwowo. Zaraz tu wejdą! Co robić?! Podniosła się i pobiegła ku schodom. Wyżej mieściły się kolejne pomieszczenia, kubatura baszty była dość okazała, choć może nie było tego widać z zewnątrz. Na samym szczycie, w spłaszczonym z jednej strony stożku połaci dachowej, znajdował się ostatni pokój: zakurzona rupieciarnia, od dawna zamknięta. Drżącymi rękami sięgnęła do kieszeni służbowego fartucha i wyciągnęła pęczek kluczy. Tak dawno tu nie była, że zapomniała już który to. Wreszcie – metodą eliminacji – wybrała właściwy; otworzyła trzeszczące niemilosierne drzwi i wpadła do środka, czując ślizgające się po twarzy pajęczyny.

Zamknęła drzwi w chwili, gdy z dołu dobiegł łoskot. Włamywaczom (złoczyńcom), złoczyńcom, ten kretyński wyraz nadal plątał się w myślach Izabeli, wziął się nie wiadomo skąd), najwyraźniej udało się sforsować wejście.

Na poddaszu nie było żadnego okienka. W zupełnych ciemnościach Izabela Radtke szukała otworu na klucz, żeby zamknąć się od środka. Na próżno. Wreszcie uzmysłowiła sobie, że te drzwi mają zamek jedynie od zewnątrz. Pozostawało mieć nadzieję, że przestępcy (złoczyńcy! złoczyńcy!) poprzestaną na grabieży wystawy i nie wpadnie im do głowy przeszukiwanie szczytu baszty.

Było jej słabo. Poczula ucisk w żołądku i kwaśny posmak wędrował do ust. Omal nie zwymiotowała. Położyła się na podłodze. Jakies papiery, pewnie gazety, zaszeleściły głośno, zupełnie jak gdyby ktoś przystawił podłączony do wzmacniacza mikrofon. Zesztywniała, zdając

sobie równocześnie sprawę, że przecież tamci nie mogą tego usłyszeć. Strach ma wielkie oczy.

Leżała na wznak, z wzrokiem błędzącym w przestrzeni, i bez znaczenia pozostawało, czy powieki miała przymknięte, czy nie. Ciemność była taka sama. Jakby świat zniknął lub skurczył się do kamienia tkwiącego w jej żołądku. Również cisza była kompletna; nie docierały tu dźwięki z odległej ulicy, ani – co gorsza – ze środka baszty. Nie słyszeć bandziorów, a wiedzieć, że są tak blisko, okazało się znacznie bardziej przerażające niż podsłuchiwanie ich rozmów.

Mimo wszystko jednak powoli się uspokajała, serce przestało szamotać się w klatce piersiowej, bijąc równiejszym rytmem, aż w pewnej chwili przestała je słyszeć. W zasadzie to naturalne, że człowiek nie słyszy bicia własnego serca, ale u Izabeli raptem pojawiło się przekonanie, że stanęło. Przecież umarła. Leży martwa na najwyższej kondygnacji Baszty Czarownic, wśród kurzu, śmieci i pajęczej przędzy. I wcale nie jest jej z tym źle. Nie miała ochoty weryfikować swojego przecucia, choć pewnie wystarczyłoby ledwie ruszyć ręką.

Czas stanął. Może tylko zwolnił. Mijające minuty...

Osamotniony Arek Szyszko siedział na odbudowanym fragmencie dawnego muru obronnego i spoglądał na rozgwieżdżone sierpniowe niebo. Od strony dobrze utrzymanego trawnika, przy deptaku nad rzeką, dobiegało monotonne cykanie świerszczy.

Coś plusnęło w rzeczonym nurcie, może wielka ryba. Lubił myśleć, że w Słupi żyją wielkie ryby, co zresztą podobno od kilku lat znów było możliwe.

Westchnął, jednak to nie tęsknota za czystym łowiskiem była przyczyną melancholijnego nastroju. Przypomniał sobie, że zaledwie przed tygodniem też tak tu siedział, wsłuchany w głosy przyrody. Ale nie wsłuchiwał się sam. Był z dziewczyną, sympatyczną Anką, która przyjechała na wczasy do Ustki. Teraz też powinien z nią tu być, i pewnie byłby, gdyby ten szumowina Maciek nie zaciągnął go wtedy do herbaciarni w Spichlerzu Richtera.

A tak, zamiast tego, stał na czatach.

„Stań na czatach, a my zainstalujemy się w środku”, powiedziała Bogda, gdy włamali się do Baszty Czarownic. „Po co?”, spytał. „Nie wiesz po co stoi się na czatach?”, zdziwiła się. „Człowieku! Żeby ostrzec współników na włamie przed niebezpieczeństwem. Co ty, filmów nie oglądasz? A mówili mi, że teraz młodzież nic, tylko komórki i gry komputerowe. Nie chciałam wierzyć...”. „Nie pytam, po co mam tu zostać”, zaprotestował zniecierpliwiony lekceważącym traktowaniem. „Pytam, po co się tu włamaliśmy?” „Po to, żeby nie włamał się ktoś inny”, odparła, spoglądając na niego uważnie, jakby chciała się upewnić, czy może wyjawić ważną tajemnicę. „A w szczególności pewien nikczemnik w skórzanej kurtce, prowadzący ze sobą Bogu ducha winną dziewczę”.

Zamyślony wzrok Arka powędrował na drugą stronę rzeki.

Trudno było uwierzyć, że przed niespełną godziną parkował tam stary opel ojca, a w nim Bogda i on, nieświadom, że wkrótce stanie się przestępcą (włamanie jest włamaniem, trzeba nazwać rzecz po imieniu).

Swoją drogą, to ciekawe, z jaką łatwością rozrosła się ich ekipa (drużyna – „no, to mamy drużynę jak należy!” – stwierdziła Bogda). Dopiero co był sam z tą niezwykłą kobietą, a tu raptem doszedł Marchewa, a zaraz potem trzech obwiesiów, których zastali przed basztą z pustymi butelkami po piwie. Mogli ich przepędzić, nie byłoby trudno, ale Marchewa rozpoznał głos jednego z biesiadników.

– Nie przydałby się ktoś jeszcze? – zapytał Bogdę. – Byłoby różniej...

Tak jak Arek się obawiał, Bogda uznała to za dobry pomysł:

– Pewnie. Im nas więcej, tym lepiej. Jeśli, oczywiście, można im zaufać.

– Jasne, że można – odparł Marchewa. – Inaczej bym nie proponował.

Arek był gotów się założyć, że było dokładnie odwrotnie. To oczywiste, że osiłek będzie próbował się wywinąć i szuka swojej szansy gdzie się da. Widać i Bogda brała taką możliwość pod uwagę, bo przypomniała:

– W razie, gdybyś miał jakieś pomysły, pamiętaj, co się może stać, gdy zaśniesz, FACECIE Z JAJAMI! Jeśli choć trochę mnie zawiedziesz...

W odpowiedzi Marchewa tylko zacisnął mocniej kolana.

Trzech podpitych typków, z tygodniowym zarostem na twarzy, niemytych pewnie jeszcze dłużej, początkowo przyjęło propozycję współpracy z entuzjazmem. Uściskali przybyłych jak starych kumpli, nawet Arka, choć próbował zachować dystans. Jeden z nich potwornie śmierdział moczem. Paradoksalnie akurat ten wydał się Szyszce najsympatyczniejszy, może był najbardziej trzeźwy, a może miał tylko inteligentniejsze od reszty spojrzenie.

– Baron – przedstawił się grzecznie.

Mogło to być nazwisko, ale równie dobrze i ksywka. Jak sądził Arek, ludzie z pewnych kręgów posługują się wyłącznie ksywkami.

Pozostali dwaj nazywali się Poldek i Duduś.

– Skoro tak – powiedziała Bogda. – Skoro sprawdził się talent organizacyjny naszego przyjaciela, może skombinujesz Piekarski, jakąś broń? Najlepiej palną. Poradzisz sobie z takim zadaniem?

– Coś da się załatwić – odrzekł Marchewa, najwyraźniej zadowolony, że w obecności kolegów zwrócono się do niego po nazwisku. – Może nie dla wszystkich, ale coś na pewno.

– Dla mnie nie trzeba – poinformowała Bogda, wyciągając zza paska pistolet strażnika Zenona. – Wystarczy amunicja.

Marchewa zerknął na broń.

– Walther – skomentował. – Żadnych problemów. Ale przydałaby się bryka.

– Daj kluczyki – poleciła Bogda Arkowi.

– Ależ. To samochód ojca...

– Daj! – ucięła krótko.

Kiedy Marchewa odszedł, okazało się, że nowi znajomi mają dość niewyraźne miny.

– Co się stało? – spytała Bogda. – Czy coś jest nie tak? Coś komuś nie pasuje?

– Nie... – odezwał się Poldek. – Tylko...

– Tylko co? – Przygwoździła go spojrzeniem. Nie wiadomo, co zobaczył w jej oczach, ale nagle się zgarbił, zmalął. Jak balon, z którego uciekła część powietrza.

– Myśleliśmy, że to tylko łatwy włam – odezwał się Baron. – Po co nam broń? W razie wpadki będą tylko kłopoty...

Bogda westchnęła. Ciężko i niecierpliwie. Niczym matka nad gromadką nierozgarniętych dzieciaków.

– Ustalmy trzy prawdy, panowie – powiedziała. – Po pierwsze, ja jestem tu szefem. Po drugie, o żadnej wpadce nie może być mowy, ponieważ patrz: po pierwsze. A po trzecie i najważniejsze, nikt, kto ze mną cokolwiek zaczął, skończyć beze mnie nie może. Chyba że w piachu. Czy to jasne?

– Jasne – odpowiedział posłusznie Poldek.

Pozostali dwaj milczeli, spoglądając po sobie z wyraźną konsternacją.

Bogda jeszcze raz westchnęła.

– No to inaczej – podjęła głosem łagodnym i pełnym cierpliwości. – Widzę, że trochę was suszy i pewnie wypilibyście coś konkretnego.

Rozpogodzili się. Przytaknęli, tym razem zgodnie.

– Nie mam wina, choć po robocie możemy się napić, ale teraz mogę zaproponować wam to!

– Wyciągnęła dłoń, która w pierwszej chwili wydawała się pusta, ale gdy przyjrzeli się bliżej, okazało się, że leży na niej kilka kuleczek. Przypominały makowe ziarenka.

– Co to jest? – zapytał Baron.

– Po prawdzie, sama dobrze nie wiem – przyznała się Bogda, z zakłopotaniem przekrzywiając głowę i unosząc brew. – Ale z autopsji znam działanie. Jedno ziarenko to równowartość pięćdziesiątki czterdziestoprocentowej wódeczki.

Popatrzyli nieufnie.

– Poważnie. Kręci tak samo, a w dodatku nie ma po tym kaca. Spróbujcie... – Podsunęła rękę. – Na początek po jednym ziarenku. Na próbę.

Poldek wziął w palce ciemną kuleczkę. Ręce miał brudne, pod paznokciami czarne półksiężycy, ale nie przeszkadzało mu to we włożeniu ziarenka do ust. Chuchnął przy tym, jakby rzeczywiście wychylił pięćdziesiątkę i uśmiechnął się niepewnie.

Duduś uczynił podobnie, tyle że jego uśmiech był jeszcze bardziej głupkowaty.

– A ty, Areczku?

Odmówił.

– No cóż, zmuszać cię nie będę. – Twarz Bogdy przybrała przebiegły wyraz. – Będzie więcej dla nas, prawda, Baron?

Zagadnięty wzruszył niezdecydowanie ramionami. Nieopodal, po Moście Zamkowym, przejechał na sygnale osobowy samochód operacyjny Straży Pożarnej. Baron popatrzył w tamtą stronę z nagłym zainteresowaniem, ale Bogda czekała cierpliwie.

Wyczekująco spoglądali również Poldek i Duduś.

– No co ty, Baron... – Poldek czknął. – Ja już czuję, jak kręci.

– Nie wolno zmuszać – uświadomiła go Bogda kategorycznym tonem. – Jeśli ktoś krewi, to...

– Dawaj! – Baron sięgnął po ziarenko, wrzucił do ust jak groszek i połknął. Przez chwilę stał bez ruchu, wsłuchując się we własne ciało.

– Nic nie czuję – skomentował.

– Nie tak szybko... – Poldek czknął po raz drugi.

Coś zakwiliło od strony mostu i włączyła się syrena. W ślad za samochodem operacyjnym podążał wóz gaśniczy, połyskujący czerwienią w świetle gęstych w tym miejscu ulicznych lamp.

– Po-żar – wysylabizowała powoli Bogda. – A może to byłby dobry pomysł? – W zamyśleniu popatrzyła na Basztę Czarownic.

– Za blisko – powiedział milczący dotąd Arek.

– Co? – Spojrzała na niego, unosząc pytająco brwi.

– Straż Pożarna jest za blisko. Ugaszą.

– Aha! – Na twarz Bogdy powróciła obojętność. – A wracając do tematu... Wdepnęliście w gówno, chłopaki. Nie patrz na buty, Poldek, to metafora, taka przenośnia, kapujesz? Chcę powiedzieć, że od tej chwili jesteście ze mną albo nie ma was wcale.

Tym razem bez metafor. Otóż...

Zawiesiła głos i wszystkie spojrzenia powędrowały za wyciągniętym w górę wskazującym palcem.

– Otóż, macie poważny kłopot. Można rzec, bez żadnej przesady, życiowy kłopot. Czarnoludek właśnie rozgościł się w nowej kwaterze.

Cała trójka patrzyła w milczeniu. Nic nie rozumieli. Arek Szyszko obojętnie odwrócił się w stronę rzeki, melancholijnie obserwując płynącą gałąź. Już ani trochę nie bawiły go oratorskie popisy szefowej.

– No co? – Bogda wybuchnęła śmiechem. – Co tak wszystkich zamurowało, przystojniaczki? Chyba teraz już jasne, że z tym erzacem wódki to pic na wodę. Mówiąc precyzyjniej, zostaliście wyrolowani.

Cofnęli się. Duduś zacisnął pięści.

– Cośmy zezarli?!

Baron sięgnął do kieszeni i wyciągnął sprężynowy nóż. Odbezpieczył go z efektywnym trzaskiem. Na opuchniętych, grubo ciosanych twarzach wciąż malowało się całkowite niezrozumienie, przemieszane z narastającym gniewem.

– Czarnoludka – odparła beztrąsko Bogda, jakby mówiła o cukierku. – Każdy po jednym. Wystarczy. Nie lubię marnować cennych trojanów.

– Co to jest Czarnoludek...?

– Kto! – sprostowała. – Właściwe pytanie brzmi: Kto to jest? Prawie to samo, co Krasnoludek. Tyle że Czarnoludki mają mniej przyjazne charaktery. Zdecydowanie mniej przyjazne. Popatrzcie! – Uniosła wyżej dłoń, w której nadal trzymała pozostałe makowe kuleczki. – Pokażę wam coś ciekawego. Arek poświeć!

Szyszko skierował ku niej promień latarki.

– Wracamy... – przemówiła Bogda do ziarenek.

Poruszyły się. Niczym mrówki krzątające się wokół cukrowej kostki. A potem, rządkiem, jedna za drugą, wspięły się po nadgarstku, przemaszerowały po całej ręce, po ramieniu, po szyi, podbródki, i zniknęły między uchylonymi zmysłowo wargami.

Bogda ostentacyjnie przełknęła ślinę.

– Czarne Ludki – szepnęła, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

– Jakież marne sztuczki! – Baron postąpił krok do przodu, z wyciągniętym przed siebie nożem.

– Czarnoludki – kontynuowała Bogda, ignorując go – są w tej chwili w waszych krwiobiegach. Najpewniej akurat przebywają w aorcie, czyli tętnicy głównej, wychodzącej z lewej komory serca. SERCA! Mówi wam to coś?

Szare oblicza przypominały w tej chwili raczej dziwaczne gargulce niż ludzkie twarze.

– A najzabawniejsze jest to, że wcale nie chciałyby do was wejść, gdybyście ich nie zaprosili. Pod tym względem są bardzo honorowe, savoir-vivre, sami rozumiecie. Wygląda na to, że jedynie Arek ma czynną korę mózgową, choć jest z was najmłodszy. Wstyd, panowie, naprawdę wstyd!

– Natomiast demonstracja wygląda TAK! – oznajmiła Bogda oniemiałym słuchaczom i wysepleniła coś niezrozumiale.

Nagle Baron zgiął się wpół. Szeroko rozwartymi ustami na próżno usiłował złapać oddech. Sprężynowy nóż upadł w trawę.

– Baron! Co ci?! – krzyknął Duduś.

Doskoczyli do niego razem z Poldkiem, ale ich towarzysz leżał już na ziemi. Charczał.

– Właśnie w tej chwili Czarnoludek ścisnęła aortę Barona – poinformowała Bogda tonem przewodnika krajoznawczej wycieczki. A ponieważ nikt na nią nie patrzył, zwróciła wzrok na

skamieniałego z wrażenia Arka. – Nie mam zielonego pojęcia, jak Czarnoludek to robi – wyznała. – Cud jakiś. Jest wielokrotnie mniejszy niż przelot tętnicy, a jednak potrafi ją zacisnąć. Chyba chodzi o jakieś ugięcie przestrzeni czy coś w tym rodzaju. Naprawdę nie wiem. Ale to nieważne. Liczy się efekt. Jak widać, piorunujący.

Baron już nie charczał. Przestał się ruszać.

– Nie oddycha! – zawołał wystraszony Poldek.

Duduś zaczął walić w klatkę piersiową leżącego. Nie wiedział nic o podstawach pierwszej pomocy, ale widział kiedyś, jak John Travolta robił to pewnej zaćpanej panience.

– Trzeba wezwać pogotowie – zaproponował nieśmiało Poldek, patrząc błagalnie na Bogdę.

– Nie – odparła krótko, tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Jeśli umarł, ciało wrzucicie do rzeki. I do roboty! Jak będziemy sterczeć na zewnątrz, jeszcze ktoś się zainteresuje.

Nieoczekiwanie Baron kaszlnął. Otworzył oczy i odepchnął Dudusia, wiszącego nad nim z zaciśniętą pięścią, gotową do kolejnego uderzenia. Usiadł, kaszlnął raz jeszcze i głęboko zaczerpnął tchu.

– Co się dzieje, do kurwy nędzy?! – wychrypiął.

– Łazarzu wstań – odpowiedziała mu Bogda. – Oto co się dzieje. Silny jesteś jak byk, przyjacielu. Kto by pomyślał? Przettrzymałeś Czarnego Ludka, ho, ho...

Zapadła cisza.

– No to co? – przerwała ją Bogda. – Bierzemy się do pracy czy bawimy się dalej?

Nikt nic nie odrzekł, a Baron podniósł się z trawy, zatoczył na ugiętych nogach i ruszył w stronę baszty. Poldek usiłował go podtrzymać, lecz został odtrącony z niewyraźnym warknięciem.

– Nóż – powiedziała nagle Bogda.

Odwrócili się, jak na komendę kaprała.

– Zostawiłeś nóż – powtórzyła, wyzywającym gestem pokazując palcem na ziemię.

Baron wrócił, z trudem przyklęknął i podniósł swój sprężynowiec. Nie patrząc na nikogo, złożył go i schował do kieszeni.

Włamanie do Baszty Czarownic okazało się łatwizną. Byli przygotowani do szybkiej ucieczki, ponieważ Duduś twierdził, że wieża ma podłączony alarm, nic się jednak nie stało. Jak przekonali się po wejściu do środka, system alarmowy nie został włączony. Lub nie działał.

– Arek, stań na czatach – poleciała Bogda. – Swoją latarkę oddaj Dudusiowi.

Pozostał więc przed basztą, rozłożył się na zimnym, ceglany murze prawie metrowej szerokości i zastanawiał się, co robić.

„Kto cokolwiek ze mną zaczął, skończyć beze mnie nie może. Chyba że w piachu...”, powiedziała tamtym trzem Bogda. Wierzył w to. Po tym, czego doświadczył, potrafił uwierzyć we wszystko.

Coś zaskrzypiało w górze. To wiatr zmienił kierunek i obróciła się blaszana sylwetka lecącej na miotle wiedźmy. Ten zamocowany na szczycie wieży zmyślny wiatromierz stanowił atrakcję nie tylko dla dzieci. Dwuwymiarowa, płaska postać czarownicy pozostawała w pełnej zgodzie z kulturowym standardem Baby Jagi – haczykowany nos, wysunięta do przodu dolna szczęka, no i oczywiście wykonana z niby–rózég miotła. I chociaż nie miało to absolutnie nic wspólnego z niechlubną przeszłością obiektu, ktokolwiek wpadł na pomysł jej tu zamontowania, miał zapewne o wiele więcej oleju w głowie niż architekci zaczynającego się pięć metrów dalej socrealistycznego blokowiska przy ulicy Mostnika. I zapewne o wiele więcej od niego, Arkadiusza Szyszki, który w zasadzie na własne życzenie wdał się w aferę, która nie mogła skończyć się dobrze. A mimo to brnął dalej. Jak w bagno, z każdym ruchem pograżając się coraz głębiej.

Baba Jaga zaskrzypiała po raz wtóry i równocześnie otworzyły się kute metalem drzwi.

– Młodziak! – rozległo się ciche wołanie. – Chodź do nas. Szef zaprasza na pokoje.

Arek wstał i podążył ku schodom. Dotkliwie dokuczał mu kolejny problem. Dlaczego wszyscy zwracają się do Bogdy jak do mężczyzny?

Mijające minuty nie miały znaczenia.

Świat powrócił zawodzeniem nienaoliwionych zawiasów.

Drzwi otworzyły się. Przerażliwie jasne światło latarki błędziło po grubych belkach dachowej konstrukcji, grzęznąc wśród pajęczyn i wzbijających się drobin pyłu. Ten podporządkowany chaosowi ruch kurzu wywołała Izabela Radtke, panicznie przesuając się w poszukiwaniu kąta, w którym mogłaby się schronić, umknąć przed włamywaczem.

– Aaa... co mu tu mamy?

Promień latarki oświetlił kobiecą twarz.

– To ci miła niespodzianka... – zdziwiony, zachrypnięty głos niewiele się różnił do wcześniejszego zgrzytu zawiasów.

Izabela zasłoniła się ramieniem. Próbowała krzyżeć, ale z jej gardła wydobył się jedynie pisk. Zaczęła płakać.

– Ratunku!

Czy nikt nic nie widzi?! Baszta jest przecież prawie w centrum miasta. Tuż obok, niemal na wyciągnięcie ręki, są bloki mieszkalne. Jak to możliwe, żeby nikt...

– Pomocy!

– Zamknij się – warknął nieznajomy. – Co tutaj robisz, kobieto?

Popatrzyła w górę, na zastygły nad nią czarny cień. Nie była w stanie wykrztusić słowa.

– Wstawaj! – rozkazał.

Posłuchała. Stała na drżących nogach, skulona, z rękami przy piersiach, jakby była naga.

– Fiuuu... – zagwizdał mężczyzna. – Ładniutka jesteś. Niczego sobie. Ależ mam fart!

Aż się zatrzęsała. Nie musiała widzieć ukrytej w cieniu twarzy, błysku w bezlitosnych oczach. Wystarczyły te słowa pełne pożądania.

– Odejdź! – zdołała wreszcie wykrzyknąć.

Zaśmiał się tylko, chrapliwie, jak czarny charakter w szmirowatym filmowym komiksie. Położył latarkę na podłodze i wyciągnął ku kobiecie ramiona. Chwycił drobne ciało, przyciągnął do siebie jedną ręką, drugą usiłując wepchnąć pod spódnicę. Izabela Radtke ugryzła go w policzek, gdy łąpczywie szukał jej ust; dotąd nie miała pojęcia, że w ogóle można kogoś ugryźć w policzek. Napastnik krzyknął i rzucił ją z całych sił na podłogę. Uderzyła się boleśnie w ramię, ból był tak potworny, że przez chwilę myślała, że złamała rękę.

– Co robisz, Duduś? Zostaw ją! – Nieoczekiwanie w drzwiach pojawił się jeszcze ktoś. Izabela rozpoznała ten młody głos, należący do mężczyzny, który przed włamaniem do baszty poszedł po łyżkę do opon.

Cień odwrócił się, wciąż pochylony, z rękami zwisającymi jak u goryla.

– Spieprzaj, garnku! – warknął.

– Zawołam Bogdę!

Cień wyprostował się.

– A wołaj. Może się przyłączy, różnie to bywa z takimi pedałami... – powiedział Duduś i ponownie schylił się nad kobietą.

Izabela nieudolnie usiłowała kopnąć napastnika w krocze.

– To lubię! – Duduś zaśmiał się tylko i runął na nią niczym kłoda. Szarpnięciem ściągnął z kobiety służbowy fartuch, rozerwał dekolt sukienki aż do ud.

Nagle uderzenie w tył głowy pozbawiło go na kilka sekund przytomności. Tylko na kilka sekund. Gdy minęły, Duduś powoli odwrócił głowę. Nad nim, słabo widoczny w świetle leżącej na podłodze latarki, stał ten młody garnek. Szyszka czy jak mu tam... W rękę trzymał drewniany kij.

– O zesz ty! – Rozwścieczony Duduś, czując ciepło spływającej po karku krwi, rzucił się na młodziaka, nawet nie wstając, na czworakach, jak rozdrażniony doberman. Chwycił go oburącz za nogi i powalił na podłogę. Ciosy zadawał na oślep, waląc pięścią, byle w okolice majaczącej w mroku twarzy. Aż rozbolały go starte do krwi knykcie.

Gdy wreszcie obrońca – psia jego mać, dziewic – znieruchomiał z oczami zamglonymi jakby zalało je mleko, Duduś rozejrzał się za kobietą, którą tak nieoczekiwanie spotkał w tym ustronnym miejscu. W samą porę. Była już przy drzwiach, łkająca i ściskająca strzępy odzienia w przyciśniętych do brzucha rękach. Rzucił się ku niej, szybki i zdecydowany; dopadł w progu, wciągnął z powrotem i popchnął w kąt.

– No tak – wysapał, przypatrując się swej ofierze.

Odwrócił wzrok na Arka Szyszkę, leżącego bezwładnie pośród starych gazet, potem spojrział

za siebie, na drzwi. Po chwili wahania podszedł do nich i zamknął starannie.

– Teraz nikt nam nie przeszkodzi – powiedział do Izabeli Radtke, krzywiąc twarz w grymasie, który zapewne miał być uśmiechem.

Gdy po raz drugi sięgał ku zeszywniałemu z przerażenia kobiecemu ciału, zegar na pobliskim ratuszu zaczął wybijać północ. Duduś zerwał stanik, z błogim mruknięciem zaciskając rozwarłe dłonie na dużych piersiach. Kobieta próbowała się bronić, wymachując bezładnie pięściami. Prawie tego nie czuł, ale wiła się pod nim, więc usiadł na jej brzuchu, kolanami przyciskając nieujarzmione ramiona.

– Popatrzmy sobie – powiedział i sięgnął po leżącą nieopodal latarkę. – Oj, dawno nie widziałem takich cycków... – wymruczał przez zaciśnięte zęby.

Ratuszowy zegar uderzył po raz dwunasty. W sekundę potem psychopatyczny uśmiech zastygł na twarzy mężczyzny zwanego Dudusiem. Oczy stały się okrągłe. Żółty promień światła co rusz zmieniał pozycję, gdyż dłoń trzymająca latarkę zaczęła podskakiwać, jakby zamiast latarki tkwiła w niej wyrywająca się ryba.

– Haaa... – westchnęło monstrum, a spośród spiczastych zębów wydobyła się mgiełka lodowatego oddechu. Rubinowoczerwone oczy z nienawiścią wpatrywały się w zastygłą jak gipsowy odlew twarz.

Latarka wypadła z zeszywniałej ręki Dudusia. Z głuchym stukiem pękającego szkła uderzyła o podłogę i światło zgasło.

W ciemności rozległ się dziwny odgłos – krótki świst, podobny do tego, który dźwiękowcy filmowi podkładają pod ruch samurajskiego miecza. Potem mlasnęło i coś ciężkiego uderzyło gdzieś w górze, pomiędzy belkami stropu.

Strzyga wstała, strząsając z siebie bezwładne ciało. Mimo braku światła doskonale widziała w ciemności. Obraz był różowy, trochę nieostry, ale nie miała kłopotów z rozróżnieniem nawet drobnych szczegółów. Wyciągnęła przed siebie ręce, nagle wydłużone do samych kolan; rękaw sukienki ledwie sięgał do łokcia. Z trzaskiem stawów poruszała palcami, drapiąc pazurami pobielające nadgarstki.

– Haaa... – westchnęła i szybkim jak pocisk ruchem odwróciła głowę od zakrwawionego korpusu martwego człowieka. Spojrzała w stronę leżącej nieopodal drzwi drugiej postaci, która właśnie się poruszyła, z okrzykiem bólu sięgając do zranionej głowy.

Przygarbiona postać bestii pokonała zwierzęcym skokiem dzielącą ją od mężczyzny odległość. Zakrwawione szpony zbliżyły się do odsłoniętej szyi. Niespodzianie zatrzymały się w pół ruchu.

Czerwone oczy błysnęły, głowa z trupią twarzą przekrzywiła się. Nozdrza zadrgały. Poruszyły się również wydłużone ku dołowi uszy.

Strzyga nasłuchiwała.

Ktoś szedł po schodach.

Nagle różowy obraz zniknął. Rubin zgasł w oczach, jak zdmuchnięte płomyki świeczek. W jednej chwili powróciła czerń nocy, a ostry ból ramion bezwiednie wywoływał jęk.

W głębi klatki piersiowej obudziło się ludzkie serce. Biło nienaturalnie szybko, jakby zamierzało nadrobić stracony czas.

Izabela Radtke jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i wybiegła na schody. Pokonywała stopnie, szlochając, nieomal przewracając niewysokiego mężczyznę w marynarce, obserwującego ją w zdumieniu. Dotarła na parter, zakrwawiona, w strzępach sukienki. Jej widok, a zapewne i widok nagich piersi, podrygujących przy każdym kroku, wprost zamurował siedzących na krzesłach dwóch nieogolonych mężczyzn, trzymających w brudnych paluchach tanie papierosy bez filtra. Odprowadzali ją wzrokiem, aż wybiegła z baszty, zeskakując z ponad metrowego muru i znikając w mroku.

– Hej, macie ją?! – krzyknął ze schodów Pożoga.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Zerwali się z miejsc jak oparzeni. Poldek wybiegł na zewnątrz.

– Uciekła – wykrztusił, wracając ze zrezygnowaną miną. – Wskoczyła do rzeki, skubana! –

Kto to był?

Baron wzruszył ramionami.

– Kto to był?! – zawołał Poldek w górę schodów, ale nikt mu nie odpowiedział. Pożoga wchodził właśnie do najwyższego pomieszczenia wieży, przyświecając sobie latarką.

– Jezu! – wystękał Arek Szyszko. – Ale mnie załatwił. To wariat! Zboczeniec!

Udało mu się podnieść z podłogi.

– Kto? – zapytała Bogda.

– Jak to kto? Ten Duduś, cholerny zakapior! Chciał zgwałcić... – nagle przerwał. Dotarło do niego, co widzi.

– Zakapior nie żyje – stwierdziła Bogda.

Niekompletne ciało leżało na wznak, z szeroko rozpostartymi ramionami. Wokół pozbawionej głowy szyi utworzyła się czarna w tym świetle kałuża. Promień latarki błędził wśród rupieci, w poszukiwaniu reszty. Wreszcie zatrzymał się. Głowa tkwiła wysoko, wciśnięta między krzyżującymi się pod ostrym kątem belkami krokwi. Martwe oczy były szeroko rozwarte, na twarzy wciąż tkwił gipsowy uśmiech.

– Fiuuu... – Bogda zagwizdała z uznaniem.

Arek Szyszko z powrotem opadł na podłogę. Jakoś zdołał opanować torsje i odważył się powtórnie spojrzeć w górę.

– Co tu się stało? Kto to zrobił?! – wykrztusił ze ściśniętym gardłem.

– Jak to kto? – Bogda wzruszyła ramionami. – Albo ty, albo kobitka, z którą biedak usiłował zażyć cielesnej rozkoszy. Nie widziałam tu nikogo innego.

– Jak to ja?! – Arek zerwał się na równe nogi.

– Spokojnie. – Bogda podeszła do ciała Dudusia. – Nikt cię nie posądza.

Delikatnie trąciła butem odrzuconą w bok rękę nieboszczyka. Martwe palce sięgnęły krwistej kałuży.

– Po prostu urwała mu łeb – skwitowała. – Przyznaję, że dotąd z dużą rezerwą podchodziłam do spraw emancypacji kobiet, ale teraz chyba zweryfikuję poglądy. – Pochyliła się, oświetlając latarką miejsce dekapitacji. – Naprawdę dobra robota. Profesjonalna.

Arek Szyszko wreszcie wydostał się na schody. Oddychał ciężko. Przytrzymując się poręczy, powoli schodził w dół. Tak ujrzeli go Baron i Poldek, pozostający pod wrażeniem uciekającej, półnagiej kobiety.

– A ty co? – Baron poderwał się, rzucając peta na podłogę. – Kto cię tak urządził? – Oglądał opuchniętą twarz Arka, podbite oko, zakrwawiony nos.

– Poczekaj! – Przytrzymał wrywającego się chłopaka. Obmacał nos. – Na szczęście nie złamany – stwierdził. – Do wesela się zagoi.

– Czy to aby nie robota kochanego Dudusia? – zapytał Poldek.

Arek wykrzywił usta. Z rozbitej wargi sączyła się krew.

– Wiedziałem. – Poldek pokiwał głową. – Duduś lubi bitki i kobitki...

– Lubił – sprostował Arek Szyszko.

– Co?

Arek skrzywił się ponownie, sięgnął ręką do ust i coś z nich wyjął.

– Jezu! – stęknął, widząc wyłamany ząb.

– Chcesz powiedzieć, że załatwiłeś Dudusia? – nalegał Baron, nie zwracając uwagi na rozterki Szyszki.

– Nie ja... – wyseplenił Arek.

Przez chwilę Poldek i Baron spoglądali pustymi jak denka filiżanek oczami. Z ich twarzy wiało chłodem.

– Ani ja – poinformował Pożoga, wyłaniający się ze schodowego wykuszu. – Ani ja, jeśli to wam chodzi po głowach, przyjemniaczki. Pragnę poinformować, że dzielny zdobywca niewieścich wdzięków zginął na posterunku. Poległ w akcji, że się tak wyrażę.

– Nie wierzę – powiedział Baron.

– Zapytaj Arka. – Pożoga wzruszył ramionami.

Szyszko kiwnął głową. Wciąż robiło mu się słabo na wspomnienie tamtego ciała, leżącego bez głowy w kałuży krwi. Jedno, na co miał ochotę, to wyjść stąd, wrócić do domu i spać. Spać choćby cały tydzień. Pieprzyć Bogdę! Pieprzyć jej Czarne Ludki i inne numery!

Bez słowa skierował się ku drzwiom.

– Przypominam o umowie, niewolniku! – wrzasnęła Bogda, od razu orientując się, co chodzi

mu po głowie.

Odwrócił ku niej posiniaczoną twarz. Prawe oko otaczał siny krąg wielkości pomarańczy, wciąż nabierający soczystszej barwy.

– Mam w dupie umowę! Nie na to się umawialiśmy.

Naprawdę było mu wszystko jedno. Mogła go nawet zabić.

– Poczekaj! – nieoczekiwanie głos Bogdy zabrzmiał prosząco, o ile jakkolwiek ton jej głosu można było w ogóle traktować serio. – Rzeczywiście mówią, że co się stało, to się nie odstanie, ale nie zawsze jest to prawda. Jeśli zostaniesz z nami, może jednak będę mogła coś zrobić w sprawie twojej siostry...

Arek przystanął i zmierzył dręczycielkę nienawistnym spojrzeniem. Powoli jego wzrok mętniał. Boże! Jaka była piękna!

Jak niewiarygodnie...

– Co? – przemógł się.

– Za trzy, nie, już za dwa dni, powiem ci, co zrobić, żeby w przyszłości tak nie cierpiała.

– Mówiłaś, że to nieodwracalne.

– Bo jest. Dla mnie. Ale przecież nie twierdziłam, że zupełnie nic nie będzie można z tym zrobić. Są tacy, którzy może nie do końca potrafią zmieniać przeznaczenie, ale z pewnością umieją je weryfikować. Szukać kruczków lub precedensów, zupełnie jak prawnicy zdolni odwrócić kota ogonem. Gdy nasz kontrakt się skończy, powiem ci, gdzie ich szukać.

Przez długą chwilę Arek wbijał wzrok w ziemię. Nie mógł, nie chciał, bał się znów spojrzeć w te hipnotyzujące oczy. Oczywiście mogła kłamać, oszukiwać. Najpewniej tak było. Ale czy miał prawo zatrzaskać te drzwi?

– No i dobrze – powiedziała Bogda. Odwróciła się, uznając sprawę za załatwioną.

PONIEDZIAŁEK. UL Nowowiejska.

Patrycja Szyszko siedziała przy biurku, pochylona nad dużą kartką papieru. Obok leżało kilka innych kartek. Gdyby nie to, że trwały wakacje, można by pomyśleć, że odrabia lekcje.

Rysowała.

Nie robiła tego od miesiący, właściwie od ponad roku, odkąd w ramach reformy oświaty ktoś ważny uznał, że część dzieci będzie uczyła się nut i kluczy wiolinowych (muzyka), a pozostali używali kredek (plastyka). W roczniku Patrycji śpiewały klasy V a, V d, rysowały V b, V c, V e. Osobiście Patrycja popierała założenia reformy. Ani nie lubiła śpiewać, ani rysować, więc przynajmniej jeden z problemów odpadał. Liczyła na to, że w przyszłym roku ktoś ważny uzna, że pewna grupa dzieci będzie uczyła się j. polskiego, inna matematyki. Wolałaby, żeby na VI b trafiła matematyka.

Do pokoju weszła mama.

– Już z pracy? – zdziwiła się Patrycja. – Nie słyszałam, jak wróciłaś.

– Byłam tylko po zakupy. Przecież od tygodnia jestem na urlopie, dziecko. Czasami zastanawiam się, czy wy, młodzi, nie żyjecie czasem w innym świecie, który jakimś przypadkiem fragmentami zazębia się z prawdziwym.

– To wasz świat przypadkiem zazębia się z naszym – odparowała Patrycja, przez cały czas wpatrując się w kartkę papieru i nie przestając rysować.

– Arka nie było? – Matka najwyraźniej nie zamierzała kontynuować jałowych dyskusji.

– Nie, ale dzwonił. Powiedział, że jest u kolegi, w Ustce. Popsuł mu się samochód.

– Chwała Bogu! – Dorota Szyszko oparła się o framugę drzwi i grzbietem dłoni otarła spocone czoło. – Martwiłam się, że coś mu się stało. Najpierw ta ręka, a potem...

– Tata jest wściekły.

– Już wie?

– Telefonowałam do niego. Arek prosił, żebym zadzwoniła, przecież pożyczył samochód tylko na parę godzin. Doskonale wie, jak tata lubi jeździć autobusem. – W słowach Patrycji brzmiała charakterystyczna dla niej złośliwość.

Nadal nie przerywała swojego zajęcia.

– Co robisz? – zainteresowała się matka i podeszła bliżej.

– Rysuję.

Matka podniosła jedną z kartek, pokrytych kolorami sfatygowanych kredek, wyciągniętych z zapomnianego kąta.

– Ładnie – stwierdziła z wyraźnym podziwem. – Wcale nie widać, że przekalkowane.

– Nie jest przekalkowane – zaprzeczyła Patrycja, pochylona nad rysunkiem.

– Nie?

Kobieta uniosła brwi i wzięła inną kartkę. Zajrzała córce przez ramię, ze zdziwieniem obserwując zieloną kredkę wypełniającą półcieniem czarny kontur.

– Ty rzeczywiście rysujesz...

– Dziwne, prawda? – Patrycja rzuciła kredkę i wreszcie się wyprostowała. Poruszała palcami, gimnastykując je.

Dorota Szyszko zaśmiała się. Wzruszyła ramionami i przekrzywiła zabawnie głowę.

– Przecież nigdy nie umiałaś rysować. To znaczy... TAK rysować. Te obrazki są naprawdę piękne. Można? – Podniosła skończoną właśnie pracę. – Tak cudownego lasu nie widziałam nigdy w życiu. Pat, nabierasz mnie! – stwierdziła nagle z uśmiechem zrozumienia. – Przyznaję, że w pierwszej chwili ci się udało...

– Nikogo nie nabieram. Popatrz! – Patrycja odebrała od matki rysunek, wzięła czarną kredkę i kilkoma szybkimi kreskami dorysowała coś na linii dalekiego horyzontu.

– Wilk?

– Wilk. Mogę narysować co zechcesz. Wszystko jak żywe.

– Dlaczego wilk?

– Nie wiem. – Dziewczynka wykrzywiła usta w grymasie znudzenia. – Tak mi jakoś przyszło do głowy.

– Moje dziecko ma talent plastyczny. Hm! – Dorota Szyszko pokręciła głową. Nieoczekiwanie parsknęła śmiechem. – Kto by pomyślał?

– Nie talent – zaprzeczyła Patrycja. – Dar.

– Dar? – Z rozbawionej twarzy matki powoli schodził uśmiech. Nagle opuściła ją wesołość, zaniekpokoił ton głosu córki. – Jaki dar, dziecko?

– Nie wiem dokładnie – powiedziała Patrycja. – Dziś w nocy miałam zły sen. Nie mogę go sobie dokładnie przypomnieć, ale był bardzo nieprzyjemny. Kiedy się obudziłam, myślałam, że umrę ze strachu. I nie wiedziałam dlaczego. Nagle zorientowałam się, że siedzę przy biurku i trzymam w ręku długopis.

Było ciemno, więc nie od razu zauważyłam, że leży przede mną otwarty zeszyt. Kiedy zapaliłam światło, okazało się, że na kartce jest to!

Patrycja sięgnęła do szuflady i wyjęła zeszyt. Otworzyła na odpowiedniej stronie.

– Kto to? – zapytała matka.

– Facet, który przyszedł do Arka w sobotę, jak byliście na imieninach. Wiesz, ten podejrzany sanitariusz.

– On ci się przyśnił?

– Właśnie nie wiem, mówiłam, że nic nie pamiętam. Ale tak przypuszczam... Mamo, czy to on sprawił, że umiem rysować?

– Oj, nie pleć bzdur, dziecko. Przyśnił ci się i tyle. Wstałaś zasnana, to i nie pamiętasz, co

robiłaś. Nie dorabiaj sobie jakichś legend rodem z horroru.

– Byłam tak zaspana, że rysowałam po ciemku?

Wzruszyła ramionami.

– Wczoraj nie umiałam rysować, dziś umiem. Czy to normalne?

– Uspokój się Pat. – Dorota Szyszko łagodnie położyła dłoń na głowie córki. – Po pierwsze, nigdy nie zwracaliśmy większej uwagi na twoje dziecięce malowanki, pewnie już wtedy coś w nich było. Po obiedzie przeszukam szafkę, może gdzieś znajdę któreś z przedszkola, coś tam odkładałam, jeśli mi się spodobało. Popatrzymy sobie. Jestem pewna, że będziemy mile zaskoczone.

Patrycja zacisnęła wargi. Kręciła głową. Nie. Nie. Nie.

– A po drugie – kontynuowała matka – musisz wiedzieć, że na świecie nie raz zdarzały się przypadki nagłego rozbłysku talentu. Przypominam sobie taki artykuł o chłopcu z jakiejś wioski w Gruzji. Pewnego dnia spadł z drabiny, uderzył się w głowę, a potem się okazało, że jest doskonałym matematykiem. Dodawał w pamięci całe łańcuchy liczb.

– Nie uderzyłam się, mamu – powiedziała Patrycja, spoglądając na matkę jak na idiotkę. – Poza tym popatrz! – Ponownie narysowała coś na kartce.

– I?

– Nie widzisz?

– Drzewo.

– Nie o to chodzi! Nie widzisz, którą ręką rysuję?

Dorota Szyszko stała nad swoją córką, nie mówiąc nic więcej.

Widziała. Przez cały czas widziała, ale dopiero teraz zwróciła na to uwagę.

– Przecież nie jestem mańkutem – zauważyła dziewczynka. – Nigdy nie byłam. Prawda, mamu?

– No... nie. – Kobieta pokręciła głową.

– Próbowałam rysować prawą ręką – dodała Patrycja. – Nie wychodzi. Nic a nic.

PONIEDZIAŁEK. Ul. Francesco Nullo, Baszta Czarownic.

Požoga siedział rozparty na krześle, z nogami na stoliku, na którym leżał stos olejnych obrazów autorstwa Zygmunta Jasnocha. Pozdejmował je wcześniej ze ścian, a teraz przyglądał im się kolejno, na ogół wyrażając niezadowolenie. Dezaprobata była nie tylko słowna: po wnikliwym komentarzu kolejne dzieło było roztrzaskiwane o podłogę i rzucało za siebie, gdzie pod ścianą leżała spora już sterta połamanych ram i podartego płótna. Nieco dłużej koneser zatrzymywał się na portretach bądź wizerunkach postaci o wyraźnych twarzach; tym – przed dewastacją – domalowywał wąsy i brody, a kobietom (dodatkowo) włosy pod pachami i między udami.

Było cicho i spokojnie. Nudno.

Przez wąskie okienko baszty zaglądało słońce, które weszło już dobre trzy godziny temu. Arek siedział w kącie, osowiały, Poldek drzemał, wystawiając na słoneczne promienie pokrytą kilkudniowym zarostem twarz. Baron szperał po kątach, wiedziony ciekawością. Od dziecka uwielbiał penetrować różne zakamarki, im bardziej niedostępne, tym lepiej.

– Jakaś torebka – oznajmił, wychodząc zza przepierzenia. – Damska.

Poldek otworzył oczy, zaciekawiony.

Požoga przerwał swe absorbujące zajęcie. Obraz – który właśnie analizował – odstawił z przesadną ostrożnością, jakby chciał zaznaczyć, iż wcale nie przesądza, że dzieło, po dogłębnej analizie, nie okaże się dziełem sztuki.

– A widziałeś kiedyś torebkę męską? – zripostował. – Pokaż!

Zajrzał do środka. Po chwili wyciągnął dokument z napisem: DOWÓD OSOBISTY.

– Co to jest dowód osobisty?

– To taki dowód, że jest się tym, kim się jest, a nie czasem kimś innym – pośpieszył z odpowiedzią Poldek.

– Aha. – Pożoga pokiwał głową i przekartkował dokument. – Ładny. Szkoda, że nigdy nie dane mi było mieć dowodu...

– Być może dlatego, że jesteś kimś innym – odezwał się Arek.

Spojrzenie miał poważne. Wcale nie żartował. Od jakiegoś czasu wychwytywał każde słowo Bogdy i przekonał się, że nie tylko wszyscy traktują ją jak mężczyznę, lecz, co gorsza, ona sama wypowiada się w formie bezosobowej, jak gdyby celowo starała się unikać konkretyzacji płci.

– Być może – skwitowała obojętnie Bogda. – Baron, dlaczego zabrałeś z torebki pieniądze? – zapytała z tą samą obojętnością, patrząc badawczo na stojącego przed nią mężczyznę.

Baron zeszywniał.

– Pieniądze? – powtórzył, jego zdaniem inteligentnie grając na czas.

– Nie uważasz, że uczciwiej byłoby podzielić się z kumplami, nawet tak skromnym łupem?

– Obejdzie się – powiedział Arek.

– Wcale nie – zaprotestował Poldek.

Baron wyciągnął z tylnej kieszeni cienki plik banknotów, o dość niskich nominałach.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał Pożogę.

Ten uśmiechnął się od ucha do ucha:

– Nie wiedziałem. Zgadywałem. To ty myślałeś, że wiem. Gdybyś powiedział, że nie wzięłeś, pewnie bym uwierzył. Na tym opiera się działanie moich świata. Wy myślicie, że oni wiedzą, podczas gdy oni wiedzą gównem i blefują przez całe życie.

Baron zaklął pod nosem.

– Izabela Radtke – przeczytał Pożoga, powróciwszy do przeglądania dowodu osobistego. – Stan cywilny: panna. Znaki szczególne: brak. – Przekartkował strony. – Miejsce zamieszkania: Słupsk, ulica Psie Pole 7. Cenna wiadomość.

– Co nam po tym?

– Cały czas zakładamy, że po jatce, jaką tu urządziła, nie odważy się zawiadomić policji – wyjaśnił cierpliwie Pożoga. – Wolałbym uniknąć, i wy chyba również, wizyty lokalnych organów bezpieczeństwa. Przynajmniej do końca naszego, hm... kontraktu. Na miejscu panny Izabeli każdy zwyczajny człowiek spakowałby manatki i uciekł gdzie pieprz rośnie, ale...

– Ale co? – spytał Poldek.

– Nie wygląda mi na to, żeby była zwyczajnym człowiekiem.

– Nie? – Poldek wytrzeszczył oczy.

– No... chyba że w Słupsku to normalne, że baby urywają facetom głowy.

– Raczej nie. – Poldek zacisnął usta i z niejakim trudem przełknął ślinę.

– Dlatego – podjął Pożoga – założenie, że Izabela będzie myśleć racjonalnie, może się okazać poważnym błędem. Rozsądniej będzie zamknąć jej usta.

– W jaki sposób? – spytał wyzywającym tonem Baron. Był pełen najgorszych przeczuć.

– Znam tylko jeden pewny sposób zamykania ust – oświadczył Pożoga. – Jeśli ty, Baron, znasz jakiś inny, poinformuj mnie o tym, proszę, niezwłocznie.

Baron milczał.

Nieoczekiwanie ktoś załomotał do drzwi. Wszyscy zastygli, spoglądając po sobie. Łomot powtórzył się.

– Czy ktoś zamknął drzwi na klucz? – spytał szeptem Pożoga.

– Ja zamknąłem – odszepnął Baron. – Ale zamek jest wyłamany, wystarczy, że ktoś szarpnie mocniej za klamkę...

Ktoś szarpnął mocno za klamkę. Kilka świeców upadło na podłogę i drzwi uchyliły się.

– Jesteście tu jeszcze? – zapytał basem wielki mężczyzna, ledwie mieszczący się w wykuszu.

– Marchewa! – zapiął Poldek. – Aleś nas wystraszył!

– Mów o sobie – powiedział Pożoga, zdejmując nogi ze stolika. Wstając z krzesła, nadepnął na obraz. Pokryte grubą warstwą olejnej farby płótno pękło z trzaskiem, obracając w niwecz owoc pracy malarza Zygmunta Jasnocha (trzydniowe warsztaty artystyczne).

Jędrzej Piekarski, zwany Marchewą, wszedł do środka.

– Masz broń? – zapytał Pożoga.

– Mam – padła odpowiedź, w której słyhać było odcień dumy. – I coś jeszcze...

Za plecami Piekarskiego pojawił się człowiek w oliwkowym, długim do kolan prochowcu, dźwigający wielki futerał na wiolonczelę.

– Mam kogoś, kto umie się nią posługiwać.

– Dzień dobry – powiedział grzecznie nowo przybyły, ostrożnie opierając futerał o ścianę.

Požoga przesunął się pośpiesznie, chowając się za grubą, popękaną ze starości belką, stanowiącą element konstrukcji podtrzymującej strop. W tej samej chwili przybysz szarpnął za poję prochowca. Oderwany guzik śmignął w powietrzu i spod płaszcza wychyliła się czarna lufa obrzyna, będącego w latach swej świetności myśliwską śrutówką na dzika.

– Załatw go, Marian! – krzyknął Marchewa. – Załatw sukinsyna!

Ciszę zakłócała tylko mucha tłukąca się o zakurzoną szybę.

Wysoko w górze zagrzmiał odrzutowy samolot. Jakieś dziecko darło się na pobliskim podwórku.

– A kuku! – zawołał Pożoga. Wystawił głowę zza belki, po czym schował ją ponownie.

– Marian! Na co czekasz?! – wrzeszczał Marchewa.

Poldek i Baron równocześnie padli na podłogę. Arek skulił się w swym kącie.

– Na co czekasz?!

– Świat jest mały, co, Marian? – powiedział Pożoga, znów wystawiając głowę. – Kopę lat, chłopie!

Obrzyn w ręku mężczyzny zady...

Marian Krzywiec usadowił się wygodnie kilka metrów od metalowej drabinki, po której wspiął się na kryty papą dach pawilonu. Otworzył podłużną ortalionową torbę i wyjął sztucer. Nie była to może najlepsza broń, jaką mógł zdobyć, ale posiadała cenną zaletę: lunetkę z celownikiem, dzięki której jest zdecydowanie łatwiej precyzyjnie trafić do celu. Było to o tyle ważne, że zamierzał użyć tylko jednego pocisku. Na więcej może zabraknąć czasu, jeśli chce pozostać niezauważony.

Osoba, która za kilka minut miała wyjść z klatki schodowej bloku położonego dokładnie naprzeciwko pawilonu (w odległości siedemdziesięciu trzech metrów, dwudziestu centymetrów), nazywała się Marlena Krzywiec. Była jego córką. Oczywiście nie o nią tu chodziło, przynajmniej

nie bezpośrednio, jeśli chodzi o relację: sztucer, pocisk, cel, ale o osobnika, który – jak sądził Marian – pojawi się w drzwiach razem z nią.

Marlena miała trzynaście lat – już lub dopiero, to zależy od punktu widzenia – a osobnik, o którym mowa, był pierwszym, z którym związała się na tak długo.

Podejrzanie długo.

Już od dłuższego czasu problem ten drażył Mariana Krzywca, niczym kornik drzewo, aż wreszcie dotarł do tych obszarów kory mózgowej, które umożliwiają podjęcie jedynej, słusznej z ojcowskiego punktu widzenia, decyzji. Stąd snajperski debiut Krzywca na dachu spożywczego pawilonu.

Możesz wyrywać mi paznokcie, łamać palce, przybić gwoździami do drzwi, ale jeśli tkniesz moją dziewczynkę, nie pozostanie z ciebie nawet mokra plama, jak powiedział Charles Bronson w filmie „Życzenie śmierci”.

Marian Krzywiec przyłożył oko do lunety i powoli przesunął sztucer, aż w polu widzenia pojawiły się drzwi klatki schodowej.

Poprawił ostrość okularu. Czekał... Był dobrze ukryty, za wielkim szyldem reklamowym. Nawet gdyby ktoś – z dołu czy z któregoś okna – akurat wpatrywał się w to miejsce, pewnie i tak niczego by nie spostrzegł.

Wreszcie otworzyły się drzwi. Marlena zatrzymała się na chwilę, mrużąc oczy przed jaskrawym, porannym słońcem. A ON?

Trzymała GO za rękę. Spojrzała na NIEGO, tym rozanielonym wzrokiem, którego Marian Krzywiec tak nie cierpiał, i coś powiedziała.

Teraz!

Lekko podgiął oparty na spuście sztucera wskazujący palec.

Huknęło, lecz wcale nie tak głośno, jak można się było spodziewać. W pierwszej chwili pomyślał, że chybił, ale to tylko był ten moment, gdy w chwilach stresu ludzki wewnętrzny zegar przejmuje kontrolę nad rzeczywistością, spowalniając czas. Zobaczył, jak ulubieniec jego córki fika w powietrzu kozła i ląduje na betonie.

Z roztrzaskanej głowy posypały się trociny.

Marcin Krzywiec żywił nadzieję, że nie uda się naprawić tego sukinsyna. Zaszyć, połatać czy czegoś w tym rodzaju, w czym niektóre kobiety szczególnie celują, naprawiając pluszowe zabawki.

Wrzucił sztucer do torby i dopadł drabinki. Rozejrzał się nerwowo, na szczęście nikogo nie było. Nikt go nie widział. Szybkim krokiem oddalił się od sklepu. Przez cały czas panował nad nerwami, ale dopiero w parku, gdy usiadł na ławce i zapalił papierosa, przestały mu drżeć ręce. Zauważył, że nie dopiął torby, sztucer wrzucił byle jak, nie złożył lunety. To źle!

Broń należy szanować. Nigdy nie wiadomo, kiedy znowu będzie potrzebna.

– Dzień dobry – powiedział niewysoki mężczyzna o wzbudzającej sympatię twarzy. – Przypadkowo byłem świadkiem pańskiej brawurowej akcji. Chciałbym się zaprzyjaźnić. Być pańskim przyjacielem i mecenasem. Czy możemy o tym porozmawiać?

Obrzyn w ręku mężczyzny zadygotał.

– Ty żyjesz? – w głosie Mariana Krzywca brzmiało niebotyczne zdumienie. – Jak tylko Jędrak opowiedział mi, co się dzieje, jakoś od razu stanąłeś mi przed oczami. Nie wierzyłem, a jednak...

– Jeśli zamierzasz zabić mnie raz jeszcze, to powinieneś się skoncentrować, nie gadać – zauważył Pożoga. – Przypominam, że twoja przycięta giwera ma tę poważną wadę, że gdy wystrzelisz dwa razy, musisz załadować powtórnie. Ile kul wpakowałeś we mnie tamtym razem, Marian? Sto?

– Trudno zliczyć – stwierdził Krzywiec bezbarwnym głosem. – Miałem kałasznikowa.

– Nie poszło łatwo, nieprawdaż?

Stojący obok Marchewa wreszcie złapał oddech.

– Co się dzieje, Marian? – wychrypiął ze ściśniętym gardłem. – Przecież się umówiliś...

– Zamknij się! – Czarny otwór lufy obrzyna łypnął w stronę kolegi. Marchewa poczerwieniał, ale nic nie powiedział.

Obrzyn powrócił na linię negocjacji.

– Jednak w końcu cię załatwiłem – rzekł Marian.

– W takim razie, co tutaj robisz? – Nieoczekiwanie Pożoga wysunął się zza belki, wchodząc na linię strzału. Patrzył rozmówcy prosto w oczy, uśmiechając się nonszalancko.

– Byłeś martwy... – Mężczyzna cofnął się o krok.

– Chyba masz rację. Ale teraz nie jestem, a ty możesz strzelić i spróbować to zmienić. Albo padnę trupem na miejscu, albo nie.

Jednak nawet jeśli ci się uda, obiecuję, że następnym razem nie będę tak łagodnie z tobą rozmawiał. W ogóle nie będziemy rozmawiali. To będzie monolog nad padliną. Mój monolog, Marian. Takie epitafium.

Krzywiec milczał. Przygryzał dolną wargę i ścisnął strzelbę, aż pobieleły mu knykcie palców.

– Nie strzelisz, Marian – rzekł Pożoga. – A wiesz, dlaczego?

– No? – Wymownie podniesiona broń. Jeszcze jeden mały krok w tył.

– Bo nie czuję urazy – oznajmił Pożoga. – Wręcz przeciwnie, do dziś podziwiam twoją odwagę.

– Akurat!

– Serio. Ale to, powiedzmy, jest mniej istotne. Najważniejsze, że wpakowałeś moje zwłoki do studni, jak prosiłem, a za to, mój drogi, będę ci wdzięczny po grób, tfu, tfu, tfu! Takich przysług się nie zapomina. Byłbym ostatnim dzikiem, gdybym zapomniał o czymś takim.

– Obawiam się...

– Milcz! – Pożoga uniósł palec wskazujący. – Milcz, póki nie powiesz czegoś, czego będziesz później żałował. I nie cofaj się tak bardzo. Wiesz, że celność obrzynów pozostawia wiele do życzenia.

– Wrzuciłem zwłoki do studni, żeby zatrzeć ślady – wyznał Marian Krzywiec. – Obaj dobrze o tym wiemy.

– Nie intencje świadczą o człowieku, lecz jego czyny – skwitował sentencjonalnie Pożoga. – Tak przynajmniej na to patrzę, cokolwiek byś powiedział.

Zapadła cisza, pełna napięcia i niezdecydowania. Baron i Poldek wciąż tkwili z twarzami w podłogowych deskach, tylko Arek uniósł głowę i obserwował strony konfliktu. Już nie czuł strachu. Zamiast niego wypełnił go śmiech; pusty, z rodzaju tych nie do opanowania, który człowiek dusi w sobie, wiedząc, że wybuchnie, prędzej czy później, jeśli chce pozostać normalny. Żeby się opanować, starał się patrzeć na Bogdę, odważnie przeżącą wydatny biust, swobodną, kokieteryjną, jakby nie było żadnego zagrożenia. Paradoksalnie wesołość wzbudzała w nim mężczyzna w prochowcu, posiadacz strzelby z przyciętą lufą. Arek Szyszko bardzo chciał, żeby nieznajomy nacisnął spust; oczami wyobraźni widział krew na i tak już czerwonej koszulce. Wreszcie wszystko się skończy! Co ma być, to będzie, ważny jest koniec kosmaru.

Ale przeczuwał, wiedział, że tak się nie stanie. To byłoby zbyt proste, trywialne – do osiągnięcia tylko statystycznie, jak dla pojedynczego gracza główna wygrana w totolotka.

Ta kobieta (mężczyzna?!) jest demonem. To oczywiste.

Oczywiste.

Jak wcześniej mógł na to nie wpaść?!

Nie można zabić demona.

„Wpakowałeś moje zwłoki do studni”.

– To jak będzie? – zapytała Bogda. – Między nami zgoda?

– Bo ja wiem... – sapnął niezdecydowanie Krzywiec.

– Marian...! – zaprotestował ostro Marchewa.

– A ty stul wreszcie pysk! – wrzasnął nieoczekiwanie Marian Krzywiec.

Marchewa aż zatrzęsł się z wściekłości. Od swego krzykliwego przyjaciela był wyższy o głowę, cięższy przynajmniej o dwadzieścia kilo, ale powstrzymywało go ciężkie, dwukrotnie ładowane grubym śrutem narzędzie, niebezpiecznie chwiejące się w coraz bardziej niepewnych rękach. Jędrzej Piekarski znał Mariana od lat, dobrze wiedział, na co go stać.

– Racja – odezwał się Pożoga. – Nie wtrącaj się, Piekarski. I tak masz przechlapane, chyba

że potrafisz w ogóle nie spać, w co wątpię. Gdy tylko wskoczysz w objęcia Morfeusza, obiecuję ci wspaniały grawitacyjny kolaps pewnych obłych obiektów, które nosisz między nogami. Sam jestem ciekaw, jak cienkim głosikiem będziesz piał po przebudzeniu, eunuchu. Chyba mogę już tak do ciebie mówić: eunuchu, prawda?

Marchewa przełknął głośno ślinę. Na zastygłej twarzy rzęsy trzepotały, jakby oczy raziło stroboskopowe światło.

– Opuść wreszcie broń, Marian – powiedział Pożoga. – Nie będziemy chyba tak stali w nieskończoność? Przypomnij sobie dawne czasy. Nie było tak źle, jak sądzę.

– Szczerze mówiąc, było całkiem fajnie – wyznał Marian.

– Trup ścielił się gęsto, mimo to czasem wspominasz te chwile z tęsknotą, stary weteranie.

Marian Krzywiec tylko pokiwał głową.

– Rozumiem, że w tym pudle – Pożoga wskazał na oparty o ścianę czarny wiolonczelowy futerał – masz odpowiednie akcesoria?

Ponowne skinięcie.

– Chyba nie targales ich na darmo?

Marian uśmiechnął się. W okiennym wykuszu mucha wciąż tłukła się o szybę. Do wrzasku dzieciaka, płaczącego wniebogłosy na pobliskim podwórku, przyłączył się krzyk bezskutecznie usiłującej go uciszyć matki.

– No dobra – zdecydował Marian. – Ale musisz obiecać, że nie będziesz się mścił na Marchewie.

– Zwariowałeś?! – Pożoga spoważniał w jednej chwili.

– Inaczej nic z tego. To mój kumpel.

– Kumpel, kumpel... – Pożoga zawahał się. Uniósł brew i spojrzał na Mariana ukosem. – To może chociaż pół na pół, fifty–fifty, jak mawiają Francuzi. Jedno jądro? Nie? W porządku, jesteś twardy, trudno żebym miał o to pretensję. Pojutrze mija termin kontraktu, który zawarłem z obecnymi tu gentlemanami. Jeśli w tym czasie Piekarski nie zaśnie, obiecuję zostawić go w spokoju. Ale tylko wtedy, kiedy nie zaśnie! Zgoda?

– Marchewa, wytrzymasz bez kimania te dwa dni?

– Nie wierzę mu.

– Jesteśmy mu potrzebni. Obaj.

– Do czego?

Oczy Pożogi i Mariana Krzywca spotkały się ponownie. Potakujący gest Pożogi był ledwie zauważalny.

– Chce utrzymać twierdzę.

– Jaką znowu...?

– Tę basztę, przecież to oczywiste.

– Jakoś nie zauważyłem, żeby ktokolwiek próbował ją zdobyć.

– Na razie wystarcza sama obecność naszej skromnej drużyny – powiedział Pożoga. – Ale to może się zmienić. – Wymownie spojrzął na wiolonczelowy futerał.

– To jak? – ponaglił Krzywiec. – Rozejm?

Marchewa westchnął ciężko.

– Znam gościa z dawnych czasów, w gruncie rzeczy jest w porządku.

– Może być – odparł basem zrezygnowany Jędrzej Piekarski. Demonstracyjnie założył ręce na piersiach.

Krzywiec opuścił broń.

– Ma ktoś fajki? – zapytał.

Poldek poderwał się z podłogi i usłużnie podał wymiętą paczkę.

– Oto dyplomatyczne rozwiązanie. – Pożoga się uśmiechnął. – Ministrowie powinni przyjść do nas na kurs. Zanim jednak ustalimy plan działania, pozwolicie państwo, że wyładuję skołatane nerwy. – Wziął ze stolika jeden z obrazów i uderzył o podłogę, aż poleciały drzazgi. – Od razu lepiej! – oznajmił. – Polecam. – Zapraszająco wskazał na nietkniętą jeszcze stertę.

Nikt się nie pofatygował. Pożoga wzruszył ramionami. Usiadł na krześle i spojrzął na Marchewę.

– Ależ z ciebie partacz, Piekarski. Tylu porządnych ludzi w Słupsku, a ty akurat przyprowadzasz mi znajomka. Znasz takie powiedzenie: wielki jak brzoza, głupi jak koza?

Piekarski zachnął się. Przeszył Pożogę wściekłym spojrzeniem.

– Moja obietnica nie dotyczy obrony własnej – zastrzegł się Pożoga.

– Daj spokój, Jędrzek – powiedział Marian Krzywiec i wypluł drobinę tytoniu, która skruszyła się z papierosa bez filtra. – Nie psuj nastroju.

Nieoczekiwanie z kąta dobiegł ostry wybuch śmiechu. To Arek Szyszko nie wytrzymał. Śmiał się jak najęty, choć sam nie wiedział z czego.

– A ty co? – zapytał gburowato Marchewa.

– Przecież powiedziałem, że warto się wyładować – wtrącił się Pożoga. – Każdy ma swój sposób.

Patrzyli na Arka, póki nie umilkł na chwilę i nie powiedział, zaskakująco trzeźwo:

– Proponuję zostawić na drzwiach kartkę, że dziś nieczynne.

Przynajmniej turyści dadzą nam spokój. – Przez jego twarz wciąż jeszcze przemykał grymas uśmiechu.

– Oto inteligentna uwaga – zauważył Pożoga, patrząc z wyrzutem na Marchewę. – Nic dziwnego, że dobry pracodawca stawia na młodzież, nie na starych repów.

CZEŚĆ TRZECIA
NA PSIM POLU

PONIEDZIAŁEK. Ul. Psie Pole.

Stał przy witrynie warzywnego sklepu na rogu ulic Henryka Pobożnego i Psie Pole. Tabliczka na budynku informowała, że jest to numer 12. Jędrzej Piekarski, choć słupszczanin od kilkunastu lat, miał poważne problemy z dotarciem w to miejsce, ponieważ dopiero szósta napotkana osoba wskazała mu prawidłowy kierunek.

Na szczęście, mimo nieznamości terenu, zadanie nie wydawało się trudne. Po prawej stronie widniał ceglany tył jakiegoś pozbawionego okien magazynu, po prawej stało tylko kilka budynków (najpierw myślał, że dwa, ale pierwszy z drugim były zrosnięte szczytową ścianą).

Trzy minuty później zaskoczony Piekarski przekonał się, jak bardzo się mylił, uznając poszukiwania adresu zamieszkania Izabeli Radtke za zakończone. Cały szkopał w tym, że na tej ulicy w ogóle nie było numeru siódmego. Widząc pierwszy budynek i numer 12 na tablicy, powinien od razu się zorientować, że coś jest nie tak, ale – mówiąc delikatnie – nie zorientował się. Po dokładniejszej penetracji okazało się, że w głębi podwórza stoją jeszcze dwa inne domy (razem pięć), cofnięte od ulicy o kilkanaście metrów, ale nic poza tym. Licząc od warzywniaka, były to numery malejące: 12, 11, 10, 9, 8. Nic poza tym. Koniec. Kocie łby zakręcały ostrym łukiem, ślepo wchodząc w chodnik przy ulicy Garncarskiej, gdzie były tłumy ludzi, w odróżnieniu od bezludnego Psiego Pola.

W pewnym momencie spod numeru dziesiątego wyskoczył kilkuletni chłopiec, który albo był Murzynem, albo nie mył się od zeszłego roku, trudno było rzetelnie wyrokować z takiej odległości. Malec chwycił leżącą w błocie hulajnogę i uciekł, nim Piekarski zdołał połapać się, że wreszcie jest gdzie zasięgnąć języka.

Zdezorientowany, usiadł na wysokim krawężniku. Musiał pomyśleć. Nie mógł przecież wracać z niczym. Nie mógł powie...

– Znajdziesz ten adres i odwiedzisz panią Izabelę Radtke – polecił Pożoga, patrząc na Marchewę spod przymrużonych powiek. – To akurat zadanie dla ciebie. Nie było cię tutaj z nami, więc na pewno nie zostaniesz przez nią rozpoznany. Jeśli jej nie zastaniesz, włam się i sprawdź, czy są jakieś ślady pośpiesznego pakowania, no wiesz, porzrzucone ciuchy, jakieś torby. Jeżeli wyjechała, krzyżyk na drogę, tym lepiej. Ale jeśli będzie w domu...

Požoga niespodziewanie zamilkł. Wciąż wpatrywał się w Marchewę, a wszyscy, nie wyłączając nowego kompana, Mariana Krzywca, wpatrywali się w niego. Zastygli w pół ruchu, jak postacie na obrazach Zygmunta Jasnocha.

– Nie idę na mokrą robotę – odpowiedział jednoznacznie Marchewa. Jego ton świadczył, że z pewnością nie zmieni zdania.

– Czy powiedziałem coś o mokrej robocie? – zapytał Pożoga, rozglądając się demonstracyjnie. – Czy ktoś słyszał, że o tym powiedziałem?

– Nie – odezwał się Poldek. – Niczego takiego nie słyszałem.

– A ja owszem – zbuntował się Baron. – Jakiś czas temu padła taka sugestia.

– Ale wtedy, kochany Baronie, nie było tutaj Piekarskiego. On nie mógł tego słyszeć.

– No... nie było... – Baron przygarbił się.

– A zatem – podjął Pożoga, na powrót przygważdżając Marchewę wzrokiem – jeśli Radtke będzie w domu, nastraszysz ją porządnie, a potem staniesz pod jej oknem, tak żeby cię z niego widziała, i będziesz tam stał do wieczora.

– Nastraszyć mogę – zgodził się Marchewa. – Czemu nie.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia – skwitował Pożoga. – Gdy się ściemni, wrócisz po mnie i zaprowadzisz do panienki.

– I co dalej? – zapytał Poldek, gdy zapadła cisza.

Požoga chrząknął, dyskretnie przysłaniając dłonią usta.

– Mokłą robotę lubię załatwiać osobiście.

Nie mógł powiedzieć Pożodze: „Nie znalazłem tego adresu”.

No bo jak? Słupsk to przecież nie Nowy Jork.

„Chyba że coś pomyliłem” – oświeciło nagle Piekarskiego. – „To wcale nie był numer siódmy!”.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej nabierał pewności, że po prostu coś poplątał. Psie Pole – tej nazwy zapomnieć nie sposób, wpada w ucho jak „siedem dziewcząt z Albatrosa”. Ale numer?

Liczb jest ponoć nieskończenie wiele, rozważał z filozoficznym zacięciem, łatwo się pogubić... Pokrzepiony konkluzją od razu poczuł się lepiej. Nienawidził niezrozumiałych sytuacji, przygnębiały go, niemal wywoływały fizyczny ból. Jak na przykład więzienny sen o wdzierającym się w krocze wilkołaku, koszmar, który nagle nabrał realnych barw...

Tak się zamyślił, że nie zauważył podążającego zaśmieconym chodnikiem listonosza, czy może raczej widział go, ale świadomość pozostawała na ten obraz obojętna. Dopiero gdy człowiek w niebiesko–granatowym uniformie, z wypchną torbą przewieszoną przez ramię, przeszedł tuż obok, Marchewa uzmysłowił sobie, jaki to szczęśliwy przypadek. Któż mógł trafniej wskazać adres niż pracujący w rejonie listonosz?!

Poderwał się z kamienia.

– Proszę pa...

Jędrzej Piekarski wytrzeszczał zdumione oczy. Listonosz zniknął. „Rozpłynął się

w powietrzu”, bębniło w czaszce mężczyzny, „rozpłynął się, rozpłynął”. Powoli stawiając stopy, ociężałe, niczym przemysłowy robot do składania ciężkich elementów, Marchewa doszedł do miejsca, w którym przed kilkunastoma sekundami widział funkcjonariusza poczty; podejrzliwie wpatrywał się w bruk, ze złudną nadzieją, że ujrzy jakąś otwartą kanalizacyjną studzienkę, wykop, wyrwę w ziemi. Ludzie przecież nie rozplývają się, ot tak sobie.

Ale i kobiety nie odrywają gwałcicielom głów. Wilkołaki nie wygryzają mężczyznom genitaliów. Czarnoludki...

Piekarski zaklął. Klął raz po raz, nim zdał sobie sprawę, że rzuca kalumnie na głos, wrzeszcząc jak jakiś czub. Uspokoił się i trzeźwo rozejrzał po okolicy. Pusto. Pobiegł ulicą naprzód, aż do zakrętu przy Garncarskiej, potem zawrócił, dobiegł do Pobożnego, przecież to parę kroków, pięć domów na krzyż. Pusto.

Gdzie się podział pieprzony listonosz?!

– O jasna cholera!

Listonosz szedł chodnikiem, zapinając torbę na listy. Uniósł wzrok dopiero tuż przed Marchewą i najwyraźniej się przestraszył.

Nie miał dziś żadnych pióńżnych przekazów, ale bandyta przecież nie mógł o tym wiedzieć.

– Czym mogę służyć? – zapytał. Na szkoleniach uczono, że zwyczajny chuligan, zagadnięty pierwszy, może się spieszyć i odstąpić od zamiaru grabieży. Tyle że osiłek, który właśnie stanął mu na drodze, nie wyglądał na zwykłego chuligana. Raczej na zatwardziałego bandytę: wielkie cielsko, gruby wytatuowany kark, włosy na zapałkę, atramentowe krople pod oczami.

– Bardzo przepraszam – zagadnął grzecznie osiłek (zadziałało, jak Boga kocham, zadziałało, psycholog prowadzący szkolenie był chyba geniuszem!). – Czy może nie wie pan, gdzie tu mieszka pani Izabela Radtke?

– Radtke? – Listonosz zmarszczył brwi, zastanawiając się sekundę. – Pod siódmym – rzekł. Pośpiesznie usiłował wyminąć nieznajomego, ale ten przesunął się, zastępując mu drogę.

– Nie mogę znaleźć – wyznał nieznajomy, ze szczerą bezradnością w oczach.

– To tam. – Ręka roznosiciela listów wskazała pustkę. – Zabawne – stwierdził. – W zeszłym roku byłem chory i mój zastępca też nie mógł znaleźć tego domu. A przecież stoi jak wół.

– Mógłby mnie pan tam zaprowadzić?

Mimo że bezradność w spojrzeniu zawalidrogi nabrała iście panicznego wyrazu, pracownik Poczty Polskiej poczuł, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Wyglądało na to, że oprych chce go zwabić w odludne miejsce. Listonosz rozejrzał się, w pobliżu nie było nikogo, ale może ktoś obserwuje ich przez okno...

– Jestem trochę zajęty...

– Czy mógłby pan? Bardzo proszę.

– Dobrze. – Zrezygnowany doręczyciel odwrócił się i ruszył z miejsca. – Ale tylko kawałek. Mam mnóstwo listów.

– To tu, widzi pan? – zapytał po kilkunastu metrach marszu i dziewięciu sekundach milczenia.

Zdumiony Marchewa z otwartymi ustami wpatrywał się w niebieską tabliczkę z cyfrą „7”.

– Dziękuję – wydukał.

– Proszę bardzo. – Listonosz odetchnął z ulgą i oddalił się, wciąż trochę nie dowierzając swojemu szczęściu. – Radtke to mieszkanie numer cztery! – krzyknął jeszcze z daleka.

– Tak, wiem – odparł Jędrzej Piekarski. Wchodząc do budynku, omal nie poślizgnął się na czymś miękkim. Obierka od ziemniaka.

Na parterze były dwa mieszkania, minął je i wszedł na piętro. Na drzwiach po lewej wisiała grawerowana tabliczka z napisem: S. Wodnik. Po stronie prawej na drzwiach nie było tabliczki, ale namalowana czarną farbą cyfra „4” dała się odczytać bez problemów. To było mieszkanie, którego szukał. Nacisnął dzwonek. Działał, choć przycisk był tak popękany i pokryty łuszczącą się farbą, jakby liczył ze sto lat.

Marchewa odczekał i zadzwonił raz jeszcze, tym razem przytrzymując przycisk znacznie dłużej, niż nakazywały zasady dobrego wychowania. Nasłuchiwał, wpatrując się w oko judasza, lecz ze środka nie dobiegł najmniejszy dźwięk, jak również w judaszu nie pojawił się cień. Dla pewności zadzwonił jeszcze dwa razy, wciąż jak do pożaru. Po chwili oczekiwania, podczas której wciąż nic się nie działo, wyjął z kieszeni narzędzia. Majstrował przy zamku około minuty, nie śpiesząc się, aż wreszcie pokonał mechanizm. Pestka. Nie takie barykady zdobywał. Wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Przewidując przekręcił zamek od wewnątrz. Był zawodowcem, wiedział, że nie ma nic gorszego, niż jak ktoś niespodzianie zaskoczy cię na włamie.

Mieszkanie było niewielkie, z wysokim sufitem. Marchewa pobieżnie zlustrował pokój i łazienkę, po czym wszedł do kuchni. Był głodny i chciało mu się pić. Otworzył lodówkę, z zadowoleniem stwierdzając, że jego apetyt zostanie zaspokojony. Napił się mleka, wprost z kartonowego opakowania, po czym chwycił pęto kiełbasy i odgryzł potężny kęs. Z kiełbasą w ręku skierował się do pokoju; miał przecież stwierdzić, czy nie ma śladów wskazujących, że Radtke wyjechała z miasta.

Nie wyjechała.

Spała nakryta kocem po sam czubek głowy, posapując cichutko jak myszka, dlatego nie zauważył jej wcześniej. Niezły musiała mieć sen, skoro nie obudził jej dzwonkiem i bezceremonialnym krzątaniem się po mieszkaniu.

„A jeśli to nie ona?” – tknęło go, gdy wycofywał się do przedpokoju. Wrócił i ostrożnie odsunął krawędź koca. Kobieta miała brudną twarz; w pozlepianych w strąki włosach tkwiło coś

zielonego, ale rozpoznał ją od razu. Smutną niewiastę ze zdjęcia w dowodzie osobistym, który pokazał mu Pożoga.

Odwrócił się i wyszedł na palcach. Zamknął drzwi mieszkania, manipulując jeszcze przy zamku, żeby go zamknąć, co okazało się trudniejsze niż otwarcie, może z braku wprawy – nigdy dotąd Marchewa nie miał okazji niczego zamykać wytrychem.

Powoli schodził po schodach, kończąc jeść kiełbasę. Zaczynał żałować, że nie wziął jej więcej, chociaż – z drugiej strony – jak się babka obudzi może coś zauważyć. Był już na parterze, gdy nieoczekiwanie otworzyły się drzwi pod numerem pierwszym. Aż podskoczył, nim zdał sobie sprawę, że przecież jest czysty. Na złodzieju czapka gore! Zza framugi wyjrzała stara kobieca twarz.

– Pan jest z Hadesu?

Ku własnemu zdumieniu Piekarski przypomniał sobie, co to jest Hades. Wydobył informację z zakamarków pamięci i od razu poczuł do siebie coś w rodzaju szacunku.

– Czy wyglądam na umarlaka? – zapytał.

– Uchowaj Boże. – Kobieta przeżegnała się. – Na pewno nie przyszedł pan do Kolonki? – Wyrażnie posmutniała.

– Nie.

Wychodząc z budynku przy ulicy Psie Pole 7, Marchewa spojrzał w lewo. Na sąsiednim domu wisiała niebieska tabliczka z numerem „6”, dalej widział jeszcze następny budynek, a nawet kawałek jakiegoś parku. Domy jak domy, niech już będą, chociaż przed chwilą NA PEWNO ich nie było – ale przecież dobrze wiedział, że w tym miejscu w Słupsku nigdy nie było żadnego parku!

– Niech to szlag!

Marchewa splunął, odwrócił się na pięcie i przeszedł na drugą stronę ulicy. Zlustrował budynek, odszukując prawdopodobne okno mieszkania tej Radtke. Śpi jak zabita i szczerze wątpił, by obudziła się do wieczora, ale prikaz to prikaz. Nie jego zmartwienie: ma pilnować, to będzie pilnować. Wyjął z kieszeni nie napoczętą jeszcze paczkę fajrantów, którą przewidująco zakupił po drodze. Zapalił z prawdziwą przyjemnością.

S. Wodnik spojrzał na wycieraczkę i od razu wiedział, że coś jest nie w porządku.

Niezupełnie chodziło o to, że była przesunięta – każdy mógł ją przypadkowo potrącić, choćby sąsiadka – ale to spostrzeżenie pobudziło pewne intuicyjne rejony umysłu mężczyzny. Tego rodzaju przeczucia nie zwykły go mylić.

Obejrzał dokładnie posadzkę, ani śladu krwi, nie licząc starego zacieku, do którego dawno już zdążył przywyknąć (ostatecznie nikt wtedy nie zginął, w szpitalu bez problemu zszyto rękę włamywacza). Zajrzał pod spód wycieraczki i syknął nerwowo.

Kluczy nie było, tak jak się tego obawiał. Ostrożnie nacisnął na klamkę. Zamknięte. Ktoś jest

w środku, to było pewne, jak dwie ryby plus dwie ryby równa się cztery – Strażniczym Pękiem nie można zamknąć drzwi, co najwyżej uciszyć samego siebie.

Trudno. Trzeba przełknąć tę pigułkę. Otworzył swoim kluczem, najciszej jak się dało, i wszedł do mieszkania. Akwaria wyglądały na nietknięte, charakterystyczny szum obwieszczał normalną pracę aparatury natleniającej.

– Cześć, S. Wodnik – powiedział Wielgus. Wyglądał, jakby się dopiero obudził. Schował do kieszeni złotawy przedmiot, przypominający tłuczek do mózdzierza. – Jak leci?

S. Wodnik odprężył się.

– Kiepsko – odpowiedział, zrzucając z siebie resztki niepokoju. – Wylali do Słupi jakieś cholerstwo. Wiem kto. Gość miał dzisiaj brać udział w splywie kajakowym, więc się zacząłem.

– Zrezygnował? – Wielgus ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Nie. Popłynął. Ale wziął do kajaka córkę, z osiem lat dziewczynka. – S. Wodnik westchnął, przyglądził skołtunione włosy, które i tak zaraz wróciły do ulubionej formy na Alberta Einsteina.

– Na starość staję się sentymentalny.

Wielgus pocieszająco położył rękę na ramieniu starego druha.

– Jeszcze dorwiesz faceta.

– W to nie wątpię – rozpogodził się S. Wodnik. – Gdybym uważał inaczej, przewróciłbym ten kajak.

– Nie lepiej po prostu zgłosić sprawę odpowiednim organom? – odezwała się Magda Papisten.

Obaj skierowali głowy w jej stronę.

– A to kto? – zdziwił się S. Wodnik.

– No wiesz... – Wielgus dyskretnie położył na ustach wskazujący palec. – Chcę ją tu schować przed Pożogą.

– Znowu? Widząc, co dzieje się na świecie, myślałem, że ta sprawa jest zakończona.

– Podobno nie jest wesoło...

– Podobno? – zaperzył się S. Wodnik. – Jest tragicznie, ot co.

– Nie dramatyzuj. Jak widzisz, jestem tu znowu. Pożoga też. Istotne sprawy nigdy się nie kończą, Stachu. Nigdy.

– Naprawdę w to wierzysz?

– A ty wierzysz, że można będzie pić wodę wprost ze Słupi, jak niegdyś?

S. Wodnik chrząknął, nieco zmieszany.

– Sam widzisz. Pamiętasz tę sekwencję: „Przy życiu trzymają nas marzenia”? To twoje własne, sentymentalne słowa, S. Wodnik.

– Czy ktoś pamięta, że ja tu jestem? – zapytała Magda.

– Bardzo przepraszam. – Wielgus się stropił. – Stachu, może się przedstawisz?

– S. Wodnik. – Mężczyzna uklonił się szarmancko. – Bardzo mi miło panią poznać.

Magda uśmiechem pokryła zmieszanie. Powoli przyzwyczajała się, że nikt z niej nie żartuje; po prostu ma do czynienia z ludźmi innego rodzaju niż ci, do których przywykła.

– Pytałam, czy zamiast samosądu nie byłoby rozsądniej zgłosić ten problem? O ile wiem, zanieczyszczanie wód jest przestępstwem.

– Czy ma pani pięć złotych? – zapytał niespodziewanie S. Wodnik.

– Pewnie mam.

– Można?

Sięgnęła do kieszonki džinsów, wyjęła kilka monet. Jedną z nich podała S. Wodnikowi.

– I co? – spytał, spoglądając wyczekująco.

– A coś ma być?

– Czy czuje się pani biedniejsza?

Roześmiała się.

– Oczywiście, że nie. Najwyżej odrobinę, jestem tylko pracującą studentką.

– Oni płacą grzywny – wrócił do tematu S. Wodnik. – Wydawałoby się, że dość wysokie. Tyle że dla nich to jak dla pani pięć złotych. W ogólnym budżecie firmy rzecz bez znaczenia. Liczą się zyski.

Zwrócił monetę, która ponownie wylądowała w kieszeni džinsów Magdy. Podeszedł do okna.

– Czy ktoś zna tego faceta? – zapytał, uchylając delikatnie żaluzję.

Zbliżyli się oboje. I oboje zaprzeczyli.

– Przyjrzałem mu się jeszcze na ulicy – poinformował S. Wodnik. – Wydaje mi się, że obserwuje dom. Może to człowiek Pożogi?

– Nie stara się pozostać niezauważonym – powątpiewał Wielgus. – Poza tym nie sądzisz chyba, że Pożoga wie cokolwiek o Psim Polu?

– Pewnie nie. Ale i tak mi się to nie podoba.

Mężczyzna na dole wyglądał na znużonego. Powolnym krokiem spacerował wzdłuż chodnika, kopiąc kamyki. W pewnej chwili wyciągnął z kieszeni wymiętą paczkę papierosów. Zapalił, leniwie przeciągając każdą chwilę; człowiek, który ma dużo czasu.

– Kapuś – stwierdził z przekonaniem S. Wodnik.

Wielgus milczał. Zastanawiał się.

– Sądzę, że trzeba go zdjąć – rzekł po chwili, wbrew wcześniejszemu sceptycyzmowi.

Odsunęli się od okna, gdyż nieznajomy spojrział w górę, jakby zwabili go spojrzeniami.

– Jak chcecie to zrobić? – spytała zaniepokojona Magda.

– Jak to: jak? – S. Wodnik wzruszył ramionami. – Na przynętę, oczywiście.

Zapalił kolejnego szluga. Policzył te, które pozostały w paczce. Dwanaście. W tym tempie

ledwie wystarczy do wieczora.

Westchnął i przebiegł wzrokiem po elewacji budynku po drugiej stronie ulicy. Coś jakby mignęło w oknie na piętrze, ale to było okno na prawo od wejścia, nie mieszkanie Radtke.

Na chodniku dostrzegł mokre plamy; zdziwił się, przecież nie padało. Przeszedł przez pustą ulicę i przyjrzał się z bliska. Ślady butów. Nie było ich wcześniej, zresztą przy takiej pogodzie dawno by wyschły. Schylił się i dotknął śladów palcem. Powąchał. Bez zapachu. Woda?

Marchewa zastanowił się. Odkąd tu stał, Psim Polem przechodził tylko jeden gość. Ze sterzczącymi jak druty włosami, ubrany na zielono, jakby gigantyczny leśny skrzat urwał się z choinki.

– Hej, kolego! – dobiegł z góry okrzyk.

O wilku mowa! Głowa z drucianymi włosami wychylała się z okna na piętrze.

– Tak?

– Mam prośbę. Mógłbyś odebrać ten prezent? Za chwilę zejdem na dół.

Z uniesioną głową i rozdziawionymi ustami Piekarski obserwował zjeżdżający w dół metalowy koszyk, przypominający rybacki żak. Gdy ładunek dotarł niżej, wprawne oko człowieka interesu dostrzegło fragmentek papieru wystający spod lnianej ściereczki. Pieniądze? Pięćdziesięciotówka? Nie byłby sobą, gdyby nie próbował się przekonać, nim zdąży przybyć przewymiarowany skrzat. Odsunął ścierekę. W koszu rzeczywiście leżał banknot. Faktycznie pięćdziesiąt złotych. Jednak w tej chwili informacja ta jakby odeszła na dalszy plan. Przestała być dla Piekarskiego istotna, bo w koszu było coś jeszcze.

Pirania skoczyła niczym tygrys. Mierzyła wprost w krocze Marchewy.

Jakimś cudem Jędrzej Piekarski zdołał zasłonić się ręką. Pewnie gdyby nie wielokrotne przeżywanie makabrycznego więziennego snu, byłoby już po wszystkim. Niejaki Pożoga straciłby żelazny argument, nakłaniający osiłka do współpracy. Ale wielogodzinny trening zrobił swoje (od wczorajszej sceny przed więzienną bramą niewiele było minut, podczas których Marchewa nie sięgałby kontrolnie ku rozporkowi).

Wyszczерzone trójkątne zębiska wbiły się w knykcie palców mężczyzny. Niekontrolowany okrzyk bólu przetoczył się po Psim Polu, ginąc dopiero w samochodowym tłumie ulicy Garncarskiej. Marchewa wyprostował się. Jego twarz była pomarańczowa jak ksywka, której używał. Zaczerpnął głęboko tchu i uderzył rozpaloną ręką w mur. Pirania była wyjątkowo dorodna, istny mutant w swoim gatunku, mierzyła jakieś czterdzieści centymetrów długości, zatem dopiero piąty z rzędu cios pozbawił ją życia, gdy prawie już zmieniła się w mięsny ochłap.

Srebrzyste łuski porozsypywały się po chodniku jak cekiny. Nagle Marchewa zeszytniał, otworzył usta, próbując coś powiedzieć, i osunął się na chodnik. Martwa ryba ześlizgnęła się po chodniku, lądując w przy krawężnikowym bloku.

Z budynku wyszedł S. Wodnik. Podeszedł do leżącego nieruchomo mężczyzny, pochylił się

i bezceremonialnie odchylił mu górną powiekę, odsłaniając zamgloną tęczę. Z aprobatą skinął głową, rozejrzał się po okolicy, po czym zagwizdał cicho.

Z cienia bramy wyłonił się Wielgus.

– Sztwywny – oznajmił S. Wodnik.

– Co mu zrobiliście?! – zawołała z otwartego okna przestraszona Magda Papisten.

– Sztwywny czasowo – sprecyzował S. Wodnik. – Przy tej masie ciała jad serrasalmus rhombeus unieruchomił gościa na jakieś pięć do sześciu minut. Nie mamy dużo czasu.

– Proszę się schować i zamknąć okno! – zawołał do Magdy zaniepokojony Wielgus. Ton jego głosu sprawił, że posłuchała natychmiast.

Chwycili nieprzytomnego mężczyznę – S. Wodnik pod pachy, Wielgus za nogi – i pośpiesznie wnieśli do domu. Magda już czekała w drzwiach mieszkania, a gdy zdyszani rzucili ciało na dywan, uklękła i przyłożyła ucho do imponującej klatki piersiowej.

– Żyje. – Odetchnęła, krzywiąc się z niesmakiem. Nieznajomy nie pachniał zbyt przyjemnie.

– Oczywiście, że żyje – potwierdził Wielgus. – Nie jesteśmy mordercami.

– Mów o sobie – mruknął pod nosem S. Wodnik.

– Trzeba mu opatrzeć rękę – powiedziała Magda. – Strasznie krwawi.

– Najpierw sznur. – S. Wodnik sięgnął do szafki.

Zwłoki wróciły do życia po jakiejś minucie. Jędrzej Piekarski siedział na podłodze, oparty o ścianę, z wyjątkowo tępym wyrazem twarzy. Nieoczekiwanie rozplakał się; płakał coraz głośniejszymi łzami, aż wreszcie łkał na cały głos.

– Efekt uboczny działania jadu – wyjaśnił S. Wodnik. – Nad mutacją serrasalmusa pracuję dopiero od trzech lat – dodał, zażenowany – więc jakieś efekty uboczne mogą występować, prawda? Zresztą depresja jest krótkotrwała, zaraz minie.

Rzeczywiście minęła i dopiero wtedy Marchewa zorientował się, że nie jest już na ulicy, że stoi nad nim jakichś dwóch facetów i dziewczyna. Ale to nic. Zdecydowanie bardziej przykra okoliczność wynikała z faktu, że był związany – i to fachowo, w sposób świadczący, że nie wpadł w łapy nowicjuszy: ręce wykręcone do tyłu, dłońmi do siebie, stopy podwinięte pod kolana i ściśnięte węzłem.

– Gdzie Pożoga? – padło natarczywe pytanie. Ktoś ubrany na zielono potrząsał nim, jakby był workiem kartofli. – On cię tu przysłał?

Oszołomiony Marchewa usiłował zebrać myśli. Jaki Pożoga?

Co tu się dzieje?

– Pożoga?!

Coś zaczęło do niego docierać. Jakies strzępki. Strach. Baszta Czarownic.

– Baszta Czarownic – wykrztusił.

– Wiedziałem – powiedział ktoś drugi. – Zablockował przejście. Co teraz?

– Przecież miałeś zrobić podkop.

– Zrobiłem. Ale jak z niego wyjdziemy? No jak? Prosto w łapy Pożogi?!

PONIEDZIAŁEK. Ul. Francesco Nullo, Baszta Czarownic.

– Stanowczo coś mi się tutaj nie podoba – stwierdził Pożoga, wyglądając przez okienko wychodzące na skwer przy rzece Słupi. Ściana była sporej grubości, okno małe, zatem nie mógł dojrzeć terenu przy samej baszcie, choć wszedł na stołek i się wychylał. – A z twojej strony, Arek?

– Pusto – odparł Szyszko, który tkwił przy przeciwległym wykuszu.

– U nas też nikogo – rzekł Baron. Wraz z Poldkiem mieli szeroki widok na osiedle Mostnika, gdyż tę stronę baszty przystosowano do nowoczesnych wymogów wystawowych.

– I to właśnie mnie niepokoi. – Pożoga zeskoczył ze stołka i podszedł do Mariana Krzywca, po raz dziesiąty przeglądającego rozłożony na stole mały arsenał, z którego część nie była używana od lat i do minionej nocy spoczywała w piwnicy, zawinięta w tłuste od smaru szmaty. – Jest godzina dziewiętnasta, ciepły sierpniowy wieczór, a nikt nie spaceruje nadbrzeżnym bulwarem. Mało tego, nikt nie wchodzi ani nie wychodzi z tych cholernych klockowatych bloków. To miasto wymarło czy co?

Coś zaszurało pod drzwiami. Wszyscy zastygli, nasłuchując.

Krzywiec przycisnął do policzka grzbiet lufy browninga. Mimo czyszczenia pistolet pachniał prochem; nie należał do starych piwnicznych zapasów.

– Może to Marchewa? – szepnął.

– Za wcześnie – odrzekł Pożoga równie cicho. – Jeśli nie wrócił od razu, to znaczy, że zastał speckobitkę w domu i będzie dopiero o zmierzchu.

Kilkoma bezszelestnymi krokami dotarł do drzwi. Wyprostował się, przywierając plecami do muru.

– Kto tam? – spytał głośno.

– Jesteście otoczeni! – zdecydowany męski głos rozległ się natychmiast, jakby jego właściciel niecierpliwie oczekiwał na okazję wypowiedzenia wyuczonej kwestii. – Wychodzić, z uniesionymi rękami!

Prócz Pożogi wszyscy się skulili; można by odnieść wrażenie, że spodziewają się, iż za chwilę z nieba spadnie bomba.

– Nie pytałem, czy jesteśmy otoczeni, czy też nie – rzekł Pożoga, z cierpliwością dzieciaka z zerówki, usiłującego wydobyć z nauczycielki informację, dlaczego w pewnych wyrazach przed „h” należy postawić „c”, skoro i tak czyta się tak samo. – Pytałem, kto tam?

Równocześnie skinął rękę ku Krzywcowi, który sięgnął po granat RGO-88 i bezszelestnie przypadł do muru po prawej stronie drzwi.

– Policja! – padło zza drzwi dopiero po dłuższej chwili, choć odpowiedź okazała się prosta. – Jesteście otoczeni. Wychodzić kolejno, z rękami...

– Dobra – przerwał wywód Pożoga. – Może da się coś zrobić, ale najpierw mamy wiadomość. W celu jej odebrania proszę odstąpić od baszty.

– Nie ma mowy!

– No to trudno – rzekł Marian Krzywiec i sięgnął po zawleczkę granatu. Był pewien efektu, gdyż RGO–88 przeznaczono nie tylko do rażenia siły żywej, lecz i lekko opancerzonego sprzętu.

Požoga powstrzymał go w ostatniej chwili.

– Wściekną się – szepnął. – Chcemy dziesięć minut na zastanowienie! – krzyknął do niewidocznych policjantów. – I ostrzegam, że jesteśmy uzbrojeni!

Uniósł swojego walthera i strzelił w sufit, co na zewnątrz wywołało nagłe poruszenie. Słychać było nawoływania i tupot wielu nóg.

– O jasna cholera! – powiedział Poldek, wpatrzony w okno z na wpół otwartymi ustami. Przez moment mignęło mu kilka czarnych sylwetek w naciągniętych na głowy kominiarkach. Na ciemnych kurtkach połyskiwały żółte napisy „POLICJA”.

– Dobrze, że wzmocniliśmy drzwi – powiedział Pożoga, sprawdzając zakleszczenie desek, wspartych o drewniany słup stanowiący element nośny zabytkowej konstrukcji.

– Nie poddamy się? – spytał zdruzgotany Arek Szyszko.

– Nie, kochasiu. Teraz mamy się poddać? Teraz? Kiedy wreszcie zaczęła się prawdziwa zabawa?

Arek wstał. Zmęczonym wzrokiem popatrzył na Bogdę.

– Ja wychodzę. Na nic się nie przydam, bo i tak nie wezmę broni do ręki. Nie ma mowy.

– Ależ nikt tego od ciebie nie wymaga. – Bogda wzruszyła ramionami. – Razem z Krzywcem poradzimy sobie bez wątpliwej pomocy. Lecz co do opuszczenia towarzystwa, to... – Pokręciła głową. – Od tej chwili ty i Baron jesteście naszymi zakładnikami. Chyba nie wyobrażasz sobie, że policja potraktuje nas poważnie, jeśli nie będziemy mieli zakładników? Marian, miej na nich oko. Jak któryś zbliży się do wyjścia, wal w łeb bez pytania.

– A ja? – przypomniał się Poldek.

– Co, ty?

– Też jestem zakładnikiem?

Požoga przyjrzał się mu z uśmiechem, jakim ojciec obdarza rokującego nadzieje syna.

– A jak byś chciał?

Zdezorientowany Poldek zamrugał nerwowo. Spojrzał na Barona, potem z powrotem na Pożogę. Nie lubił podejmować decyzji. Cholernie tego nie lubił, dlatego wciąż mieszkał z matką, choć na karku wisiała mu czterdziestka. A może odwrotnie. Może to przez to, że wciąż z nią mieszkał.

– Zakładnicy idą na górę, do wieży – polecił Pożoga. – A ty, Poldek, jeśli chcesz sobie postrzelać do gliniarzy, możesz zostać z nami. Niczego nie ryzykujesz – i tak wszystko pójdzie

na moje konto. Ilu byśmy nie wysłali na łono Abrahama, całą winę biorę na siebie – oświadczył wspaniałomyślnie.

– Poldek, nie pakuj się w to – ostrzegł Baron.

– Żyje się raz – kusił diabeł. – Taka okazja na pewno już się nie powtórzy.

– Zostaję – oświadczył Poldek.

– Zuch – pochwalił Pożoga. – A panów zapraszam na górę – zwrócił się do pozostałej dwójki, wykonując zaganiający ruch pistoletem.

Wspięli się po schodach na sam szczyt. Arek Szyszko drżącą ręką otwierał drzwi, pomny widoku zdekapitowanego ciała niedoszłego gwałciciela. Puścił Barona przodem, sam ruszył dopiero wtedy, gdy poczuł na plecach dotyk lufy pistoletu. Spodziewał się smrodu, trupiego odoru, ale ku jego zdziwieniu wcale tak nie było. Panował tylko zaduch, dało się wytrzymać.

Požoga nacisnął kontakt. Zaśłóciła się naga żarówka wisząca na przewodzie o niskim woltażu. Spojrzeli na nią odruchowo i znieruchomieli, z wyciągniętymi szyjami, choć dobrze wiedzieli, co zobaczą w górze. Głowę Dudusia. Malowany uśmiech wyglądał, jakby był skierowany wprost do nich. Nagle coś zatrzeszczało i ze stropu posypał się pył, a zaraz potem fragmenty popękanej dachówki. Ktoś zaklął półgłosem. Arek i Baron wpatrywali się z przerażeniem w nieruchome trupie wargi, w pierwszej chwili absurdalnie zdziwieni, że jednak się nie poruszają. Wreszcie z ulgą skonstatowali, że nie z tych sinych ust wydobywa się stłumiony głos. Trzasnęła następna dachówka i w środku baszty pojawiła się czyjaś noga, odziana w czarny, sznurowany but.

– Ależ uparte cholery! – wrzasnął Pożoga i strzelił, nie celując.

Noga zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Usłyszeli rumor przesuwającego się po dachu ciała, z góry posypały się odłamki cementu i zapadła cisza. Nasłuchiwali, na próżno wyczekując krzyku lub odgłosu upadającego z wysokości ciała.

– Dobrze wyszkolony skurczybyk – skomentował Pożoga. – Złapał się liny albo wisi na jakiejś rynnie.

Widać na skutek drgań puściły naturalne kleszcze utrzymujące między belkami upiorną głowę, bo nagle oderwała się i rąbnęła w podłogę, odbijając się kilkakrotnie niczym plażowa piłka.

Kiedy znieruchomiła, Pożoga podszedł i chwycił truchło za włosy. Z makabrycznym bagażem w garści wyprostował się i spojrzął na towarzyszy karcącym wzrokiem.

– Siedzieć mi tutaj i ani mru–mru – powiedział. – Zakładników próbujących ucieczki przywykłem likwidować. Uważam, że to dobry, choć trochę zapomniany obyczaj, i nie zamierzam z niego zrezygnować tylko dlatego, że początkowo umawialiśmy się na nieco inny rodzaj współpracy. Jasne? W końcu wy również względem mnie tak całkiem w porządku nie jesteście.

Skinęli w milczeniu głowami.

– Mamy tu zostać z nim? – odważył się spytać Baron, pokazując na leżące w zakrzepłej kałuży krwi bezgłowe ciało.

– Jak wam przeszkadza, przykryjcie gazetami – oświadczył cynicznie Pożoga. Zamknął drzwi na klucz i pośpiesznie zszedł na dół.

– A to co? – zapytał Marian Krzywiec, wstrząśnięty makabrycznym widokiem przyniesionej przez Pożogę głowy.

Poblady Poldek odsunął się od stołu, skąd właśnie dobierał sobie broń (dryling, szczególnie podobała mu się ta o trzech lufach, o której Krzywiec powiedział dryling, wydawało mu się, że podobną miał Arnold Schwarzenegger w którymś z „Terminatorów”).

Požoga bez słowa przeszedł obok nich, wybił szybę w okienku i wyrzucił przez nie swój krwawy ładunek, z trudem przeciskając go między murem a zabezpieczającym stalowym prętem.

– To jest kara za próbę wejścia przez dach! – wrzasnął z całych sił. – Pierwszy zakładnik odwalił kite!

Odwrócił się, wycierając ręce w spodnie.

– No co? – Uśmiechnął się krzywo do kompanów. – Przecież nie wiedzą, że zginął wcześniej. Teraz przynajmniej będą chodzić na paluszkach.

Usiadł na krześle, za którym leżała sterta zdewastowanych obrazów.

– Odsapnijcie, koledzy – powiedział. – Po takiej dawce emocji przynajmniej przez godzinę nie ośmielą się ruszyć nawet palcem. A może macie ochotę na pizzę? – zaproponował. – Będą szczęśliwi, jeśli damy im jakieś zajęcie.

PONIEDZIAŁEK. Ul. Psie Pole.

Coś było nie tak.

Gdy Izabela Radtke spojrzała na ścienny zegar, wiszący w jedynym pokoju jej kawalerki, wskazówki pokazywały punktualnie godzinę siódmą. Leżała na kanapie, nakryta kocem po szyję, wpatrzona w wysokie okno, za którym było widać kawałek niebieskiego nieba i ostatnie piętro beżowego budynku, wzorcowo odnowionego parę lat temu, i tyleż czasu świecącego pustostanem.

Podobno pewien włoski inwestor (kobieta, jak niosła wieść) zamierzał otworzyć tu hotel. Dlaczego tego nie zrobiła, skoro remont wyglądał na zakończony, nie wiadomo. Co bardziej rzeczowi mieszkańcy Słupska twierdzili, że to ucieczka od tamtejszych (włoskich) podatków. Albo pralnia brudnych pieniędzy. Na zachodzie to normalne (twierdzili).

Coś było nie tak.

Nie szło, rzecz jasna, o beżowy budynek – ta myśl przemknęła przez umysł Izabeli przypadkowo i zniknęła. Coś było nie w porządku z dniem dzisiejszym. Tu i teraz. Niepokój tak ją przytłaczał, że ledwie śmiała oddychać.

Wreszcie zrozumiała. Jest siódma wieczór. Gdyby był ranek, słońce zagłądałoby do pokoju, tymczasem oświetlało fronton domu Włoszki, rankiem zawsze pogrążony w cieniu. No i hałas od strony skrzyżowania pobliskich ulic Garncarskiej i Wiejskiej. Pod wieczór zawsze było spokojniej. Czyżby przespała cały dzień?

Niepokój nie zniknął. Wręcz pogłębiał się, im więcej Izabela Radtke zastanawiała się nad niespodziewaną amnezją.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Zerwała się jak oparzona, odrzucając koc.

„Spokojnie”, uspokajała samą siebie. „Tylko spokojnie”.

Weszła do przedpokoju.

– Kto tam?

Nie lubiła patrzeć przez judasza, zawsze miała wrażenie, że kogoś podgląda (w zasadzie nie bez racji), i że ten ktoś dobrze o tym wie.

– Andrzej.

Andrzej był sąsiadem z parteru, piętro niżej.

– Nie mo... – Przypadkowo spojrzała w lustro, ujrzała siebie, stojącą przy drzwiach, i zamurowało ją.

– ...gę teraz – dokończyła głosem z drewna. Cud, że w ogóle dokończyła. Nie mogła oderwać oczu od swego odbicia.

Sąsiad mówił coś jeszcze, ale ona nie słuchała. Na zdrtwiałych, klockowatych nogach podeszła bliżej. Całą twarz miała umazaną krwią! Skołtunionie włosy pokrywały grube skrzepy.

Sukienka była podarta, z plamami wilgoci, rozerwany stanik trzymał się na ramiączkach w dwóch osobnych częściach.

Ostrożnie dotknęła głowy. Nie znalazła żadnej rany, jedynie warga była nabrzmiąta, ale z wargi nie mogło być przecież tyle krwi. Chyba że...

Wstrzymała oddech i oparła się o ścianę. Chyba że to nie jest jej krew. Nic nie pamiętała.

Usiadła na podłodze; gdyby natychmiast tego nie zrobiła, z pewnością by upadła – nogi z waty nie stanowią solidnej podpory.

Pewne wspomnienie pojawiło się jak błyskawica. Baszta Czarownic. Włamywacze. Jakiś mężczyzna. Zły. Bardzo zły!

Jezus Maria! Czyżby to była jego krew? Rozpaczliwie usiłowała przypomnieć sobie coś więcej, lecz pamięć wydobywała jedynie fragmenty. Rzucił się na nią, bił, przytulał obłąaną twarz, z twardym jak szczotka zarostem i... I co? Nagle zrobiło się jasno, tak, to jeszcze pamiętała, jasno jak w dzień, ale co dalej...? Nic. Pustka.

W środku nocy zrobiło się jasno jak w dzień i nagle obudziła się na własnej kanapie, we własnym mieszkaniu. Jakby to był tylko koszmarny sen. Ale nie był. Nie mógł być. Jej wygląd aż nadto dobitnie o tym świadczył.

Musiała iść w tym stanie przez miasto. Z Baszty Czarownic do Psiego Pola niby niedaleko, była noc, lecz jeśli ktoś ją widział...

To i co? – ocknęła się nagle. – To i co, że ktoś ją widział, nawet ktoś znajomy z Psiego Pola. Przecież to na nią napadnięto! Usiłowano skrzywdzić! Tylko się broniła.

Uniosła ręce i popatrzyła na paznokcie. Dłonie były zadziwiająco czyste (bez krwi), ale pod paznokciami coś tkwiło. Pod wszystkimi, nawet przy małych palcach. Przyjrzała się bliżej, wydłubała kawałek i przeszył ją dreszcz. Nieoczekiwanie zrobiło się zimno, jakby był grudzień nie sierpień, i wysiadło ogrzewanie. To co wydłubała wyglądało na sprasowany kawałek ludzkiej skóry. Przy kciuku wystawał nawet kawałek mięsa.

Zerwała się i pobiegła do łazienki. Z kranu chlusnęła gorąca woda. Czyściła dłonie szczotką, pilnikiem, pumeksem i wszystkim co było pod ręką. Potem wzięła gorący prysznic, tak gorący, że aż zaciskała usta, by nie krzyknąć z bólu. Woda była różowa tylko na samym początku.

Włożyła szlafrok, a wszystkie ciuchy, nawet majtki, które wyglądały na czyste, zawięła w gazetę i wepchnęła do wiadra na śmieci. Wróciła do pokoju. Podniosła z podłogi koc, który rzuciła, gdy Andrzej dzwonił do drzwi. Również na nim znalazła krwiste plamy, w dodatku był wilgotny. Dlaczego wilgotny?

Uzmysłowiła sobie, że sukienka, niemiłosiernie wygnieciona, też wyglądała, jakby wcześniej była mokra i wyschła na niej, gdy spała. Zerknęła na kanapę i zauważyła coś zielonego. Wodorost.

Skąd wodorost? Czyżby się kąpała? W Słupi? W ubraniu?!

Koc nie chciał się zmieścić do wiadra na śmieci, wrzuciła go więc do plastikowego worka i zawiązała sznurkiem. Kanapę dokładnie umyła. Potem wyciągnęła wszystkie alkoholowe płyny, jakie miała w domu (puszka piwa, trzy czwarte 100 ml buteleczki rektyfikowanego spirytusu, którego używała do pieczenia ciasta i resztkę koniaku 0.75 l). Włączyła telewizor i usiadła w fotelu.

Zaczęła od spirytusu.

Pomimo wrażeń i faktu, że przespała pół nocy i dzień, zasnęła bez problemów. Na siedząco.

Obudziła się kwadrans po dwudziestej trzeciej. Było ciemno.

Zapaliła światło i przeszukała szafki. Nie znalazłszy alkoholu, wróciła na fotel. Przez jakiś czas siedziała bez ruchu, wpatrzona w ekran wciąż włączonego telewizora. Leciła bajka dla dzieci, kreskówka. „Jest wściekła, bo dostałaś okres wcześniej niż ona” – mówi do swojej dwunastoletniej rówieśniczki Aparatka. Zmiana kanału. Niteczka prowadzi pijanego niemieckiego żołnierza w warszawskie piwnice. Sierpień, rok 1944. Kolumbowie rocznik 20. Boże! Uwzięli się czy co?

Izabela Radtke pośpiesznie wyłączyła telewizor i wyszła na klatkę schodową. Po skrzypiących schodach zeszła piętro niżej i zapukała do sąsiada. Minęła dobra chwila, nim zaspany Andrzej otworzył drzwi. Był w piżamie.

– Oszalałeś? – przywitała go. – Tak wcześnie chodzisz spać?

– Jutro pracuję – odparł zmieszany.

– No to co?

Zamrugnął i próbował się uśmiechnąć, co nie wyglądało dość mądrze.

– Dzwoniłeś do mnie – powiedziała wyczekująco. – Czego chciałeś?

– Ja? Ach, tak... Zabrakło mi cukru. Masz?

– Mam. A ty masz coś do picia?

– Do picia? – Patrzył na Izę, jakby spadła z księżycy. Miał nadal ten sam roztargniony wyraz twarzy.

– No co? Jakąś wódę. Masz?

– Tylko wino – odparł.

– To bierz i chodź do mnie!

Przygarbił się, jakby propozycja przybrała materialną formę i okazała się kamieniem, który spoczął ciężarem na jego barkach.

Był wątlym trzydziestolatkiem. Na Psim Polu mieszkał od jakichś trzech lat, z matką, kobietą głuchą jak przysłowiowy pień, z rzadka zakładającą przestarzały typ aparatu słuchowego. W tym czasie Izabela tylko dwa razy widziała go z dziewczyną. Raz z grubą ekspedientką z warzywniaka, która zresztą niewiele później wyszła za mąż za właściciela tegoż sklepu, drugi raz (a właściwie kilkakrotnie) z całkiem do rzeczy dziewczyną o wyglądzie nastolatki. I chyba

rzeczywiście była nastolatką, bo znajomość skończyła się po solidnej awanturze, jaką zrobił ojciec dziewczyny.

– Chwileczkę. Tylko się przebiorę – odrzekł po dłuższej chwili Andrzej.

Izabela machnęła obojętnie ręką.

– Nie trzeba. Też jestem w szlafroku. Bierz to wino i chodź!

Skinął głową i zniknął w mieszkaniu. Gdy wrócił, naprzeciwko otworzyły się drzwi i w szparze pojawiła się pomarszczona twarz pani Kolonko.

– Do domu! – krzyknęła w jej stronę Izabela, dając upust nieodpartej chęci wyładowania się. Ciekawskie oblicze natychmiast zniknęło.

– Ja tylko myślałam, że to ktoś z Hadesu – usłyszeli mruczenie, nim zatrzasnęły się drzwi.

– Jesteś drinknięta – zauważył ze zdumieniem Andrzej.

– Coś takiego? – udała zdziwienie. – Nie gadaj tyle, idziemy.

Sprzątnęła puste butelki (0.100 l i 0.75 l) oraz puszkę po piwie i postawiła kieliszki. Pili w milczeniu. Zauważyła, że Andrzej, mimo wyraźnego zażenowania, zerka na jej nogę, wystającą spod poły szlafroka aż po biodro.

Dawno temu widziała film, w którym drań usiłował zgwałcić Sopię Loren. I nie skończyłoby się na usiłowaniu, gdyby nie pojawił się Mastroianni. Sophia Loren zaprosiła wybawcę do swej chaty (rzecz działa się na wsi) na kolację, po czym oddała mu się namiętnie. Młoda Iza Radtke nie mogła pojąć, jak zaledwie kilka godzin po tak traumatycznym przeżyciu kobieta może zaprzagnąć mężczyzny. Musiało minąć dwadzieścia lat, nim to zrozumiała.

– Mam chęć się bzykać – powiedziała.

Patrzyła prosto w błąd, upstrzoną gdzieniegdzie piegami twarz sąsiada. Spięty nagle Andrzej, jak mógł unikał spojrzenia, błdził wzrokiem po ścianach, zapewne w poszukiwaniu ściągawki z tekstem odpowiedzi. Niczego nie znalazł, a Izabela nadal patrzyła wyczekująco, z miną pewną i spokojną, jakby właśnie oznajmiła, że ma ochotę na herbatę.

– Chyba trochę za dużo wypijaś... – rzekł niepewnie, wciąż nie ośmielając się na nią spojrzeć. – Może...

– Bez przesady – weszła mu w słowo. – Mam ochotę kochać się z tobą, bo jesteś brzydki, wąły i nieśmiały. I pewnie nigdy nie uderzyłbyś kobiety.

Andrzej nie obraził się. Ani w głowie mu to było, bo oto Izabela rozwiązała pasek szlafroka i jego rozbiegane oczy zaokrągliły się, znajdując wreszcie punkt oparcia.

– A może uważasz, że jestem dla ciebie za stara?

– Ależ skąd?! – zaprzeczył gorliwie.

Czternaście minut później Izabela Radtke wpatrywała się w nocne niebo nad budynkiem Włoszki. Było cicho i przyjemnie. Bezpiecznie. Na kanapie, obok niej, leżał Andrzej. Wyglądało na to, że zasnął. Nie ruszała się, żeby to sprawdzić, choć zdziwiło ją, że można zasnąć

w kilkadziesiąt sekund. Tak jak przypuszczała, wcale nie był doświadczonym kochankiem, ale jej to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Wyglądało na to, że wcale nie zauważył, że to był jej pierwszy raz. Najzabawniejsze, że sama prawie tego nie zauważyła, wbrew temu, co słyszała i o czym czytała. Najpewniej dlatego, że...

Zorientowała się, że patrzy na zegar. W pokoju panował półmrok, ledwie rozpraszany światłem odległej ulicznej latarni, ale wyraźnie widziała fosforyzujące wskazówki. Było pięć minut po północy. Aż zaparło jej dech w piersiach. Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat, od pamiętnego samochodowego wypadku, przegapiła północ. Nie pilnowała się i nic się nie stało. Nie zmieniła się w bestię, a kochanek, który śpi obok, nie jest martwy. Śni z uśmiechem na ustach, lekko pochrapując.

O trzeciej nad ranem Izabela Radtke wyniosła śmieci, wraz z plastikowym workiem, szczelnie obwiązany sznurkiem. Zauważyła, że zielony kontener na odpadki jest pełen, co rokowało jak najlepiej. We wtorki o świcie pomarańczowy wóz Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej zabierał pojemnik na miejskie wysypisko, a po opróżnieniu przywoził pusty.

Gdy wróciła do mieszkania, Andrzej wciąż spał. Przytuliła się do niego i również zasnęła.

PONIEDZIAŁEK. PPHades.

Bogusław Mazur był bardzo zmęczony. Zegar pokazywał dwudziestą trzecią, a wciąż nie było widać końca sterty dokumentacji, przez którą się przekopywał. Nie miał pojęcia, że prowadzenie przedsiębiorstwa – jednobranżowego skądinąd – wymaga tylu kilogramów papieru. Z prawej strony czarnego jak smoła biurka gromadził dokumenty, których treść wydawała się zrozumiała, przynajmniej z grubsza. Na lewo rzucał te, które co prawda zadrukowano wyrazami brzmiącymi znajomo, lecz gdy łączyły się w zdania, brzmiały bez sensu. Były to głównie formularze dla Urzędu Skarbowego i Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Ten ostatni – jak mawiał świętej pamięci Waldemar Legnicki – tym bardziej szedł w zaparte, im więcej milionów wydawał na bezskuteczną poprawę działania systemu informatycznego.

Osobny problem stanowiło dziwne stałe zlecenie, opiewające na dość poważny miesięczny ryczałt. Na tyle poważny, by go nie zbagatelizować, pomimo że treść zlecenia była całkowicie niezrozumiała, a podany adres nie istniał w rzeczywistości, o czym Mazur przekonał się, odwiedzając wymienioną ulicę (Psie Pole) dwukrotnie. Zlecenie było datowane na 31 lipca 1991 roku, a więc jedenaście lat temu, lecz na dopiętym załączniku, nazwanym „HARMONOGRAM”, systematycznie odnotowywano kolejne, mniej więcej comiesięczne wizyty. Ostatnia nastąpiła 9 lipca bieżącego roku. Szkoda byłoby stracić intratny dochód, to raz, lecz przede wszystkim ciekawość dręczyła świeżo upieczonego przedsiębiorcę pogrzebowego. Czasem zajmowali się konserwacją grobów, ale przecież nie za taką cenę?! Zresztą, konserwacje były wpisywane w osobnej księdze.

Naprawdę ciekawe!

Lecz cóż począć, skoro adres jest najwyraźniej nieaktualny?

Może budynek wyburzono, a lokatorzy przenieśli się gdzie indziej?

„Trzeba będzie pojechać raz jeszcze i przepytać sąsiadów”. – To postanowienie uspokoiło rozgorączkowane myśli Bogusława Mazura, który ponownie wczytał się w papiery. Legnicki odszedł z tego padołu już przed tygodniem, a on wciąż nie mógł połapać się w bałaganie. Ale nie narzekał. W gruncie rzeczy był szczęśliwy. Od pięciu lat harował za psi grosz, w przekonaniu, że jego wysiłki nie zostają doceniane (choć w gruncie rzeczy stał się prawą ręką szefa), aż tu po otwarciu testamentu okazało się, że nieboszczyk przepisał mu firmę z szyldem: Przedsiębiorstwo Pogrzebowe „HADES”

Cały majątek trwały oraz żywy. Majątek żywy stanowił pies Huckleberry, pilnujący obejścia przed firmową kapliczką (część majątku trwałego), a nazwany tak na cześć nieocenionego bohatera kreskówki Hanna Barbera.

Pozostało jeszcze do załatwienia mnóstwo formalności, aby – mimo jasnego testamentu – stać się rzeczywistym posiadaczem zakładu. Przede wszystkim należało zaciągnąć kredyt, żeby

wnieść opłaty notarialne i odprowadzić bająną sumę do Urzędu Skarbowego. Na szczęście Legnicki od lat żył samotnie i nikt z rodziny nie upomniał się o swoje spadkowe prawo, więc wyglądało na to, że wszystko jest na dobrej drodze.

Mazur przeciągnął się leniwie, mrużąc pod nosem „Dosyć na dziś!”, kiedy zaczął szczeakać pies. Huckleberry był zwykłym, podwórkowym kundlem. Legnicki przywiózł go swego czasu ze schroniska, ponieważ ktoś włamał się do kapliczki i zdjął z klientki biżuterię, w której to hojna rodzina zdecydowała się nieboszczkę pochować, wzorem barbarzyńskich ludów.

Wcześniej kilkakrotnie ginęły kwiaty, ale nikt nie robił z tego afery. Złota biżuteria to zupełnie inna sprawa.

Mężczyzna, który obecnie leżał w kaplicy (jakiś Gadomski czy Gadowski, strażnik zastrzelony podczas napadu na muzeum), nie miał nawet obrączki, ale złodziej nie mógł przecież o tym wiedzieć.

Pies szczeakał coraz zacieklej. Zaniepokojony Mazur wyciągnął z szuflady pistolet wiatrówkowy WALTHER CP. Kiedyś Legnicki starał się o pozwolenie na prawdziwą broń, ale dostał odpowiedź odmowną, więc kupił śrutowy 4,5 mm, nie wymagający zezwolenia. Potem przepisy się zaostrzyły, takie wiatrówki stały się nielegalne, ale nikt się tym specjalnie nie przejął, zwłaszcza że sam Miller obnosił się ze swoją beretką na ekranach telewizorów. Przepisy ponownie miały się zmienić, pewnie nawet już się to stało, i zapomnianego walthera można było użyć zgodnie z prawem, co zresztą w tej chwili Mazura niewiele obchodziło.

Jeśli miało do czegoś dojść, z pełną świadomością popełnianego czynu zamierzał przestrzelić tyłek włamywacza wszystkimi ośmioma pociskami (pojemność magazynka).

Kaplica znajdowała się po przeciwnej stronie podwórza. Było pusto i nie wyglądało na to, żeby drzwi zostały wyłamane. Wielki, pozłacany krzyż lśnił w ciemnościach, jakby sam z siebie emanował światłem.

– Hak! – przywołał półgłosem psa, który podbiegł, machając ogonem, zaraz jednak powrócił pod namalowany krzyż, z sierścią nastroszoną jak jeżozwierz. Już nie szczeakał, za to warczał, z wyraźnym niepokojem przysuwając się do drzwi, to znów od nich odskakując.

Mazur sprawdził, czy w pistolecie tkwi gazowy nabój zasilający. Był. Ostrożnie podszedł do wejścia i nasłuchiwał. Huckleberry miał rację. Ktoś myszkował w kaplicy. Wyraźnie było słycać stuki i szelesty. Mazur przez chwilę zastanawiał się co robić. Wezwać policję? Po namyśle doszedł do wniosku, że załatwi sprawę sam. Hieny lubią się mścić. Poza tym, do cholery, jest się właścicielem zakładu czy się nim nie jest?

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął klucz. Powoli włożył go do zamka i przekręcił. Na szczęście Huckleberry znów zaczął szczeakać, zatem zgrzyt był niemal niesłyszalny. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi; nikłe światło wtargnęło do środka, rzucając wydłużone cienie. Powiało zapachem kwiatów i woskowych świec.

Pies ucichł w jednej chwili.

Trumna była otwarta. Drewniane wieko leżało na posadzce.

Mazur zamarł, nerwowo lustrując pomieszczenie. Prócz otwartej trumny nie zobaczył nic podejrzanego. Wcześniejsze hałasy ucichły, może nie stąd dobiegały? Huckleberry zaskomlał, poza tym panowała cisza. Nikogo. Chyba... chyba że intruz ukrył się za imitującym ołtarzyk stołem, nakrytym białą narzutą?

– Kto tu? – zapytał półgłosem Mazur, a ozdobnie tynkowane ściany odbiły słowa niepokojącym echem.

Pożałował, że nie wziął latarki, ale nagle uprzytomnił sobie, że przecież może zapalić świecę. Wszedł do środka – pies za nim krok w krok, niemal przyklejony do prawej nogi Mazura, z wciąż zjeżoną sierścią na karku. Przyłożył zapalniczkę do knotu. Cienie zatańczyły znieścaka, wydawało się, że ktoś skacze wprost na niego. Strach ma wielkie oczy. Mazur przyklęknął i pochylił się, niemal dotykając policzkiem podłogi. Obrus był krótki, więc mężczyzna mógł przekonać się, że za stołem też nie ma nikogo.

Raptowny głośny szelest poderwał go na nogi. Aż podskoczył z emocji, krew uderzyła do głowy. Szeroko otwartymi oczami mierzył w otwartą trumnę. To stamtąd.

Powoli wypuszczał powietrze, jakby wydychał niewidzialny dym z papierosa. Czas mijał, a on stał w tej samej pozycji, niezdolny ruszyć z miejsca.

– Szczury! – Nagła ulga spłynęła ciepłym dreszczem przez zeszywniałe ciało. – To pewnie cholerne szczury dostały się do kaplicy!

Miałby się z pyszna, gdyby ktoś zauważył, że w kaplicy są szczury. Koniecznie trzeba pomyśleć o deratyzacji.

Nieco uspokojony wziął do ręki świecę. Zdołał zrobić zaledwie trzy kroki i wówczas płomień oświetlił trumnę. Krew w żyłach Mazura ponownie zmieniła się w rtęć.

To nie były szczury.

Huckleberry przypadł do ziemi, z podwiniętym pod siebie ogonem, z uszami położonymi po głowie.

Nie szczury. Szeleścił nieboszczyk.

Każdy przedsiębiorca pogrzebowy dobrze wie, czym są arefleksja i vita minima. Stan śmierci pozornej jest zjawiskiem niezwykle rzadkim, niemniej tkwi głęboko w społecznej świadomości, z przerażającymi (i fascynującymi) opowieściami o ludziach budzących się we własnym grobie, głęboko pod ziemią, skazanych na powtórny, tym razem prawdziwą, przerażająca śmierć.

Stąd okres karencji, zwłoki muszą czekać przynajmniej trzy dni, nim będzie można je pogrzebać.

Bogusław Mazur pracował już w swym fachu dobre pięć lat, znał zasady i wiedział, na co trzeba uważać. Nigdy dotąd nie zetknął się z przypadkiem letargu, ale czy można to wiedzieć na

pewno? Czy ktokolwiek wsłuchuje się godzinami w świeżo usypany grób? Stary Legnicki twierdził, że za Stalina nie raz chował ludzi, co do stanu których nie miał stuprocentowej pewności. Ale wtedy, podczas skróconej ceremonii, zawsze przy grobie stał w czarnym skórzanym płaszczu i kapeluszu ktoś, kto taką pewność chciał mieć, i to jak najszybciej.

Te gorączkowe myśli przemykały przez umysł Bogusława Mazura, wciąż zastygłego w pół ruchu, jakby właśnie jego dopadła arefleksja.

Postać w trumnie usiadła. Woskowa twarz – z zarostem wyglądającym jak powbijane w skórę druty – zwróciła się w stronę mężczyzny. Płomień świecy odbijał się w oczach koloru słońskiej kości.

„To nie są oczy człowieka”, pomyślał Bogusław. „Nie człowieka”. Niemożliwe!

– Chodź, Hak – powiedział do psa nadzwyczaj spokojnym głosem, wciąż wpatrzony w siedzącą w półmroku postać. Później, wspominając tę chwilę, nie mógł pojąć, skąd wziął się w nim ten spokój. Absolutne opanowanie.

Odwrócił się i wyszedł z kaplicy. Po prostu wyszedł, walcząc ze sobą, żeby nie biec. Ludzie wierzą w duchy, to fakt. Ale przecież nie przedsiębiorcy pogrzebowi?!

– Nie my! – rzekł sam do siebie i od razu poczuł się pewniej.

Trzeba zadzwonić na policję. Oni go tu przywieźli, niech oni się martwią.

Wszedł do biura, pokrzepiony faktem, że Huckleberry nie odstępuje go na krok. Duchy nie duchy, zawsze raźniej człowiekowi, gdy ma przy sobie żywe stworzenie.

Podniósł słuchawkę telefonu i nagle z przerażeniem zdał sobie sprawę, że w tym przypadku w ogóle nie może być mowy o żadnym letargu. Nie chodzi nawet o to, że nieboszczyk ma w klatce piersiowej dwie dziury po pociskach, które Mazur osobiście owiązywał bandażem, nim założył papierową imitację koszuli.

Rzecz w tym, że zwłoki przywieziono z prosektorium, gdzie dokonano sekcji. Można przeżyć prawie każdy rodzaj śmierci, zgoda. Ale przecież nie sekcję własnych zwłok!

Ktoś zapukał do drzwi.

Słuchawka wysunęła się z ręki mężczyzny, upadła z głuchym stukiem na biurko, ześlizgnęła się po krawędzi i zawisła tuż nad podłogą, kołysząc się na czarnym spiralnym kablu. Bogusław Mazur poczuł spływający ciurkiem po skroni pot. Nogi miał jak z waty. Gdyby nie to, że pies zaczął nagle szczekać, pewnie by zemdłał.

Pukanie powtórzyło się. Brzmiało zdecydowanie natarczywiej.

Przedsiębiorcy pogrzebowi nie wierzą w duchy. Oczywiście, że nie.

– Pro–szę – wysylabizował nie swoim głosem. Cokolwiek miało się stać, nikt nie powie, że jest tchórzem.

Do biura weszło dwóch młodych mężczyzn w modnie skrojonych marynarkach. Jeden z nich miał nawet krawat. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w ogłupiałą minę świeżo upieczonego

właściciela zakładu.

– Zabierz pan tego kundla – powiedział ten w krawacie, próbując kopnąć ujadającego Huckleberry’ego.

– Hak, do nogi! – zawołał Mazur, któremu z piersi spadł wielotonowy ciężar. Wreszcie mógł swobodnie oddychać.

Ku jego zdumieniu pies posłuchał natychmiast, choć zazwyczaj miewał własne zdanie w tego rodzaju kwestiach i trzeba go było wiązać przy budzie. Widać przeżycia dzisiejszego wieczoru i na nim odcisnęły piętno.

– Bogusław Mazur? – zapytał osobnik bez krawata.

Choć różnego wzrostu, obaj przybysze byli do siebie w jakiś sposób podobni. Mieli tak samo wygolone włosy (na szlachetkę) i nijakie, bezbarwne spojrzenia. Nie wzbudzali sympatii, ale co tam sympatia, widok zwykłych ludzi był wystarczającym darem niebios.

– Tak, to ja. – Wierzchem dłoni otarł wilgotne czoło. – Czym mogę panom służyć?

– Pracujemy tak po nocy?

Młodzieniec w krawacie zbliżył się, lustrując wzrokiem biurko. Oczywiście zauważył rzucony obok telefonu pistolet. Drgnął, zaskoczony. Przez moment w niespecjalnie inteligentnych oczach pojawił się wyraz dekoncentracji. Jednym skokiem znalazł się przy biurku, pochwyił walthera i uśmiechnął się półgębkiem.

– Pytałem o coś! – krzyknął zaczepnie, z gniewnym wyrazem twarzy.

– O co chodzi? – Mazur dopiero teraz zauważył prymitywny, atramentowy tatuaż na szyi, wyglądający spod szczelnie zapiętego pod szyją kołnierzyka. I sznyty na zewnętrznej stronie prawej dłoni. Powoli przestał uważać przybycie tych dwóch gości za szczęśliwe zrządzenie losu.

– Może usiądźmy – zaproponował zimno młodzian, bawiąc się pistoletem.

– Oczywiście. – Mazur wskazał na stojące nieopodal biurka krzesła dla klientów. – Ale... – Zawahał się. – Zakład jest już zamknięty.

– A ochrona?

– Proszę?

– Co z ochroną? Nikt nie chroni firmy przed bandytami?

– Nie bardzo rozumiem... – Mazur starał się zachować kamienną twarz. Nie chciał, żeby zauważyli, jak bardzo się boi. A bał się.

Ale to był zupełnie inny rodzaj strachu niż ten w kaplicy; nie paraliżował, nie obezwładniał panicznie umysłu. Jednakże, jak nieoczekiwanie stwierdził, z dwojga złego wołał już chyba tamten.

– Pana Legnickiego chroniliśmy. No, niezupełnie my osobiście. Organizacja. Czyżbyś nic o tym nie wiedział? – Typek bez zmrużenia powieki przeszedł na „ty”.

„Haracz!”, dotarto wreszcie do Bogusława. „Te oprychy bezczelnie żądają haraczu!”. Czytał

kiedys w gazecie, że w Słupsku to nagminne, w tym ponoć macza palce mafia z Trójmiasta, lecz traktował to trochę jak sezon na ogórki, dopóki przyjaciel Grześ nie założył internetowej kawiarenki i nie zamknął jej po tygodniu, choć dzień wcześniej twierdził, że zaczyna wychodzić na swoje. Nagabywany, wyznał tylko, że nigdy nie poniży się, żeby płacić mętom haracz, i nabrał wody w usta. „Przecież mogłeś zawiadomić policję?”, powiedział mu wówczas, lecz zamilkł natychmiast, napotkawszy wzrok przyjaciela, jednoznacznie stwierdzający, jak kompletnym Mazur jest idiotą, proponując podobne rozwiązanie.

– Nie miałem pojęcia – rzekł pośpiesznie Bogusław Mazur, zgodnie z prawdą.

Zerknął na stertę papierów, leżącą na lewej stronie biurka.

Przed oczami stanęła mu kartka w notesie, z nabazgranymi niezrozumiałymi znakami, wśród których tylko cyfry miały jakiś sens.

Jeżeli to były kwoty, o których mowa, to, cholera jasna, w niezłe wdepnął bagno!

– Tego się obawiałem. – Młodzian westchnął. – Krótko mówiąc, przyszedliśmy po kolejną ratę. Jeśli jej nie dostaniemy, szef nas zajebie, ale możemy go udobruchać, jeśli wcześniej my zajebimy ciebie. Czy to jasne?

– Jaki szef?

– Nasz wspólny. Twój również.

– Nie znam żadnego szefa! – rzekł buńczucznie.

– To oczywiste – skomentował zdumiony młodzieniec. – Jeszcze by brakowało, żebyś go znał...

– Kopidole jeden! – dodał ten bez krawata.

– Żebyś go znał, kopidole jeden! – podchwycił posłusznie partner.

Bogusław Mazur milczał. Siedział na krześle, sztywny jak kolek, i szeroko otwartymi oczami spoglądał gdzieś w dal. Zapewne obaj bandyci sądzili, że to ich ostra reprimenda sparaliżowała zastraszonego przedsiębiorcę, byli jednak w błędzie.

Mazur wpatrywał się w uchylone drzwi, których nie zamknęli nieproszeni goście. Tam, w mroku, ktoś stał.

Dobrze wiedział kto.

– No to jak będzie? – zapytał bandyta w krawacie, nieco zbity z tropu przedłużającym się milczeniem. – Zapomniałem powiedzieć, że mój partner oprócz tego, że lubi krzywdzić ludzi, jest piromanem. Niejedną budę puścił z dymem. No nie, Jacek?

– Faktycznie – padła z tyłu odpowiedź.

– Ale mogę go powstrzymać. Jeśli będziesz rozsądny i grzecznie odpalisz swoją działkę za ochronę.

Cisza.

– Czy ty mnie, facet, słyszysz?! – wrzasnął zniecierpliwiony młodzieniec. – Ogłuchłeś czy

co?

– On... już... ma... – rozległ się basowy głos.

Głowy obu opryszków wykonały gwałtowny obrót. Pies Huckleberry, dotąd powarkujący lękliwie, teraz zaskowyczał, jakby go ktoś uderzył. Wcisnął się głębiej pod biurko.

– Ma... ochronę... – dokończyła stojąca w progu postać. Po każdym słowie następowała półsekundowa przerwa, jakby mówienie sprawiało przybyszowi trudność.

Bandyta stojący bliżej drzwi odskoczył jak oparzony. Jego kolega cofnął się o krok i demonstracyjnie zważył w dłoni śrutowego walthera.

– A tyś kto? – spytał. Nerwowo splunął na podłogę. Z antypatycznej twarzy zupełnie zniknęła poprzednia pewność siebie.

Przybysz potraktował pytającego jak powietrze. Wszedł do biura, zamknął za sobą drzwi, a następnie dwukrotnie przekręcił obrotowy zamek.

– Gerda... – wykrztusił jedno słowo, ale wszyscy zrozumieli o co chodzi. Zamki typu „Gerda” po dwukrotnym przekręceniu dawały się otworzyć tylko od zewnątrz. Niektóre towarzystwa ubezpieczeniowe ustaliły nawet zniżkę za pewność, że złodziej, który dostał się przez okno, nic przez drzwi nie wyniesie.

Bandzior nazwany przez swego towarzysza Jackiem wyciągnął z kieszeni nóż. Uwolniona sprężyna wypchnęła czternastocentymetrowe ostrze.

– Co to za popapraniec? – zwrócił się do Mazura.

Mówił prawie szeptem, przepadła gdzieś poprzednia arogancja, gdy nazywał gospodarza kopidołem. Nie sposób było nie dostrzec marmurowej cery niespodziewanego gościa, głęboko zapadniętych sinych oczodołów, a przede wszystkim oczu: prawie samych białek, poprzecinanych licznymi, krwawymi wylewami; tylko gdzieś spod górnych rzęs wyłaniały się czarne plamy źrenic, z cienką na milimetr tęczęwką – może dlatego wciąż miał opuszczoną głowę, patrząc na świat „spode łba”.

– To mój ochroniarz – podjął Bogusław Mazur.

Głos mu drżał, ale nie zamierzał darować skurwielom, choćby sam miał paść rozszarpany przez jakiegoś pieprzonego zombi.

– Jeszcze krok i strzelam! – wrzasnął bandyta z waltherem.

Zenon zwrócił ku niemu trupią twarz i zrobił zakazany krok.

Młodzieniec strzelił. Strzelał raz po raz, z czymś w rodzaju rozpaczki malującej się na twarzy, ponieważ przeciwnik zbliżał się, jakby walono doń ślepakami. Dwa ostatnie strzały, siódmy i ósmy, oddał mierząc w głowę, wyraźnie widział dwie ranki, jakie pozostawił śrut, jedną na czole, drugą na policzku, ale nie wyglądało na to, żeby na mężczyźnie zrobiło to jakiegokolwiek wrażenie. Nawet nie leciała krew.

Cofał się coraz bardziej, aż wreszcie dotknął plecami ściany. Ze ściśniętym gardłem, jak

zahipnotyzowany, wpatrywał się w makabryczne oblicze. Nagle potwór się zatrzymał. To Jacek przyskoczył ze swym sprężynowcem i z szerokim zamachem wbił go w plecy mężczyzny. Odsunął się i zamarł, czekając na efekt.

Z pewnością nie tego się spodziewał: Gadowski wciąż stał twardo na nogach, sprawiając wrażenie kogoś usiłującego przypomnieć sobie, co też dzisiaj miał kupić w tym sklepie. W końcu odwrócił się, powoli, bez pośpiechu, i błysnął spojrzeniem białych, przekrwionych oczu.

– Przyjechaliście... samochodem...?

Bandyta przytaknął gorliwie, nerwowo kiwając głową raz za razem.

– Kto... jest... kierowcą...?

– On! – Skwapliwie wystawiony palec wskazujący mierzył w przyklejonego do ściany kolegę.

– No... to... masz... szczęście... A... ty... pecha.

Woskowa dłoń pochwyliła klapy eleganckiej marynarki i przyciągnęła postawnego mężczyznę, jakby był szmacianym manekinem, nie człowiekiem z krwi i kości. Rozległ się wrzask, zagłuszający nieprzyjemny trzask łamanej kości.

Prawa ręka zwisała bezwładnie.

Potem drugi wrzask. Lewa.

Gadowski puścił swą ofiarę, która, jęcząc, osunęła się na podłogę. W zwolnionym tempie wykonał ponowny obrót, powracając niesamowitym spojrzeniem do pierwszego bandyty. Wbity w plecy nóż sterczał niczym jakiś makabryczny wieszak.

– Pistolet... – Wyciągnął przed siebie rękę.

Walther posłusznie spoczął w jego dłoni.

– Tobie... daruję... Jakoś... musicie... wrócić... samochodem...

Twarz bandyty w tej chwili dziwnie upodobniła się do twarzy prześladowcy, nabierając tej samej woskowo-sinej barwy. Wymruczał coś bełkotliwie, chyłkiem okrążył zwałistą postać i pochylił się nad półprzytomnym z bólu kumplem. Pomógł mu wstać, po czym podeszli do drzwi.

– Gerda... – przypomniał Gadowski i pokazał na okno.

Posłuchali bez słowa, eks-strzelec uchylił jedno skrzydło i po chwili obaj zniknęli w ciemnościach.

Z dworu dobiegał szmer przejeżdżających samochodów, a otwarte okienne skrzydło lekko postukiwało na wietrze.

Bogusław Mazur poczuł przebiegający przez plecy zimny dreszcz. Nie spuszczał z oczu mężczyzny, który nieoczekiwanie wybawił go z opresji. Zombi! – powtarzał w myślach jak zacięta winylowa płyta z dawnych gramofonów – Zombi! Wyglądało na to, że musi oswoić się z tą myślą.

Sam wygląd nieboszczyka nie budził w nim strachu ani odrazy. W swej karierze pracownika zakładu pogrzebowego przysposabiał do ostatniej na tym świecie podróży setki zwłok.

Wiele z nich było w znacznie gorszym stanie. Na przykład pewien topielec rok temu, który zaginął zimą, a odnalazł się dopiero w kwietniu. Łyżwy, które miał na nogach, zdążyły całkiem zardzewieć. W porównaniu do niego, ten tutaj był Bradem Pittem.

Prawdę mówiąc, Mazur uważał, że w przypadku Zenona Gadowskiego odwalił kawał solidnej roboty. Nie pożałował nawet płynnej gliceryny, którą wstrzyknął pod kości policzkowe, niwelując efekt zapadniętych policzków. Niejeden mąż, wracający po nocy do domu, prezentował się gorzej, mimo to jego żona wcale nie umierała ze strachu.

No! Tylko te oczy! Ale co tam. Zawsze można nałożyć facetowi ciemne okulary. Najlepiej lustrzanki.

Zorientował się, że rozważa sytuację z czysto zawodowego punktu widzenia. Może to i dobrze. Nie można dać się zwariować. Otóż to!

– I co teraz? – odważył się zapytać, wciąż woląc patrzeć w jednorazowy czarny garnitur niż w twarz zwalistej postaci.

– Mogę... zostać...?

Zaskoczony pytaniem Mazur mrugał nerwowo. Zniknęły dreszcze, dotąd uporczywie testujące nerwy czuciowe pleców.

– Czy ty wiesz, kim jesteś? – wydukał, usiłując powstrzymać ogarniającą go histeryczną wesołość.

– Wiem... – odpowiedział krótko zombi.

– Wydaje mi się, że jednak...

– To... dobre... miejsce... dla... takiego... jak... ja.

Mazur usiłował zebrać myśli. W jednej chwili odechciało mu się śmiać. Rodziło się pytanie, czy podobna propozycja jest w ogóle możliwa do odrzucenia?

Nagle uchylone okno otworzyło się szerzej. Nad parapetem pojawiła się ogolona „na szlachetkę” głowa.

– Zobaczmy, co powiesz na to! – wrzasnął bandzior, demonstrując beretę, którą wyjął z samochodowej skrytki. – To już nie śrutowa zabawka, pieprzony Frankensteinie!

Bogusław Mazur bez zwłoki rzucił się na ziemię. Ukryty za biurkiem, podrygiwał raz za razem, gdy padały kolejne strzały.

Wreszcie zapadła cisza.

Coś zaszurało i po dłuższej chwili odważył się wysunąć głowę nad blat biurka. Zombi stał przy oknie, z uniesionymi na wysokość piersi rękami. W zaciśniętych dłoniach trzymał coś, co przypominało szamoczącego się na huraganowym wietrze stracha na wróble, odzianego w modnie skrojoną marynarkę.

– Zenon, nie! – krzyknął Mazur, przypomniawszy sobie nagle pełne dane mężczyzny. Zenon Gadowski, urodzony 16 lipca 1952 roku, zmarły 22 sierpnia 2002 roku.

– Pan zobaczy, co on mi zrobił – poskarżył się zombi. Nieoczekiwanie zaczął mówić płynnie, choć nadal trochę niewyraźnie. Odwrócił się w stronę Mazura i bezlitośnie przeciągnął stracha na wróble przez parapet. Beretta wysunęła się z bezwładnej dłoni i upadła na podłogę.

Na piersi Gadowskiego znajdowało się kilka wielkich jak pięćdziesięciogroszówka otworów. Dziura w przestrzelonej dolnej szczęce osłaniała pogruchotane zęby, a z dziury pośrodku czoła wylewała się jakaś szarokrwista maź. Czego by nie powiedzieć o skowyczącym w tej chwili, oszalałym z przerażenia bandziorku – strzelcem był niezłym.

– Co mam zrobić z tym łajnem? – spytał zrozpaczony zombi.

– Puścić – rzekł pośpiesznie Mazur.

– Ale...

– Wszystko ci załatam. Naprawię. Nie takie szczątki składałem, nic się nie martw.

– Tak jest, szefie – powiedział Zenon Gadowski i puścił bandziorka, który jak bela krawieckiego materiału przetoczył się po parapecie i fajtnął na drugą stronę okna. – I przekaż swojemu capo di tutti capi, że w Słupsku niektórzy są nie do zajebania! – krzyknął w stronę kuśtykającej ku ulicy postaci.

– Frajerze jeden! – dodał Bogusław Mazur.

– Nie do zajebania, frajerze jeden!

WTOREK. Ul. Psie Pole.

Sen wstał i uderzył głową w sufit. Zabolało.

Znowu urósł. Pewnie liczył teraz jakieś trzy metry wzrostu, skoro nie mieścił się w wysokim pokoju.

Było ciemno, co przyjął z zadowoleniem. Jak wszystkie Sny, prowadził nocny tryb życia i nie przepadał za dziennym światłem. Przygarbił się, zahaczając przez nieuwagę o krzesło. Przewróciło się. Zamarł, prawie przekonany, że wszystko przepadło.

Bo gdy budzi się śniewak, wszystko przepada. Wszystko. Na szczęście podłogę pokrywał dywan, tłumiący wszelkie odgłosy; śniewak jedynie mruknął coś nieprzytomnie i odwrócił się na drugi bok. Spał dalej.

Uff.

Wszystko przez to, że śniewak spał nie w swoim łóżku; w nieznanym pokoju. Sen zauważył, że na tapczanie leży ktoś jeszcze.

Kobieta, z nogą wystającą spod kołdry po nagi pośladek. To ci dopiero! Nie pamiętał zbyt dobrze, kiedy ostatni raz widział śniewaka z kobietą, ale niejasno skojarzył, że wtedy również znacznie urósł. Prawdopodobnie te zdarzenia miały ze sobą coś wspólnego – faza REM była głębsza albo coś w tym rodzaju.

Ostrożnie postawił krzesło na miejsce. Zauważył, że na stole leży przewrócona puszka po piwie, stumililitrowa buteleczka po rektyfikowanym spirytusie, jedna butelka po koniaku i druga po jakimś tanim winie. Wszystkie puste. Niezła musiała być balanga.

Zerknął na śpiącą parę. Nic dziwnego, że śpią jak zabici.

Sen ruszył w drogę. Wędrówka była wszystkim, czego pragnął.

Bez niej istnienie traci sens. Przeniknął przez drzwi, spełził po sfatygowanych stopniach klatki schodowej i znalazł się na parterze.

Przez chwilę zbierał siły, szykując się do skoku. Parter mógł okazać się pułapką. Problem stanowił sąsiad, który również był śniewakiem. Zażywał barbiturany i to, co wychodziło z niego, kiedy spał, wcale nie było Snem. Nie za bardzo wiadomo, czym w ogóle było. Ludzie, którym udało się takie coś zobaczyć, opowiadali, że spotkali upiora. Nie było to do końca prawdą, ale – w przekonaniu Snu – oddawało po części istotę rzeczy. Na przykład fakt, że pożerało Sny.

Nie wyobrażał sobie, żeby miał w podobny sposób okaleczyć śniewaka. Nie wrócić. Zatrzymać płuca na wydechu, bez nadziei ponownego zaczerpnięcia tchu. Czy śniewak by umarł? Obawiał się, że tak. Sen mógł wrócić teraz, zaraz, bezpiecznie, ale to nie leżało w jego naturze. Zresztą, czym byłby wdech mieszaniny gazów z tak skromną zawartością tlenu? Tylko mechaniczną pracą biologicznego aparatu.

Skoczył. Bezszelestnie przemknął przez drzwi i znalazł się na ulicy. Było cicho. Spokojnie.

Nic za nim nie szło. W trawie na poboczu grały świerszcze. Sen spojrzał tęsknie w stronę ulicy Henryka Pobożnego i po chwili wahania potoczył się w tamtym kierunku. Musiał spróbować. Nie byłby sobą, gdyby nie spróbował.

Nie udało się. Jak zwykle. Na próżno rozpedzał się, skakał, pełził, turlał. Nie potrafił pokonać niewidzialnej bariery. Filtru przepuszczającego jedynie wybranych. Trudno. Był tylko Snem i nie potrafił się długo przejmować. Ruszył w przeciwną stronę, do parku, w którym o pewnej nocnej godzinie, nad Rybnym Stawem, niejedno można zobaczyć. Na przykład trzy maciory w ciąży, z tuzinem nabrzmiałych od mleka sutek, dmuchających w zaciętrzewieniu na nowiutki chlewik, w celu sprawdzenia, czy można podpisać protokół odbioru. Albo Jasia Fasolę gotującego w zawieszonym nad ogniskiem rondelku fasolkę po bretońsku.

Albo konstruującego peryskop Bazyliszka. Albo Czerwonego Kapturka poszukującego domu z czerwoną latarnią.

Albo... Ale mniejsza z tym.

Sen przystanął, ponieważ nagle zorientował się, że jest obserwowany. Nie wiedział jeszcze przez kogo ani skąd, ale czuł to wyraźnie. **KTOŚ GO WIDZIAŁ.**

Trudno zobaczyć czyjs Sen. Ho, ho. Naprawdę trudno. Trzeba trafić na wyjątkową chwilę albo samemu być wyjątkowym.

Wreszcie zlokalizował...

– Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony S. Wodnik.

Stał ze zmywakiem w rękach i czyścił akwarium. Na podłodze postawił rezerwowy zbiornik, w którym tłoczyły się ryby, wyjęte tymczasowo z przyjaznego środowiska.

– Nic specjalnego – uspokoił go Wielgus, nie odwracając się od okna. – Pod domem włóczy się Sen. Nigdy nie spotkałem takiego olbrzyma. Jego śniewak musi mieć wyjątkową wyobraźnię.

Zaciekawiony S. Wodnik odłożył gąbkę na krawędź akwarium i zbliżył się do okna.

– Nikogo nie widzę – rzekł zawiedziony.

– Na samym środku ulicy, idealnie pod nami.

– Nie widzę.

– Stań bokiem i zerknij kątem oka.

– O rany! – W oczach rozpromienionego mężczyzny mignęły iskierki. – Naprawdę go widziałem! Jakiś potwór!

Wielgus roześmiał się.

– Gdzie tam potwór, co ty opowiadasz? Twoje szare komórki dobudowały sobie obraz na podstawie migawkowego ujęcia. Nawet ja ledwie mogę doszukać się w nim konkretnego kształtu.

– O czym wy gadacie? – spytał przywiązany do krzesła Jędrzej Piekarski. Odzywał się, kiedy tylko miał ku temu okazję.

Twierdził, że nie wolno mu spać. Wręcz błagał, by chlusnąć nań wodą (może być z akwarium) w przypadku, gdyby zdarzyło mu się zasnąć.

– O teoremacie ducha – wyjaśnił S. Wodnik.

– Ducha? Jakiego znowu... – Niespodziewanie Piekarski skrzywił się, bezskutecznie próbując rozprostować członki. – Jeśli mnie nie rozwiążecie, umrę z braku krążenia krwi – poskarżył się.

– Trudno – stwierdził S. Wodnik.

Piekarski zaklął pod nosem i spuścił głowę.

– Co to za temat ducha? – zapytał po chwili.

– Teoremat. Trzypunktowy. Po pierwsze, każdy wierzy w duchy. Po drugie, jeśli nawet nie wierzy, to i tak się ich boi. Po trzecie, jeśli nie wierzy i się nie boi, zawsze trafi się sytuacja, kiedy będzie musiał sobie to powtarzać.

– Mam pewien pomysł – odezwał się nagle Wielgus. Wciąż stał przy oknie, przytrzymując firankę.

– Jaki? – zapytali równocześnie S. Wodnik i Piekarski.

– Mniejsza o szczegóły.

Wielgus odwrócił się i sięgnął po swoją skórzaną kurtkę. Przed wyjściem ostrożnie zajrzał do sąsiedniego pokoju, gdzie na drewnianym łóżku spała Magda Papisten.

– Pilnuj jej – polecił S. Wodnikowi. – I tego ancymona też. – Wskazał na Marchewę.

– Mnie nie trzeba pilnować, szefie – rzekł Piekarski ulegle. – Jak mniemam, zamierza pan załatwić Pożogę. Zrobię wszystko, co zechcecie, żeby tylko pozwolił mi pan skopać zwłoki skurwiela.

– Nie zamierzam nikogo załatwiać – stwierdził oschle Wielgus. – Są inne drogi, żeby osiągnąć cel.

– Inne drogi?! – zawołał zrozpaczony Marchewa.

Wreszcie zlokalizował obserwatora, a właściwie dwóch. Patrzyli z okna na piętrze. Jeden z nich, ten niższy, rzeczywiście był wyjątkowy. Drugi może coś widział, może nie, lecz wydawał się nieszkodliwy. Nie jak tamten, ani na moment nie spuszczaający go z oczu. Zaniepokojony Sen doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, odchodząc. Nad Rybnym Stawem może nie jest bezpieczniej, ale przynajmniej ciekawiej. Podskakując miękko na kocich łbach ulicy Psie Pole, potoczył się w stronę parku.

– Cześć – powiedział Paszczak. Siedział z wędką nad brzegiem stawu i łowił ryby. Przynajmniej na to wyglądało, bo stojący obok kosz był pusty. – Nie widziałeś Włóczykija?

– Nie – odpowiedział Sen. – A kto to?

– Nie znasz Włóczykija?

– Nie.

– Coś ty? – Paszczak zamrugał. – Z choinki się urwałeś? Sroce spod ogona wypadłeś?

– Spadłem z Księżyca – wyjaśnił Sen.

– Rozumiem. – Paszczak pokiwał głową. – To wiele tłumaczy.

Zamyślił się. Przez długi czas tkwił nieruchomo, nie dając znaku życia, a księżycowy blask kładł dziwaczne cienie na jego hipopotamiej skórze. Sen czekał cierpliwie.

Wreszcie Paszczak ocknął się.

– Wybacz – rzekł. – My, filozofowie, mamy bogate życie wewnętrzne. O czym to mówiliśmy?

– O Włóczykiju.

– Rzeczywiście. Ty to masz dobrą pamięć – stwierdził z podziwem. – Otóż – podjął – Włóczykij jest najmądrzejszą osobą, jaką znam. Prawie nigdy nic nie mówi. A w dodatku... – Paszczak ściszył głos. – W dodatku podejrzewam, że jest człowiekiem.

– Człowiekiem? – powtórzył zdumiony Sen. Zakołysał się i przez moment wyglądał jak wirujący rój czarnych pszczoł.

– Tak, tak – potwierdził z tryumfem Paszczak. – Doszedłem do tego metodą dedukcji. Przyznasz, że to nowatorska hipoteza?

Sen przytaknął.

– Więc go nie widziałeś?

– Od miesięcy nie widziałem nikogo mądrego – powiedział Sen.

Na chwilę zapadła pełna wyczekiwania cisza. W oddali chórem kumkały żaby, ale zaraz ucichły, jakby coś je spłoszyło.

– A ja? – spytał Paszczak.

– Co: ty?

– No wiesz... Nie wydaję ci się mądry?

– Nie – wyznał Sen.

– Hm... – Paszczak się zasmucił. – To pewnie przez to, że tak dużo gadam?

– Możliwe.

– Nie potrafię się powstrzymać.

– Nie przejmuj się – powiedział Sen. – Nikt nie jest doskonały. Ja na przykład za każdym razem, gdy wychodzę na świat, próbuję wydostać się z Psiego Pola. Niby wiem, że to niemożliwe, ale pragnienie jest silniejsze ode mnie.

– Za każdym razem? – upewnił się zaciekawiony Paszczak. – Bardzo ciekawe. Bardzo. A propos, czy wiesz, że Włóczykij wędruje, gdzie chce i kiedy chce?

– Przecież mówiłeś, że jest człowiekiem.

Paszczak nie zmieszał się ani trochę. Jakby znów posmutniał, ale się nie zmieszał.

– No wiesz, on jest stary. Nie chodzi mi o wiek, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem – powiedział Sen. – Sam jestem stary.

– Jak dom i ognisko.

– Właśnie.

Paszczak westchnął tęsknie.

– Zazdroszczę ci – rzekł i powiódł spojrzeniem po rozgwieżdżonym niebie.

– Może kiedyś będziesz stary – pocieszył go Sen. Po tym, jak bez ogródek przyznał, że nie dostrzega w swoim rozmówcy mędrca, bardzo chciał powiedzieć mu coś miłego.

Z daleka dobiegło przeciągłe buczenie, przypominające sygnał z okrętowej syreny lub myśliwskiego bawolego rogu. Nad Rybnym Stawem niespodziewanie pojawiły się rzadkie kłęby mgły. Zaszumiały liście drzew.

– Zrobiło się chłodno – powiedział Paszczak. Odłożył wędkę i potarł rękami ramiona.

– Być może – odparł Sen. – Trudno mi rzetelnie wyrokować, jeśli w grę wchodzi fizyczne parametry, niemniej wydaje mi się, że twoje dreszcze są nie tyle skutkiem niskiej temperatury, co strachu.

Paszczak znów znieruchomiał, z zamyśleniem w oczach.

– Wiesz, że możesz mieć rację? – przyznał poniewczasie. – Ale... Czego ja się boję?

– Tego buczenia.

Jak na potwierdzenie, bawoli róg (syrena?) odezwał się ponownie.

– Rzeczywiście boję się – szepnął Paszczak. – Serce bije mi niczym dzwon. Jak mogłem tego nie zauważyć?

Sen nic nie odpowiedział. Spoglądali na przeciwny brzeg stawu, gdzie sitowie kołysało się w rytm chlupoczących fal, głaskanych wzmagającym się wiatrem. Noc wydawała się tam ciemniejsza, nadbrzeżne krzaki gęstsze.

– Lepiej stąd odejść – rozległ się z tyłu czyjś głos.

Odwrócili się równocześnie.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rzekł mężczyzna w skórzanej kurtce. – Ale to bardzo nierozsądne z waszej strony tak stać tutaj, podczas gdy zbliża się coś groźnego.

– A co mamy robić? – spytał Paszczak.

– W takich sytuacjach są dwa wyjścia. Można schować się w krzaki i obserwować, co z tego wyniknie, albo oddalić się w bezpieczne miejsce.

– Wolę się oddalić – oświadczył bezzwłocznie Paszczak.

– Wolę schować się w krzaki – powiedział Sen.

– Też bym wolał w krzaki – powiedział mężczyzna, wpatrzony w rozedrganą ciemność Snu.

– Ale pragnę z panem porozmawiać w spokoju, więc chyba przychylę się do propozycji

Paszczaka.

Sen przysiadł, rozpląszczył się na trawie, przybierając kształt do złudzenia przypominający sylwetkę leżącego człowieka, lecz wyolbrzymioną ponad wszelką miarę.

– To pan obserwował mnie z okna! – syknął.

– O co chodzi? – zainteresował się Paszczak.

– On jest normalnym człowiekiem.

– O, wypraszam sobie! – zaprotestował stanowczo Wielgus. – Absolutnie sobie wypraszam!

– Nie jest pan? Słowo honoru? – wtrącił się Paszczak.

– Słowo. Jak inaczej mógłbym zobaczyć Sen?

– To jest Sen? – Paszczak uważnie przyjrzał się zalegającej na trawie plamie. – Rzeczywiście wygląda nierealnie – mruknął.

Niepokojące buczenie rozległo się całkiem blisko; już nie kojarzyło się z okrętową syreną ani z echem bawolego rogu. Nie przypominało niczego, co znali. Nawet Sen podskoczył, rozprostował macki i zakołysał się niespokojnie. Cała trójka patrzyła na staw. Księżycowa poświata, która wcześniej bez przeszkód odbijała się w wodzie długą wstęgą, teraz nikła w gęstniejących fałdach mgły.

– Uciekajmy! – zawołał przerażony Paszczak. Chwycił swoje puste wiadro i już go nie było.

– A my? – zapytał Wielgus.

– Nie ma mowy – sapnął Sen, wpatrzony w nieregularne mgielne czapy, unoszące się nad wodą niczym baśniowe powietrzne statki. – To zbyt pociągające. Nigdy bym sobie nie darował, gdybym teraz odszedł.

Stali na pustym brzegu, cichym jak plaże oceanicznych lagun przed miliardami lat, nim życie wyszło na ląd. Wiatr ucichł, powietrze stało nieruchomo. Przy wydechu, z ust Wielgusa wydobywał się obłoczek pary wodnej; Paszczak miał rację, ochłodziło się znacznie. Sen w milczeniu na przemian rozkładał i składał fraktalowe macki.

Wyłoniła się z za drzew, którym niemal dorównywała wzrostem. Dostojna, szaroperłowa, lecz równocześnie jakby fosforyzująca fioletowawym blaskiem. Mimo że prezentowała się dość niezgrabnie – jak wyciosana dłutem ludowego artysty – nie wyglądało na to, by łamała drzewa czy gniołła krzaki; poruszała się z gracją niesionego powietrznym prądem ptaka.

Dostrzegła ich. Zatrzymała spojrzenie swych talerzowych oczu tylko na moment i wtedy – zarówno Wielgus, jak i Sen – wiedzieli już, że nie zdołają się poruszyć, póki Ona litościwie im na to nie zezwoli. A może zabierze ze sobą? Zbliżyła się do stawu i pochyliła. Piła długo, aż woda wyraźnie opadła, odsłaniając zamulony brzeg i pędy pognitych szuwarów. Powietrze przeszywała seria delikatnych trzasków – to lustro stawu pokrywało się cienką, lodową taflą.

Gdy skończyła, podniosła się ociężale, a z kącików jej bezwargich ust na ziemię spadały sople. Jeszcze raz spojrzała na przeciwny brzeg Rybnego Stawu, na osamotnione kamienne

postacie człowieka i Snu. Coś błysnęło w groźnych oczach, może zdziwienie na widok tak niezwykłego tandemu, może akt łaski. Potem odwróciła się i odeszła tam, skąd przybyła, zabierając ze sobą chłód i mgłę.

Sen i Wielgus jeszcze przez jakiś czas tkwili w trwoźnych kokonach. Dopiero oddalający się okrętowy bas przywrócił im równowagę ducha.

– Była piękna – powiedział rozmarzony Sen.

– Tak – zgodził się Wielgus.

– I straszna.

– Przerazająca.

– Jak dobrze, że zostaliśmy.

Wciąż spoglądali ponad staw, w miejsce gdzie zniknęła monumentalna postać. Powrócił łagodny wiatr, na drzewach zaszumiały liście. Jakaś ryba plusnęła ogonem. A może to żaba skoczyła na topniejące lodowe szkło?

– Łowił bez haczyka – powiedział Wielgus, wskazując porzuconą przez Paszczaka wędkę, której krótka żyłka leżała na świeżo odsłoniętym czarnym mule. – Nic dziwnego, że miał puste wiadro.

– Można się było tego spodziewać. Nie sędzę, żeby Paszczaki jadły ryby. Zamierzał raczej upodobnić się do osoby, którą nazywał Włóczykijem.

– Każdy ma marzenia – zauważył Wielgus. – Nawet Sny, choć właśnie z marzeń i lęków są utkane.

– Wie pan coś o tym?

– Owszem. Znam nawet pewien Sen, który pragnie zwiedzić rodzinne miasto swego śniewaka.

Sen westchnął.

– To ja – skonstatował. – Czy... – przerwał, niecierpliwie przemieszczając swą masę dookoła geometrycznego środka. – Czy właśnie o tym chciał pan ze mną porozmawiać?

– O tym, drogi panie.

– Proszę mi mówić per ty – rzekł Sen.

– Z przyjemnością.

– Czy i ja mogę?

– Niestety, nie – odparł Wielgus, zaznaczając smutnym wyrazem twarzy, iż sam jest tym faktem zmartwiony. – Zajmuję zbyt odpowiedzialne stanowisko.

– Proszę mi wybaczyć – stropił się Sen. – Nie wiedziałem.

– Nic nie szkodzi. Wracając do tematu, chciałbyś latać?

– Poważnie?

– Jak najbardziej.

– Jasne! Gdy śniewak był mały, fruwałem często, potem się skończyło, nie mam pojęcia dlaczego. – W głosie Snu brzmiała nostalgia. – Sądzi pan, że to jest jeszcze możliwe?

– Ja to wiem – oświadczył Wielgus. – Jeśli jesteś zainteresowany, proszę za mną.

Ruszyli w stronę ulicy Psie Pole.

– Zagrać panom na bębnie? – zaproponował kolorowo umundurowany doboasz, popychający inwalidzki wózek z ołowianym żołnierzkiem.

– Bardzo dziękujemy – odpowiedzieli równocześnie. – Może innym razem.

Kiedy weszli do kamienicy przy Psim Polu 7, drzwi do jednego z mieszkań na parterze otworzyły się zniemacka. Wielgus skoczył pod ścianę. Jego lewa ręka błyskawicznie powędrowała do kieszeni kurtki, w której trzymał odzyskany od Magdy Gnat.

– Niech pan nie strzela – powiedziała stojąca w bladym świetle staruszka.

Mimo podeszłego wieku musiała mieć wzrok sowy, skoro w mroku dostrzegła nie tylko postać mężczyzny, ale i ruch, który wykonał.

– Nie sądzę, żeby to coś dało – dodała zagadkowo.

– Bardzo przepraszam – rzekł speszony Wielgus. – Przez chwilę zdawało mi się, że to ktoś inny. Naprawdę bardzo przepraszam.

– Nie szkodzi – odparła kobieta. – Ja również sądziłam, że pan to nie pan.

– Myślała, że to ktoś z Hadesu – powiedział Sen, z niepokojem wpatrując się w drzwi położone dokładnie po przeciwnej stronie korytarza.

– Myślałam, że to ktoś z Hadesu – powtórzyła staruszka, choć po jej zachowaniu było widać, że nie tylko nie słyszała niewidzialnego suflera, ale również nie domyślała się jego istnienia.

Pokiwała smutno głową i zamknęła drzwi.

– Na co tak patrzysz? – zapytał Wielgus swego towarzysza.

– Na tamto mieszkanie. Kiedyś wyszedł stamtąd Pożeracz Snów.

– Ajajaj! – skwitował Wielgus. – To bardzo dobrze.

Sen spojrział na niego z niemym wyrzutem.

– Chodzi o to, że przy okazji możesz pozbyć się swego wroga – wyjaśnił nie speszony Wielgus.

– Pozbyć się? – W głosie Snu brzmiało niebotyczne zdumienie.

– No... pożreć go. Czy to nie wspaniałe pożreć Pożeracza Snów? Odwrócić kota ogonem?

– Nic nie rozumiem.

– Bo nie wiesz, jak działa TO. – Wielgus wyjął rękę z kieszeni i otworzył dłoń. Gnat rzucał w ciemnościach delikatną poświatę.

– Chodźmy do mnie. Poznasz paru przyjaciół i kilka istotnych szczegółów.

Magda Papisten, S. Wodnik i Marchewa bezskutecznie przeszukiwali wzrokiem przestrzeń pokoju. Wielgus od kilku minut prowadził monolog przypominający telefoniczną rozmowę.

– Potrafisz to utrzymać?

W zdumieniu obserwowali, jak przedmiot przypominający mózdzierzowy tłuczek unosi się w powietrzu. S. Wodnik od jakiegoś czasu wykręcał głowę, usiłując dostrzec kątem oka istotę, z którą rozmawiał Wielgus, ale wszelkie próby kończyły się fiaskiem.

– Dzięki Gnatowi będziesz mógł wydostać się z Psiego Pola.

Staniesz się kimś innym, zachowując jednak część prawdziwego siebie. To zależy od kilku szczegółów, z których najistotniejszym jest, jak zacieklego i zdeterminowanego masz wroga. I czy naprawdę chce cię zniszczyć. Własny śniewak nic takiego ci nie wyśni, tu jest potrzebny ktoś z demonią jaźnią. Jak rozumiem, sąsiad z dołu jest takim właśnie śniewakiem?

– Ale twój śniewak musi się zgodzić. To oczywiste, że bez jego udziału nie damy rady.

– Tak jest. Właśnie chodzi o to, żeby po przebudzeniu pamiętał naszą rozmowę. Jesteś pewien, że możesz sprawić, żeby ją pamiętał?

– Zatem przekaz mu, że wieczorem zjawi się u niego niejaki S. Wodnik, żeby uzgodnić warunki dalszej współpracy. Załatw to, Śnie, a wreszcie wyrwiesz się z Psiego Pola. Obiecuję ci to.

– Panie Piekarski? – niespodziewanie Wielgus pozostawił swego niewidzialnego i niesłyszalnego rozmówcę, i zwrócił się do Marchewy.

– Tak? – podjął ochoczo więzień.

– Może pan wrzasnąć znienacka?

– Wrzasnąć?

– Właśnie, no wie pan, tak: AAA!

– AAA! – ryknął Marchewa.

– AAA! – Andrzej Domżański obudził się z krzykiem.

– Spokojnie. To tylko sen – powiedziała Izabela Radtke, czule gładząc włosy kochanka.

WTOREK. UL. Szarych Szeregów.

– Ulica nie jest zablokowana – oznajmił Bogusław Mazur, skręcając z Mostu Kowalskiego w prawo.

Zapadał zmierzch i akurat włączały się latarnie, rzucając koralowy blask na dość szeroką w tym miejscu rzekę.

– Doskonale.

Zombi siedział z tyłu. Na głowie miał czapkę bejsbolówkę z daszkiem mocno naciągniętym na czoło w celu zacienienia felerów twarzy. Dodatkowo twarz maskowały przeciwsłoneczne okulary, nazywane lustrzankami. Spoglądał na drugą stronę rzeki, gdzie na trawnikach stało wiele samochodów, w większości oznakowanych napisem „POLICJA”.

– Prawdę mówili w radiu, od niebieskich aż się roi.

Funkcjonariusze rozstawili się wzdłuż mocno niekompletnego w tym miejscu obronnego muru. Prawdopodobnie postawiono na nogi wszystkie, tak zwane ludzkie, rezerwy. Im bliżej Baszty Czarownic, tym policjantów było mniej, a niektórzy leżeli w trawie, nie zważając na wieczorną rosę.

Mazur jechał powoli, dostrzegając radiowóz przy sądzie, a drugi przy wylocie na Most Zamkowy. Przejazd był wolny, ale widać ulicę patrolowano – w końcu od miejsca, gdzie zabarykadowali się terroryści, oddzielała ją tylko rzeka Słupia i pas zieleni.

– O co ci konkretnie chodzi? – zapytał Mazur, żałując, że dał się namówić na tę eskapadę.

Gadowski westchnął ciężko. Zdjął czapkę i otarł z czoła niewidzialny pot. Niewidzialny, gdyż zważywszy na stan doczesnych szczątków, cokolwiek mógł wydzielać, to z pewnością nie pot. Ale odruchy pozostały.

– Sam nie wiem – przyznał. – Jednak przyznałeś mi rację, że niemożliwe, aby te dwa zdarzenia, morderstwo w muzeum oraz terroryści w baszcie, nie miały ze sobą nic wspólnego. Kimkolwiek była osoba podająca się za panią Witkacy, pewnie jest właśnie tam! – Pokazał na wieżę. – Boję się, że dopadła tę małą Papisten i przetrzymuje jako zakładnika. Słyszałeś, że w radio mówili o zakładnikach...?

– Słyszałem – potwierdził Mazur. – Ale dlaczego akurat Papisten?

– Bo to o nią chodziło wtedy w muzeum, nie o żadną kradzież.

Teraz to rozumiem. Zawiodłem. Powinienem być bardziej czujny, po to przecież mnie tam postawiono.

– Nie miałem pojęcia, że wyrzuty sumienia potrafią przetrzymać zgon – zauważył filozoficznie Mazur. – No dobra – spoważniał. – Co teraz? Nie mogę tu stanąć. Widzisz radiowóz?

Jeszcze tylko brakuje, żeby nas zatrzymali i spojrzeli w twoje cudowne oczy.

Zombi pokręcił smutno głową i z powrotem nałożył czapkę.

Dojeżdżali do ulicy Sądowej, prawie vis-a-vis baszty. Mazur włączył kierunkowskaz i skręcił.

– Mogę zrobić jeszcze jedno kółko – rzekł. – Ale nie więcej.

Nie możemy zwracać na siebie uwagi.

Sądowa była krótką przecznicą, łączącą równoległe ulice Szarych Szeregów i Partyzantów. Gdy byli u jej wylotu, Gadowski wzdrygnął się nagle i przypadł do szyby.

– Stój! – Po raz pierwszy, odkąd opuścił kaplicę, udało mu się podnieść ton grobowego głosu.

Zdezorientowany Mazur skręcił na chodnik i zatrzymał się.

Ulicą Partyzantów podążała grupka ludzi. Dwóch mężczyzn i kobieta.

– To ona – szepnął radośnie zombi.

– Kto?

– Jak to kto?! – Gadowski otworzył drzwi. – Pani Magdo! – zawołał.

Idący zatrzymali się. Wyższy mężczyzna, z włosami jak siano, ubrany w zielony uniform, energicznie sięgnął do kieszeni. Drugi, widząc to, powstrzymał go uspokajającym gestem.

– Pan Zenon? – zdziwiła się Magda Papisten. – To pan żyje?

Powiedzieli...

Mimo że w jej głosie brzmiała radość z niespodziewanego spotkania, to jednak twarz rozpoznała się tylko trochę. W dodatku wydała się Gadowskiemu jakaś... starsza?

– Hmm... Można tak powiedzieć – odparł zmieszany. Pochylił głowę, aby daszek czapki bardziej osłonił twarz. – Jak pani widzi, jestem cały...

Ledwie powstrzymał się, żeby nie dodać: „i zdrowy”.

– A to kto? – Groźnym ruchem zwrócił się w stronę towarzyszy dziewczyny.

– Przyjaciele – uspokoiła go.

– Na pewno? – warknął nieufnie.

– Nazywani się Wielgus.

Niższy z mężczyzn wyciągnął przyjaźnie dłoń. Po chwili wahania Zenon ją uścisnął i wtedy przez twarz Wielgusa przebiegł jakiś skurcz. Zaniepokojony Gadowski cofnął się. Przez moment mierzyli się spojrzeniami i zombi zrozumiał, że ten człowiek dobrze wie, kogo ma przed sobą. Oczekiwał gwałtownej reakcji, lecz mężczyzna chrząknął tylko i nic więcej nie dał po sobie poznać. Niespodziewanie minął Zenona i otworzył drzwiczki samochodu.

– Musicie nam pomóc – powiedział do zaskoczonego Bogusława Mazura.

Przez krótką chwilę panowała cisza, rozpraszana jednostajną pracą silnika.

– Oczywiście – odpowiedział za przedsiębiorcę Gadowski. – Przyjaciele Magdy są naszymi przyjaciółmi. Wsiadajcie!

– Nie, nie – zaprotestował Wielgus. – Nie potrzebny nam samochód. Przy rzece mamy podkop, chcę, żebyście odwrócili uwagę policji.

– Zamierzacie zabrać dziewczynę do baszty? – momentalnie domyślił się Gadowski. Wyprostował się gniewnie. – Oszaleliście?! Przecież tam...

– Tak trzeba, panie Zenku – odezwała się Magda. – Tak naprawdę trzeba.

Gadowski zdał sobie sprawę, że odsłonił się za bardzo i jego twarzy nie zaciał już daszek czapki. Na szczęście wieczór był późny, latarnia dość daleko, zatem Magda nie dostrzegła niczego niepokojącego w jego wyglądzie.

– W takim razie idę z wami – oświadczył były strażnik Muzeum Pomorza Środkowego. – Szef sam poradzi sobie z odwróceniem uwagi gliniarzy.

– Czy nikt nie zapyta mnie o zdanie? – zainteresował się Bogusław Mazur.

WTOREK. Ul. Francesco Nullo, Baszta Czarownic.

– Na pamięć Red Hooda! – zaklął Pożoga, zrywając się z krzesła i podrywając na wpół śpiących towarzyszy. Włosy miał potargane, wytrzeszczonymi oczami wpatrywał się w wystawową szybę wychodzącą na osiedle Michała Mostnika.

Baron i Krzywiec podążyli za jego wzrokiem, obaj na pograniczu paniki, poważnie wystraszeni krzykiem. Być może Krzywiec miał jakieś wspomnienie z dawnych czasów, lecz Poldek do tej chwili nie słyszał czegoś takiego w głosie Pożogi. Strachu?!

I skąd taka gwałtowna reakcja?

Na próżno gapili się w okno. Nie widzieli nic, co mogłoby wydać się choć trochę podejrzanym, pomimo że teren wokół baszty był doskonale oświetlony licznymi reflektorami, rozstawionymi przez policję.

– Coś się stało? – spytał półgłosem Krzywiec, uświadamiając sobie, że nieopatrznie wystawili się policyjnym komandosom, ukrytym w oknach bloku. Jakoś nie dowierzał zapewnieniom Pożogi, że dopóki mają zakładników, są nietykalni.

– Gryf – wychrypiął Pożoga i cofnął się w cień ceglanego okiennego wykuszu, wysokiego na ponad dwa metry i sięgającego do samej podłogi. Głowę miał uniesioną, na przystojnej twarzy wciąż malowało się niedowierzanie.

– Co takiego?!

– Nie widzicie gryfa? Kołuje nad basztą.

Poldek zbliżył się do okna. Z zewnątrz musiał być widoczny jak na dłoni, ale Krzywiec nie zwrócił mu uwagi, po krótkim wahaniu uznając, że nie jego to problem.

Nigdzie nie było żadnego gryfa.

– Na górę! – krzyknął Pożoga i rzucił się ku schodom. – Ty, Poldek, zostajesz. Pilnuj drzwi!

Krzywiec bez wahania podążył za szefem, zachowując na tyle przytomności umysłu, że zgarnął ze stołu RGO-88. Zdezorientowany Poldek obracał głowę, popatrując to na wbiegających po schodach wspólników, to na teren za oknem. Za grosz nie miał pojęcia, o co chodzi. Coś się działo. Ale co? Tamci uciekali, a on ma zostać. Dlaczego? W jego umyśle powoli zaczęło narastać straszliwe podejrzenie, że oto stał się czymś w rodzaju kozła ofiarnego.

„Zostałeś wyrolowany”, powiedział z drwiną głos w jego głowie.

Był to głos ojca, dawno już nieżyjącego, lecz odzywającego się od czasu do czasu, co i tak było lepsze od tego, co wredny pierdziel wyrabiał ze swym synem za życia, póki ten nie dorósł i nie stał się równie wredny.

Wciąż nic nie widział za oknem, ale nagle USŁYSZAŁ. Trzasnęło szkło i zimny powiew zakręcił zatechłym powietrzem. Poldek skulił się, prawie przykleił do ściany. Strach ścisnął mu żołądek. Rozbieganymi oczami obserwował otoczenie, ale nie dostrzegał niczego, co mogłoby

wytłumaczyć poczucie potwornego zagrożenia, które nagle nim zawładnęło.

Szyba popękała w kilku miejscach, jakby ktoś rzucał w nią kamieniami, ale wciąż trzymała się rami. To nie stamtąd wiało zimnem. Dostrzegł biały nalot na oknie, intensywniejszy w miejscach pęknięcia. Przypominało to szadź, jaka gromadziła się w pewnej działkowej altance, w której spędzili kiedyś z Baronem kilka zimowych nocy. Ale wtedy był styczeń, nie sierpień.

Poldek zadrżał – mimo wszystko bardziej chyba ze strachu niż z zimna. Czuł czyjąś obecność. Obecność czegoś bardzo, ale to bardzo nieprzyjemnego, co jakimś niepojętym sposobem wdarło się do baszty. To coś znajdowało się tuż obok niego. Czuł na sobie lodowaty oddech.

Jak powiedział Pożoga? Gryf? Co to za cholera, ten cały gryf?!

Nagle świat zawirował i dusza okręciła się wewnątrz skamieniałego z przerażenia właściciela. Poldek osunął się na podłogę, tracąc świadomość. Nigdy nie miał się dowiedzieć, że ta reakcja wątłego organizmu, będąca w istocie chwilą ekstremalnego tchórzostwa, uratowała mu życie; gdyby nie zemdlął ze strachu, zapewne strzeliłby na oślep z pistoletu. A strzelanie do gryfa – obojętnie, na oślep czy też nie – zawsze jest ostatnią czynnością, jaką człowiek jest w stanie wykonać w swoim życiu.

W Baszcie Czarownic zapanowała cisza. Mogłoby się wydawać, że jest wymarłą ruiną, do której od lat nie zaglądał nikt prócz upiorów.

W pewnej chwili z dziury po sęku w podłogowej desce wyłonił się szary łąpek. Małe, koralikowe oczka bystro zlustrowały pomieszczenie. Szczur był głodny i tęsknił za Izabelą Radtke. Jego gryzoni mózg nie był w stanie matematycznie określać czasowych interwałów, ale niezawodnie informował o jednym: upłynęło bardzo dużo czasu, odkąd soki żołądkowe miały okazję podjąć naturalnie przeznaczoną im funkcję.

Dotąd szczur nie miał odwagi opuścić swojej podpodłogowej norki; wciąż słyszał obce, nieprzyjemne głosy, a zwierzęcy instynkt ostrzegał go, że nie należą one do ludzi pokroju Izabeli Radtke, która od lat doskonale wiedziała, kto mieszka pod deskami, i po początkowym okresie nieufności (trutki i stalowe zapadkowe pułapki, na które stary wyga nie dał się nabrać) zaakceptowała małego towarzysza. Antypatia zamieniła się w przyjaźń.

Kilka razy tańczyli nawet przy świetle księżycy, gdy z tranzystorowego radia płynęła muzyka Glena Millera.

Gryzoń zastrzygł wąsikami i podreptał wzdłuż ściany. Czarny nosek podrygiwał, węsząc za okruszkami. Nagle szczur zatrzymał się. Uniósł pyszczek i syknął ostrzegawczo, równocześnie wykonując drapieżny ruch uzbrojoną w pazury łapką. Pisnął przeraźliwie, gdy niewidzialna siła pochwyciła go ku górze, skręciła niczym wyżymaczka. Wisiał dobre półtora metra nad podłogą, szamocząc się konwulsyjnie, jak owad złapany w pajęczą sieć.

Po chwili przesunął się kilkadziesiąt centymetrów w dół, łagodnie szybując, a jego ruchy

stały się mniej zdecydowane. Niemniej drżał co jakiś czas, ale nie spadał na podłogę, jakby zawieszony na niewidzialnej żyłce.

Niespodzianie gdzieś z dołu dobiegł odgłos uderzenia – odskoczyła podłogowa deska, wzbijając mały tuman kurzu. W otworze pojawiła się czyjaś dłoń, wyciągnęła z poluzowanych legarów następną deskę.

– Nie ma nikogo – szepnął Zenon Gadowski, obracając głowę jak peryskop. Wydobył się z piwnicy i brudnymi od kurzu palcami przetarł lustrzanki, nie zadając sobie trudu zdjęcia ich z nosa.

– O cholera!

– Co? – dobiegło spod nóg pośpieszne pytanie.

– Ktoś leży w kącie. Chyba trup!

– To nie Pożoga – stwierdził Wielgus, wychylający się tuż za zombi. Mówił cicho, z niepokojem rozglądając się po pomieszczeniu.

– A to co takiego? – Gadowski zsunął okulary na czoło. Upiornie białe oczy zdawały się fosforyzować w mroku.

– O jasny gwint! – powiedział Wielgus, dopiero teraz dostrzegając zawieszonoego w powietrzu szczura.

Schował głowę, znikając w piwnicznej ciemności.

– Wysyłaj SMS-a – zawołał szybko do S. Wodnika, trzymającego w ręku telefon komórkowy. – Pośpiesz się!

Klawiatura i mały ekranik błysnęły w mroku zielonożółtym światłem.

– Szybciej. Co z tym SMS-em? – dobiegł z góry zaniepokojony szept Gadowskiego. – Jezus Maria! To przecież gry...

– Pobudka! – Izabela Radtke odrzuciła swoją nokię, nie odczytawszy nawet informacji. Treść była nieważna, liczył się sam fakt otrzymania wiadomości.

„Najbardziej zależy nam na czasie” – tak jej powiedziano i nie widziała powodu, by nie traktować tego poważnie. – „Musisz obudzić Andrzeja zaraz, jak tylko otrzymasz SMS-a. I to skutecznie, choćbyś miała prać go po pysku. Jeśli spóźnisz się choć pół sekundy, ktoś z nas zginie. Może nawet wszyscy”.

Nie musiała stosować drastycznych metod. Wystarczyło, że energicznie potrząsnęła ramieniem mężczyzny i dla pewności wrzasnęła mu wprost do ucha:

– A AA!

Przerażony Andrzej Domżański usiadł na tapczanie, wodząc wokół nieprzytomnym wzrokiem. Świadomość ledwie przebijała się przez końską dawkę środków nasennych, jaką mu zaaplikowano. Izabela ugryzła kochanka w ucho, upewniając się, że rzeczywiście się obudził, po czym ostrożnie wyjęła z jego ręki zimny jak bryłka lodu przedmiot. Teraz mogła już to zrobić –

potrzebny był tylko we śnie. Gnat. Podobno nazywał się Gnat. Magiczny artefakt. Nie wiedziała, do czego służy, ale z pewnością był magiczny. Czuła to. Widziała niespokojny sen Andrzeja, gdy ścisnął go w dłoni.

„Lepiej nie trzymaj go przy sobie!”.

Odłożyła paskudztwo na stół i popatrzyła na pęczek leżących tam kluczy. Wszystkie trzy były identyczne; wcześniej przyglądała się im dokładnie i nie dostrzegła najmniejszej różnicy. Gdyby nie to, że na jednym postawiła mikroskopijną kropkę flamastrem, nigdy by nie poznała, który jest właściwy.

„Nie wolno ci ich pomylić” – oświadczył przed godziną S. Wodnik, zabawny sąsiad, naprzeciwko którego mieszkała od lat, a z którym do dzisiaj wymieniała zaledwie zdawkowe „Dzień dobry”. Gdyby S. Wodnik nie wrócił do rana, miała wejść do jego mieszkania i uwolnić z więzów mężczyznę, który się tam znajdował.

„Nazywa się Piekarski. Nie powinien zrobić ci krzywdy, ale lepiej uważaj”.

Obiecała również, że zaopiekuje się rybkami.

– To przecież gryf!

Towarzystwo zgromadzone w piwniczce pod Basztą Czarownic wstrzymało oddech. Z rozpaczą spoglądali w górę, w szarą plamę otworu prowadzącego z wykopu do wnętrza baszty. Wśród ciszy nagle coś uderzyło w podłogę.

– Zenon! – zawołał zaniepokojony Wielgus.

Wbrew obawom w dziurze pojawiła się twarz zombi.

– Co tak stoicie? – zapytał zadowolony Gadowski. – Przecież wszystko idzie zgodnie z planem.

Był to jeden z nielicznych w historii cywilizacji przypadków, gdy podobne oblicze wzbudziło ulgę zebranych.

– Myśleliśmy, że już po tobie.

– Przez chwilę też tak myślałem – przyznał się zombi. – Skurczybyk się poruszył i wtedy go zobaczyłem. Paskudne monstrum. A na herbie miasta wygląda tak sympatycznie.

– Ale zniknął?

– Zniknął.

– Wiedziałem – oświadczył z uśmiechem Wielgus. – Przecież to tylko zły sen.

Podciągnął się na rękach i wydostał z piwnicy.

– Słyszeliśmy jakiś stuk – przypomniał sobie S. Wodnik, wyłaniający się w ślad za nim. – Co to było?

– Gryf zeżarł szczura. Gdy przepadł, niestrawione truchło spadło na podłogę.

S. Wodnik pochylił się i pomógł wyjść Magdzie Papisten.

– Czy tamtych też zeżarł? – spytał Gadowski, nie wykazując najmniejszego śladu współczucia.

– Bardzo wątpię – odparł Wielgus. – Nie widać żadnych szczątków ani krwi. Poza tym popatrzcie na szczura.

Ku zdumieniu zgromadzonych zwierzątko się poruszyło. Po chwili wstało, z trudem utrzymując się na nogach. Powłócząc łapką, pośpiesznie podążyło do swojej nory.

– Niepotrzebnie zwietrzyłem cykora – stwierdził zombi. – Powinienem się domyślić, że skoro to był tylko Sen, to przecież nie mógł zrobić mi krzywdy.

– Nie byłbym tego taki pewien – zauważył Wielgus. – W swoim czasie widywałem mnóstwo osobników, również rodzaju ludzkiego, załatwionych przez Sny na amen. Niektórych nawet przez własne. Ale przyznaję, że nie zdecydowałbym się na ryzyko, gdyby nie istniała jakaś szansa. Niemniej na wszelki wypadek posłałem na pierwszy ogień ciebie.

– Przecież i tak już nie żyjesz.

– No wiecie co? – obruszył się Gadowski.

– Przestańcie – wtrącił się S. Wodnik. – Nie zapominajcie, że Pożoga i reszta towarzystwa gdzieś tu są. Jeśli nie pożarł ich gryf, to przecież nie rozplynęli się w powietrzu.

– Właśnie! – podchwycił zombi. – Mam z pewną kobitką, albo z przystojnym gościem, sam już nie wiem, poważne rachunki do wyrównania.

– Pewnie uciekli na górę – rzekł Wielgus. – Baszta ma trzy kondygnacje i stryszek.

– Idę – rzekł zdecydowanie zombi i ruszył w stronę schodów.

– Lepiej nie. – Wielgus usiłował go powstrzymać. – Załatwmy sprawę, zanim pojawi się tu policja.

– Właśnie to zamierzam zrobić – oznajmił Gadowski, wychylając się z półpiętra. – Załatwić sprawę. Ja załatwię swoją, a wy swoją.

– Panie Zenonie! – zawołała błagalnie Magda.

Mężczyzna się zawahał. Ostatecznie jednak pokręcił głową.

– Muszę – rzekł i ruszył na górę.

Kiedy doszedł do końca schodów, trafił na drewniane drzwi.

Nacisnął klamkę, spodziewając się, że będą zamknięte. Nie były.

Wsunął do środka rękę, po omacku poszukując kontaktu. Jako strażnik obiektów Muzeum Pomorza Środkowego nieźle znał wnętrza wszystkich zabytkowych budowli w rejonie Zamku Książąt Pomorskich. Wiedział, że stryszek nie posiada żadnych okien i światło można palić bez obaw.

– To jest zawlecza – powiedział Marian Krzywiec, trzymający palcem kółko wystające z kulistego przedmiotu wielkości męskiej pięści. – Jeśli ją wyciągnę, ten granat...

Nagle zamilkł. Gdyby nie to, że w pierwszej chwili oślepiło go światło, pewnie w ogóle by się nie odezwał, widząc połataną twarz, której nie sposób nie kojarzyć z dziełem doktora Frankensteina. Na domiar złego Gadowski sięgnął prawą ręką do skroni i zdjął lustrzanki, odsłaniając przekrwione oczy.

W lewej trzymał pistolet.

– A to jest browning – zripostował, patrząc nie na Krzywca, lecz na osobę mniejszej postury, stojącą tuż obok niego. – Pewien nerwus, usiłujący podskakiwać w Zakładzie Pogrzebowym, zostawił w magazynku dwa naboje. Akurat tyle, ile wpakowałeś we mnie.

– Ach, poznaję cię – powiedziała pani Witkacy, z miłym uśmiechem na twarzy i uniesionymi brwiami. – Jesteś tym strażnikiem, którego zastrzeliłam przez zupełną pomyłkę. Cieszę się, że sfuszerowałam. Naprawdę.

Zombi pokręcił głową.

– Nie sfuszerowałeś – rzekł.

– Nie?

– Nie.

Na kobiecej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

– Po co te nerwy, kochany? – próbowała rozładować sytuację.

– Wszystko można wyjaśnić...

– Nie jestem zdenerwowany – odparł Gadowski. – Ani trochę.

Prawdę mówiąc, wcale nie czuję do ciebie żalu. Moje życie było bardzo nieciekawe. I samotne. Gdyby nie książki, w ogóle nie byłoby o czym gadać. Tymczasem minęło parę dni od śmierci, a już mam fajną pracę i kilku przyjaciół. I widoki na przyszłość. Podoba mi się to. Zresztą od wieków marzyłem, żeby zostać zombi.

– No więc... – Oblicze pani Witkacy rozpromieniło się. – W czym problem?

– Chodzi o tradycję.

– Tradycję?

– Instynkt zombi – wyjaśnił Gadowski. – Zemsta na mordercy jest obowiązkiem. Prawem.

Przymusem.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. To silniejsze ode mnie. Jak oddychanie.

Twarz pani Witkacy spochmurniała, oczy zwięzły się gniewnie.

Przez moment wyglądało na to, że zamierza rzucić się na celującego w nią mężczyznę, widać jednak zdrowy rozsądek wziął górę, bo nagle odprężyła się.

– No dobra. Dość mędrkowania – powiedziała zdecydowanym tonem. – Spójrz, kochany, co trzymam w ręku. To policyjny walther, że nawiążę do pierwotnego wątku rozmowy. O ile wiem, refleks truposzy nie należy do imponujących. Zatem adieu. Wracaj, gdzie twoje miejsce,

umarłaku!

Błyskawicznie uniosła rękę i wpakowała w Zenona Gadowskiego osiem sztuk amunicji, wszystko, co miała w magazynku.

Siła odrzutu rzuciła mężczyznę na ścianę, lecz jakimś cudem zdołał utrzymać się na nogach. Na dodatek nie upuścił lustrzanek, które – gdy przebrzmiał huk wystrzałów – założył spokojnym, wystudiowanym gestem.

– Ale frajda! – rzekł grobowym basem. – Nie macie pojęcia jaka frajda! W dodatku teraz moja kolej, D’Anthes.

Wymownie pomachał browningiem.

– Marian, wyciągaj tę zawleczkę – rzekł pośpiesznie Pożoga.

– Nie mogę – wykrztusił Krzywiec. – Groziłem na postrach. To RGO–88. W tak małej kubaturze rozpierdzieli nas wszystkich.

– Cholera!

– Przepraszam, stary.

Zombi zrobił krok do przodu i wtedy pani Witkacy skoczyła.

Wszyscy – również skuleni w kącie Baron i Arek Szyszko – mogliby przysiąc, że w tym ułamku sekundy nie była ani panią Witkacy, ani Pożogą, ani Bogdą. Tak wyglądać mógłby mister Hyde, gdyby Jekyll uczynił swą miksturę jeszcze treściwszą.

Gadowski strzelił dwa razy. Oba strzały były celne, w samo serce. Pędząca postać zatrzymała się, czar Stevensona prysnął.

Požoga uśmiechnął się boleśnie i jak kłoda padł na podłogę.

Zombi z wyraźnym smutkiem opuścił rękę z pistoletem.

– Takie fatum – powiedział w przestrzeń. – Nie ma nic za darmo. Naprawdę mi przykro.

Marian Krzywiec pochylił się nad martwym ciałem.

– Nie żyje – stwierdził z niedowierzaniem. – On naprawdę nie żyje! Żle to rozegraliśmy – szepnął, jakby nieboszczyk mógł go jeszcze usłyszeć. – Wróć jeszcze kiedyś, proszę. Będziemy bardziej zdecydowani. Wróć! W tym kraju jest bezpiecznie. Nawet jeżeli rozwalimy pół miasta, nic nam nie zrobią, wręcz przeciwnie, zaopiekują się na dwadzieścia pięć lat. Oni znieśli karę śmierci. To swoje chłopcy. Równiachy. Wrócisz?

– Myślisz, że on wróci? – Załzawionymi oczami spojrzał na Gadowskiego, który w odpowiedzi obojętnie wzruszył ramionami.

– Oddawaj granat – rozkazał.

Krzywiec w milczeniu podał mu RGO–88.

– Chciałbym wrzucić Pożogę do studni – poprosił.

– Ciebie powinienem wrzucić do studni, psycholu jeden – powiedział Baron, zbliżając się do Krzywca. – Masz szczęście, że nie ma tu Marchewy, zrobiłby z ciebie niezły pasztet.

– Będę mógł? – Krzywiec zignorował Barona; wyprostował się i spojrzał w czarnobrazowe lustrzanki.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odrzekł Gadowski. – Wszyscy na dół. Raz, dwa! – Pomachał niecierpliwie browningiem, jakby zapomniał, że opróżnił magazynek. Ale i tak go posłuchali. Szyszko wyszedł pierwszy, za nim Baron.

– Pomóżcie mi! – zawołał Krzywiec, ciągnąc po podłodze ciało Pożogi.

Arek w ogóle nie zareagował, za to Baron odwrócił się do Mariana i z satysfakcją pokręcił głową. „Radź sobie sam, psycholu!”.

Zeszli na dół, wprost na stojącego na półpiętrze S. Wodnika, który na widok Gadowskiego odetchnął z ulgą.

– No, wreszcie. Co z Pożogą? – spytał.

– Nie żyje.

– I dobrze – skomentował S. Wodnik. – Nie po raz pierwszy i nie ostatni. Ale robi się późno, a tam na dodatek ocknął się jakiś Poldek i płacze, że chciał go zjeść potwór. Musimy zniknąć. Wielgus nie życzy sobie świadków.

– A oni? – Zombi wskazał na towarzyszących mu mężczyzn.

Z piętra dobiegało postękiwanie Krzywca, z trudem dźwigającego Pożogę. Schodził tyłem, trzymał ciało pod pachy, a bezwładne stopy postukiwały na każdym stopniu.

S. Wodnik powiódł wzrokiem po przygnębionych postaciach.

– Byliśmy tylko zakładnikami – uprzedził ewentualne pytanie Baron. Mówił jak początkujący statysta, który wkuł na pamięć swoją rolę. – Pożoga więził nas wbrew naszej woli. Natomiast tamten – tryumfalnie wskazał na Krzywca – był jego współnikiem. Uważajcie na niego, dobrze radzę.

Arek Szyszko milczał. Znów dręczyło go pytanie, jakim to paskudnym trafem wpakował się w tę nieprawdopodobną aferę.

Gdyby w herbaciarni zachował się inaczej... Każdy bywa kowalem swego losu, fakt. Ale...

Wtem zachłysnął się własnym oddechem. To nieprawdopodobne, ale zobaczył barmankę z herbaciarni. Była tu, w baszcie.

Stała obok gościa w skórzanej kurtce i patrzyła wprost na niego.

– Zaraz! Czy ten w skórze, to przypadkiem nie facet, od którego to wszystko się zaczęło?!

– Pośpieszcie się! – Nieznajomy z herbaciarni jakby nie dostrzegając uważnego spojrzenia. – Wiesz, która godzina? – zganił mężczyznę w lustrzankach, zabójcę Bogdy. – W dodatku narobiłeś tyle hałasu, że policja zaraz tu wejdzie.

– Jest tu tamten chłopak – odezwała się Magda Papisten.

– Zauważyłem – odparł Wielgus, nie zadawszy sobie trudu zaszczycenia Szyszki choćby jednym spojrzeniem. – Wszyscy do wykopu i uciekać stąd! Chyba że chcecie mieć kłopoty

z policją.

Jakby na potwierdzenie tych słów, ktoś na zewnątrz odezwał się przez megafon, wzywając do wyjaśnienia sytuacji, w przeciwnym wypadku grożąc zbrojną interwencją.

– A on? Co z nim? – Marian Krzywiec zwał z schodów ciało Pożogi. Krwawe plamy na piersiach krzyczały oskarżycielsko. – Czy będzie studnia? – zwrócił się do Wielgusa, słusznie odgadując, że zadaje pytanie właściwej osobie.

– Będzie. Idźcie już! – krzyknął Wielgus, gestykulując nerwowo rękami. – Natychmiast!

Popędzani przez S. Wodnika, wskakiwali kolejno do piwnicy: Gadowski, Szyszko, Poldek, Krzywiec, Baron, S. Wodnik.

– Ale Marian był współnikiem Pożogi! – dobiegł z podziemi oskarżający głos Barona, który najwyraźniej nie zamierzał darować zdrady kumpli. – Szkoda, że nie ma Marchewy, on by...

– Marchewa jest u mnie – odpowiedział mu bas S. Wodnika. – Trzyma w ustach igłę, żeby nie zasnąć. Uważam, że konfrontacja jest jak najbardziej wskazana...

– A ty dokąd?! – Niespodziewany bas Gadowskiego odbił się głuchym echem.

Słychać było tupot nóg i po chwili spod podłogi baszty wychyłała głowa Arkadiusza Szyszko. Chłopak wymamrotał coś w stronę Magdy Papisten – coś co brzmiało straszliwie niewyraźnie, jakby mu kto wstrzyknął w wargi środek znieczulający – i natychmiast ponownie zniknął w piwnicy. Widać jednak dziewczyna domyśliła się, o co chodzi, lub umiała czytać z ruchu warg, gdyż odpowiedziała, uśmiechając się z zakłopotaniem:

– Było, minęło. W porządku.

Wielgus sięgnął do kieszeni i rozejrzał się jak Bilbo Baggins sięgający po Pierścień. Byli z Magdą sami. Policyjny reflektor usiłował przeświecić wnętrze baszty, ale oni stali w cieniu, poza jego zasięgiem.

Moneta była duża, wykruszona na krawędziach i tak wytarta, że nie dawało się rozpoznać rysunku.

– Czy to denar Bolesława Chrobrego? – spytała Magda, przypominając sobie intratną propozycję Pożogi.

Wielgus zaprzeczył.

– Jest znacznie starsza. Gdybym powiedział, kto ją wykuł, i tak by pani nie uwierzyła.

Rzucił krążek, który poszybował lekkim łukiem i z cichym stukiem upadł na podłogę. Przez chwilę wirował na obrzeżu, a oni w skupieniu śledzili ten ruch, niczym gracze w orła i reszkę.

Wreszcie znieruchomiał.

– Reszka – stwierdził Wielgus. – Nigdy nie wypadło inaczej, ale za każdym razem zastanawiam się, co by się stało, gdyby pokazał się orzeł... – Pochylony, przypatrywał się uważnie metalicznemu owalowi.

– Odsuńmy się! – Wykonał krok w tył, pokazując Magdzie, gdzie ma stanąć.

– Na co czekamy? – zapytała, zaintrygowana.

Nie musiał odpowiadać. Leżąca na podłodze moneta błysnęła srebrem; można było odnieść wrażenie, że zapada się w podłogę. Dwucentymetrowy owal nagle ożył, powiększał się, rósł w oczach w tańczącą kałużę rtęci, która znieruchomiła dopiero wówczas, gdy osiągnęła metrową średnicę. Wówczas zastygła jak lód i zmatowiała. Wciąż jednak wyróżniał się zatarty rysunek awersu, oraz postrzępione krawędzie – całość była dokładną kopią małej monety, jednak teraz kojarzącą się raczej z tarczą biblijnego Goliata.

Wielgus pochylił się nad Pożogą i przyciągnął bliżej ciało.

– Nie możemy go tutaj zostawić – powiedział. – Patolog podczas sekcji przeżyłby szok.

Magda jakby tego nie słyszała.

– Co to jest? – spytała, wpatrując się w nierzeczywisty okrąg u jej stóp.

– Studnia – odparł Wielgus. Popchnął na srebrne lodowisko ciało Pożogi. Wydawało się, że zagarnia z powierzchni szron, ale było to tylko złudzenie, spowodowane świetlnym refleksem.

Požoga tonął. Zanurzał się powoli, jak topielec w bagnie. Najpierw zniknął tors, potem głowa. Przez chwilę na powierzchni utrzymywały się jeszcze nogi, później same stopy, wciąż zapadające się bezszelestnie, aż wreszcie widowisko zakończył rozchodzący się w ślimaczym tempie krąg. Powierzchnia gigantycznej monety błyszczała czystym srebrem.

Na zewnątrz Baszty Czarownic rozległy się głosy. Coś ciężkiego uderzyło w zabarykadowane drzwi, podpierająca je deska zadygotała, lecz tym razem jeszcze pozostała na miejscu. Znów ktoś krzychał przez megafon. Policjanci najwyraźniej postanowili działać.

– I na nas pora – rzekł Wielgus do Magdy Papisten. – Proszę skakać.

– Tam? – spytała zaniepokojona dziewczyna. Bezwiednie odsunęła się od studni.

Przez noc przebiło się uderzenie kowadła ratuszowego zegara. Pierwsze z dwunastu wieńczących dobę i zwiastujących następną.

– Czas się kończy – ponaglił Wielgus.

Zegar miejskiego ratusza potwierdził słowa kolejnym uderzeniem.

– Boję się – szepnęła Magda. – Nie mogę.

– Ależ może pani!

Chwycili się za ręce, przysunęli blisko siebie, gdyż średnica studni nie była duża, i skoczyli. W pierwszej chwili Magdzie wydało się, że wcale nie spadają. Miała pod stopami twardą powierzchnię, rzeczywisty metal monety. Zdołała nawet wykonać pół kroku, łapiąc równowagę. Oparła się o Wielgusa i wtedy poczuła, że się zapada. Wzrok powędrował w dół, już po kolana tkwili w matowym szkle, które wszędzie pozostawało nieruchome, martwe, nawet w miejscach styku z ubraniami – wydawało się, że powinno je rozedrzeć, wbić się w skórę, ranić ciało, nic takiego jednak nie nastąpiło. Nie czuła niczego poza lekkim łaskotaniem.

Zegar niestrudzenie pokonywał kolejne pauzy, wszystkie takie same. Magda straciła już

rachubę, które to, ile zostało do środy, skoro – jak rzekł jej dzielny towarzysz – czas się kończy.

Kiedy twarz dziewczyny znalazła się na poziomie podłogi, usta rozpaczliwie zaczerpnęły tchu – tak głębokiego, na jaki stać chyba tylko poławiaczki pereł z ciepłych mórz. Ktoś szarpnął ją za rękę, pociągnął w dół; to Wielgus pierwszy pokonał metaliczną głębię. Magdę Papisten otoczyła ciemność. Zamknął się świat, lecz tylko na moment, zaraz otworzył się spód, a raczej przestrzeń, tunel, który prowadził w miejsce inne, jeszcze nie poznane, przynajmniej tak sądziła.

Studnia.

Otworzyła szeroko oczy. Stali na dnie pionowego walca. Było szaro – ani jasno, ani ciemno, nie potrafiła określić, dlaczego to nikłe światło wywiera na nią tak niesamowite wrażenie, dopóki nie zorientowała się, że nie widać cieni. Ani jednego. Nic ich nie rzucało, nawet spękane kamienne ściany, nawet fałdy zgniecionego ubrania. Woląca myśleć, że to światło jest wszędobyłskie, bezźródłowe, a nie oni sami bezpostaciowi.

U jej stóp leżało wykręcone niezgrabnie ciało Pożogi. Magda wzdrygnęła się na myśl, jak niewiele brakowało, a nadepnęłaby na tę martwą twarz, wciąż wykrzywioną w grymasie śmiertelnego przerażenia. Nagle pojaśniało i zobaczyła pod nogami bezdenną przepaść: studnia nie miała dna, ale oni cudem jakimś nie spadali. Zakręciło się jej w głowie, całym ciężarem ciała wsparła się na ramieniu swego towarzysza. Nigdy nie miała lęku wysokości, ale nigdy też nie stała nad przepaścią tak niezmierną.

– To tylko lustra – powiedział Wielgus. – Lustra! Proszę spojrzeć w górę.

Spojrzała, ale tam też studnia ciągnęła się bez końca, lecz spodziewała się już, co ujrzy, dostrzegła, co powinna dostrzec poprzednio: powtarzające się tysiące razy ich własne odbicie, raz ujęte z góry, raz z dołu. I ten sam klonowany lustrami Pożoga, rzucony jak kukielka po skończonej scenie spektaklu.

– Jedno lustro na podłodze, drugie na suficie, precyzyjnie zwrócone licami do siebie – mówił Wielgus. – Odbijając dzielący je dystans, tworzą iluzję przestrzeni bez końca. Tylko iluzję.

Nie ma się czego bać.

Światło przygasło.

– Proszę mnie puścić – powiedział Wielgus.

„Nie”, poruszyła bezgłośnie ustami. Nie mogła puścić tej ręki, nie teraz, kiedy wszystko jest takie obce, nieznanne. Nie w chwili gdy za drugą trzyma ją Strach. Jeśli chwyci za obie, nie potrafi tego wytrzymać, umrze z przerażenia.

– Proszę puścić!

„Dlaczego?!”. Wokół niej zapadła całkowita ciemność. Nie!

Za żadne skarby świata nie zamierzała zwolnić uścisku. Jeszcze mocniej zacisnęła palce na nadgarstku mężczyzny, oplotła go niczym stalowe kajdanki.

Wyrwał się sam, jednym wężowym ruchem, istny Harry Houdini.

– Przecież nie wypada – usłyszała szept. – Jakże to? Wtrąca mnie do lochu.

ŚRODA. Psie Pole.

Karawan błysnął światłami i zatrzymał się.

– Trzeci raz tu jestem. – Kierowca westchnął, zniecierpliwiony. – Może powinienem dać sobie spokój, skoro nie ma takiego adresu.

Pasażer na tylnym siedzeniu drgnął. Poprawił przeciwsłoneczne okulary, przesłaniające pogrążoną w cieniu twarz.

– Mówiłeś o pięciu budynkach – rzekł.

– Dwa stoją nieco w głębi, stąd nie widać – wyjaśnił Bogusław Mazur.

– Nie rozumiałeś mnie. Ja widzę więcej.

– Co? – Głowa kierowcy przekrzywiła się.

– Widzę więcej – powtórzył zombi basowym, schrypniętym głosem.

– Hm... Cytujesz Sokratesa czy Konfucjusza?

– Mam na myśli budynki. Jest ich więcej niż pięć.

Mazur powrócił spojrzeniem na zapyziałą nocną uliczkę.

Świeciła jedna jedyna latarnia. Wiatr popychał po bruku brudną, papierową kulę. Gdzieś z boku doleciał smród moczu.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

Jeszcze niedawno uznałby takie stwierdzenie za żart. Jeszcze niedawno w ogóle nie zadałby podobnego pytania, lekceważąc rozmówcę. Ale wiele się zmieniło. Teraz patrzył inaczej. Rzeczywiście widział więcej, nawet jeśli nie był w stanie dostrzec tego, co sugerował jego niezwyczajny towarzysz.

– Czy mówię poważnie? – odpowiedział pytaniem Gadowski.

– Odkąd... – zająknął się. – No wiesz, od tamtego czasu... chyba straciłem poczucie humoru.

– Ależ skąd – zaprotestował Mazur. – Może sam tego nie dostrzegasz, ale zaręczam, że Buster Keaton miałby ci czego zazdrościć.

Milczeli przez chwilę.

– Podjedźmy kawałek – zaproponował zombi.

Karawan ruszył z wolna. Potoczył się kilkadziesiąt metrów i znów stanęli.

– O jasna cholera! – powiedział Mazur, wytrzeszczonymi oczami wpatrując się w lewą stronę ulicy.

– Naprawdę nie widziałeś tego domu?

– Jak Boga kocham. Wyrósł spod ziemi!

Stali przed numerem siódmym. Szary budynek, z oczodołami ciemnych okien i łuszczącą się skórą odpadającego tynku, nieoczekiwanie przywiódł Mazurowi na myśl nieboszczyka. Zwłoki, które nagle ekshumowano. Nic dziwnego, że wcześniej nie mógł ich zobaczyć.

W oknie na parterze poruszyła się firanka.

Mazur wysiadł z samochodu. Przeciągnął się i rozejrzał po okolicy. W oddali widział ludzi stojących na przystanku przy ulicy Garncarskiej. Był gotów się założyć o cokolwiek, że oni go nie widzą. Nie zobaczyliby nawet wówczas, gdyby darł się jak opętany i strzelał ze swego śrutowego walthera.

Nagle coś trzasnęło i naprzeciwko mężczyzny otworzyło się okno.

– Panowie z Hadesu? – zapytała z nadzieją Helena Kolonko.

– Zgadza się – odpowiedział Bogusław Mazur, niespecjalnie zdziwiony pytaniem, gdyż na drzwiach samochodu było wymalowane logo firmy.

– Oj, jak dobrze! – Kobieta rozpromieniła się, jakby odwiedził ją sam Jan Paweł II. – Nareszcie! Co tak późno? Myślałam, że już nigdy nie przyjdziecie.

– Najpierw nic nie wiedziałem o tym stałym zleceniu, a potem nie mogłem znaleźć adresu...

– wyjaśniał Mazur, podchodząc bliżej okna. – To znaczy... Pan Legnicki nie żyje, przepraszam, powinienem był od tego zacząć.

– Och! – Przesłoniła usta ręką. – Tak mi przykro.

Mazur trochę się zmieszał. Przez chwilę poczuł wstyd, że jemu nie jest przykro. Na początku może trochę tak, ale gdy dowiedział się o testamencie...

Prawdę mówiąc, niespecjalnie lubił Legnickiego. Właściwie nikt go nie lubił, ale nie miał też wrogów. Był jakiś... nijaki. Doskonale bezpłciowy. Wiecznie było od niego czuć glicerynę oraz coś jeszcze, trudne do określenia. Coś, co wyczuwało się również w obecności Gadowskiego. A przecież Legnicki nie był zombi.

Chyba nie.

Nieoczekiwanie Mazur poczuł się nieswojo.

– Proszę do środka – zaprosiła pani Kolonko.

Wszedł do budynku. W korytarzu było ciemno jak w piwnicy, nie mógł znaleźć włącznika światła, lecz za moment otworzyły się drzwi i klatkę schodową rozjaśnił żółtawy blask.

– A pański kolega? – spytała Helena Kolonko.

– Poczekaj w samochodzie.

– Tak długo? – zdziwiła się.

– Długo? – Chrząknął zmieszany i zatrzymał się w progu.

– No jak to? – Łagodna twarz, pełna zmarszczek i bruzd wyrażała zdziwienie. – Przecież zawsze...

– Ja nie wiem o co chodzi – przyznał się Mazur. – Widzi pani... hm... szef odszedł nagle, nie zdążył przekazać spraw. Porządkując papiery, znalazłem państwa zlecenie i...

Zaciął się. Nie bardzo wiedział, jak brnąć dalej.

– Ale jest pan zainteresowany? – zapytała Kolonko z zimnym błyskiem w oczach.

– Raczej tak, jednak... Co właściwie miałbym robić?

Kobieta pokiwała głową. Milczącym gestem wskazała wewnątrz mieszkania.

– Może herbaty? – zaproponowała, zamknawszy drzwi. – Mam świeże ciasteczka. Sama piekłam.

– Chętnie.

– A kolega? – wróciła do tematu.

– Poczekaj.

– Na pewno?

– Na pewno – powiedział Mazur, myśląc o tym, jak miła gospodyni by zareagowała, gdyby spełnił jej życzenie i zawołał Gadowskiego.

– W takim razie pójdę do kuchni, a pan niech zajrzy do męża.

Biedak pewnie myśli, że już nigdy nie przyjdziecie – oznajmiła.

Wskazała przeszklone drzwi i podreptała w stronę kuchni.

Mazur odruchowo przygładził włosy. Poprawił marynarkę i nacisnął klamkę.

– Dzień do... – zaczął, lecz nagle język skołowaciał mu w ustach. Drzwi za jego plecami zatrzasnęły się, jakby pchnięte niewidzialną dłońią.

Mężczyzna leżał na stole. Na wznak. Miał na sobie piżamę, na nogach bambosze. Nie poruszał się. Pomijając ubiór, wyglądał mniej więcej tak, jak zwłoki męża pewnej słupskiej farmaceutki, ekshumowane miesiąc po śmierci – gdy inwentaryzacja apteki wykazała poważne braki leków zawierających arsenik.

W pokoju śmierdziało zgnilizną. Ten człowiek się rozkładał.

„Tanatopraksja”, pomyślał Mazur.

Niedawno czytał artykuł o nowej, coraz bardziej popularnej w zachodniej Europie, metodzie konserwacji zwłok. Nieboszczykom przywracano „żywy” wygląd, nadając im pozy, które preferowali za życia. Na przykład siedzących na krześle z papierosem w ustach, lub zatopionych w fotelu z rozpostartą gazetą na stronie z własnym, najprawdziwszym nekrologiem. Oczywiście chowano ich w obszernych grobach, w trumnach niczym nie przypominających tradycyjnych jesionowych skrzyń, lecz stąd już krok tylko, by wystawić delikwentów na publiczny widok. O ileż ciekawiej byłoby na szczycie wieży Eiffla oglądać pochylone nad biurkiem prawdziwe ciało sławetnego francuskiego inżyniera, aniżeli woskową imitację!

Zresztą, milowy krok w tym kierunku został uczyniony o wiele wcześniej, i to po przeciwnej stronie kontynentu. Kolejki turystów (i czcicieli) spragnionych widoku Włodzimierza Iljicza Lenina bez ustanku wiły się po Kremlu, niczym gigantyczna dżdżownica.

To akurat nie dziwiło Bogusława Mazura ani trochę. Jako przedsiębiorca pogrzebowy doskonale wiedział, jaką fascynację budzą w ludziach wystawione na widok publiczny zwłoki. Fascynację starą jak dzieje cywilizacji.

Niespodzianie od strony stołu dobiegł niewyraźny bełkot. Mazur podskoczył, choć po ostatnich przeżyciach powinien przyzwyczać się do tego, że martwe ciała nie zawsze są takie do końca.

Mężczyzna najwyraźniej usiłował coś powiedzieć, mimo że jego rozchylone granatowe wargi nawet nie drgnęły. Sam również się nie poruszał; leżał na stole jak drewniana rzeźba.

Wzrok skamieniałego przedsiębiorcy pogrzebowego błędził po pomieszczeniu i zatrzymał się na zwyczajnej, łazienkowej wannie, białej i czystej. W tym pokoju – z dywanem na dębowym parkiecie i sprzętem RTV w kącie – wyglądała jak natchnienie dla obrazu Salvadora Dali. Nie miała kurków, ani żadnego doprowadzenia bieżącej wody. Za to od spustu kanalizacyjnego biegł zbrojony wąż, ginący w pobliskiej ścianie. Szafka obok, od góry po dół została zastawiona różnego rozmiaru butlami, których znaczna część przypominała te, w których nastawia się wino lub pędzi bimber. Lecz zarówno kolor wypełniających je płynów, jak i naklejki na licach, przeczyły takiemu założeniu. Były to odczynniki chemiczne, których większość Bogusław Mazur doskonale znał. Niektórych na co dzień używał w swoim zakładzie. Służyły do konserwacji zwłok.

Powrócił wzrokiem do wanny. Wszystko się zgadzało. Pewna powtarzalna faza ekstremalnej tanatopraksji polegała na moczeniu ciała w specjalnych roztworach hamujących rozkład tkanek.

Mężczyzna na stole ponownie coś wymamrotał i w tonie głosu Mazur dopatrywał się zniecierpliwienia. Nigdy nie słyszał o tym, żeby Włodzimierz Iljicz Lenin kiedykolwiek się niecierpliwił. Widać występowała pewna różnica w metodzie.

– Jest herbata – powiedziała pani Kolonko, wnosząc do pokoju srebrną tackę. – No co ty, Waldek?! – powiedziała z wyrzutem do leżącego na stole mężczyzny. – Dlaczego nie poprosiłeś pana, żeby usiadł?

– Prosił – sprostował cicho Mazur, nieco ochłonawszy. – Ale go nie zrozumiałem.

– A widzi pan? – zauważyła z dezaprobatą. – Mówiłam, że trzeba było przyjść wcześniej.

Pominął tę uwagę milczeniem.

– Czy to zombi? – spytał.

– No wie pan! – Wskutek wzburzenia ręka staruszki zadrżała i wylało się trochę herbaty, którą stawiała na stole. – I kto to mówi? Przedsiębiorca pogrzebowy! Naoglądał się pan horrorów w telewizji...

– Więc nie umarł?

– Oczywiście, że nie! Owszem, w dziewięćdziesiątym pierwszym niewiele brakowało, ale on nie chciał.

– Kto nie chciał? – Nie za bardzo potrafił zrozumieć.

– Jak to kto? On. – Wskazała na męża. – Waldek.

– Nie chciał umrzeć? – upewnił się. – Tak po prostu?

– Przecież mówię.

Mazur usiadł przy stole i sięgnął po filiżankę. Czuł się trochę nieswojo, patrząc na mężczyznę w pizamie, którego klatka piersiowa – z rzadka bo z rzadka, ale jednak – co pewien czas unosiła się i opadała. Oddychał, zatem według medycznych standardów żył.

Nie chcąc urazić gospodyni, Mazur pił herbatę, lecz przełknięcie podsuwanych ciasteczek okazało się ponad jego siły.

– A pańskiemu pomocnikowi smakują – stwierdziła nagle.

Przedsiębiorca zakrztusił się herbatą.

– Zaprosiłam go do środka – przyznała. – Jest w kuchni. Bardzo miły chłopiec.

– Chłopiec...? Miał pięć... Ma pięćdziesiąt lat.

– Serio? – Kolonko była bardzo zdumiona. – Nigdy bym nie powiedziała. Nigdy. Jest taki przystojny.

– Ach tak! – powiedział Mazur.

– Zwierzył mi się, że jest samotny i nie ma gdzie mieszkać.

Zaproponowałam mu pokój. Zgodził się od razu. Powiedział, że zawsze marzył, żeby mieszkać w miłej i spokojnej dzielnicy.

Przy okazji kazałam mu przynieść z bagażnika torbę z akcesoriami. Zapomniał pan wziąć.

– Jakimi akcesoriami? – zapytał podejrzliwie, nie potrafiąc zebrać myśli.

– No przecież... – Helena Kolonko wskazała na wannę, tkwiącą w pokoju niczym gigantyczna pusta donica. – Waldek czeka.

– Czekaj... – Świeżo upieczony właściciel Przedsiębiorstwa Pogrzebowego „HADES” zaczerpnął gwałtownie tchu, jakby to miał być jego ostatni oddech w życiu.

Po długiej chwili z desperacją odsunął od siebie herbatę. Wstał od stołu, zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli.

– No to do roboty – powiedział.

ZŁEGO MIŁY KONIEC

Oślepiły ją zniecka kaskady światła – tak intensywnego, że musiała zacisnąć powieki, bo zwyczajne ich zamknięcie niewiele dawało. Zewsząd dobiegał gwar głosów, cichnących nagle, czymś spłoszonych. Pachniało łąką, kwiatami i... jedzeniem?

Magda Papisten powoli otwierała zażawione oczy, niewiele z początku widzące prócz kolorowych plam, szybko jednak przystosowujące się do nowych warunków. Nie znajdowała się na łące, jak wcześniej sądziła, lecz w ogrodzie, może w sadzie.

Na trawie stały dziesiątki stołów, połączonych szczytami, wijących się między owocowymi drzewami niczym gigantyczny wąż. Na białych jak śnieg obrusach wzrok przyciągały niezliczone ilości złoczonej zastawy, koszów i koszyków z drobnej wikliny, drewnianych beczulek i zwykłych glinianych mis.

Wszystko to pełne owoców, warzyw, ryb, mięs, kiszonek, ciast, słodczy oraz różnobarwnych napojów – od rubinowych począwszy, na złociście spienionych skończywszy – i wszystko nietknięte, jakby przeznaczone nie do zjedzenia, lecz tylko na pokaz. W dodatku goście – tłum cały – nie tkwili przy stołach, ale pod drzewami; jedynie gdzieś na samym końcu łąkociowego kobierca siedziało jedenaście kobiecych postaci, w różnym wieku, od przygarbionej staruszki począwszy, na rówieśniczce Papisten skończywszy. Jedno krzesło przy tym stole było puste i miejsce to raczej nie należało do dwunastej kobiety, stojącej z boku, siwowłosej, w jakiś sposób podobnej do tamtych jedenastu, lecz wyróżniającej się pochmurnym spojrzeniem oraz odmiennym ubiorem, zdecydowanie mniej strojnym, wręcz niechlujnym, jakby na uczcie znalazła się przypadkiem.

Gwar rozmów ucichł. Nie było nikogo, kto nie patrzyłby na przybyłych. Wielgus uklonił się, a zdezorientowana Papisten nieśmiało powtórzyła ten gest.

Chmurna kobieta biegła ku nim, trzymając w rękach fałdy swej szarej sukni. Nie wyglądała przyjaźnie; rozwiane w nieładzie włosy, gniewnie zmarszczone brwi wywoływały niepokój, wręcz lęk. Papisten poczuła nieodpartą ochotę usunięcia się, schowania za plecami Wielgusa, który widać wyczuł ten bliski panice nastrój, gdyż szepnął kilka uspokajających słów. Pozostała więc w miejscu, niespodziewanie czując przyływ odwagi.

– Coście mu zrobili?! – zapytała starsza pani syczącym głosem, w ogóle nie zdyszana, choć pędziła jak wicher dobre kilkadziesiąt metrów.

Bacne spojrzenie skośnych oczu prześlizgnęło się po ciele Pożogi – skulonym na zielonej trawie, jak we śnie – powędrowało w górę i zatrzymało na źrenicach czarnowłosej dziewczyny.

– My? – zaprotestowała Papisten. – To nie my.

Dostrzegając dziwne iskry w natarczywych oczach kobiety, aż przeszyły ją dreszcze, zaraz jednak zwyciężyło uczucie ciekawości, wyprostowała się dumnie, wytrzymując spojrzenie.

Kobieta wyszeptala coś niezrozumiale, chyba tylko do samej siebie, i pochyliła się nad Pożogą. Dotknęła martwej twarzy upierścienioną ręką, pogładziła pieśczośliwie.

– W samo serce. Wasze szczęście – mruknęła.

Sięgnęła do pierścienia z wielkim oczkiem koloru rubinu.

Przekręciła go. Malutkie wieczko odskoczyło, a ze środka wydobyła się strużka dymu. Przechyliła rękę i kropla gęstego jak miód nektaru spłynęła wprost do rany.

Požoga poruszył się. Zakaszłał, potem jeszcze raz, i jeszcze, i za każdym razem kaszel zmieniał się, stawał bardziej chrapliwy, aż wreszcie przeistoczył się w warkot.

Nie tylko kaszel ulegał metamorfozie.

Na twarzy mężczyzny pojawiły się włosy. Najpierw delikatny, przezroczysty meszek, trzy sekundy później była to już czarna sierść, przeplatana siwymi pasemkami. Oczy zmałyły, zaokrągliły się, zniknęły białka. Trzasnęły szwy czerwonego trykotu, zapadły się nogawki spodni, puste buty zakołysały się jak żywe.

Ogromny basior zerwał się na nogi. Zatoczył się, pisnął niczym psiak, lecz na przekór temu wrażeniu wyszczerzył białe zębiska.

– Ty partaczu! Nic nie potrafisz załatwić! – wrzasnęła nań kobieta, zamykając wieczko pierścienia. Ogromne ciało dzikiego zwierzęcia nie czyniło na niej najmniejszego wrażenia. – Miało jej tu nie być! – Z ogniem w oczach spojrzęła na Papisten. – A ona tylko się spóźniła. Spóźniła! Nie rozumiesz, durniu, że to jeszcze gorzej, niż gdyby przybyła na czas?!

Wilk położył uszy po sobie. Schylił nastroszony łeb, uciekając spojrzeniem ku ziemi.

– Do lasu, niedołego! – syknęła ze złością staruszka. – Wieczorem czekam u siebie! Pogadamy inaczej! Mam tego dość!

Odwróciła się, uniosła hardo głowę i podążyła do wyjścia szeroką ścieżką, wysypaną drobnym, kolorowym żwirem.

Oczy zganionego wilka na moment znów błysnęły fioletowym blaskiem, gdy spojrzęła na Papisten, ale ta się nie ulękała. Basior westchnął ciężko, uznając widać swoją klęskę. Podwinął pod siebie ogon i potruczał na skraj sadu. Jednym susem przeskoczył przez mur, mierzący w tym miejscu jakieś sto sześćdziesiąt trzy centymetry. Papisten spoglądała za nim bez słowa, następnie rozejrzała się wokół, bardziej niż samym zdarzeniem, zdumiona faktem, że żaden z gości (wciąż wpatrywali się w nią jak zaczarowani) nie wyglądał na zaskoczonego wilkołaczym przeobrażeniem.

– A ty? – szepnęła do Wielgusa.

– Co ja? – spytał, nie poruszając wargami ani w ogóle na nią nie patrząc.

– W co się zmienisz?

– Pomyłka – sprostował smutno głosem brzuchomówcy. – Od siedmiuset trzydziestu lat jestem człowiekiem. Za karę.

Gdzieś huczała sowa i dopiero teraz Papisten dostrzegła, że po drugiej stronie sadu wznoszą się potężne zamkowe mury, wśród których wysokością wyróżniała się postawna wieża. Tak mogłaby wyglądać Baszta Czarownic, gdyby ją nieco podwyższyć, a na szczycie – zamiast blaszanej wieżmy – umieścić królewski proporzec.

Sowa ucichła.

– Na co oni czekają? – zapytała Papisten.

– Na twoje słowa, pani. – Wielgus skłonił się nisko.

– Co mam powiedzieć?

Dziesiątki par oczu wpatrywały się w dziewczynę w całkowitym bezruchu.

– Co? Naprawdę nie wiem...

Milczeli jak zakłęci.

Zapłakała niemowlę, trzymane przez pulchną kobietę o rumianej twarzy. Stojąca obok dystygowana kobieta, piękna i dumna, pochyliła się z troską. Niespodziewanie Papisten uzmysłowiła sobie, że dobrze wie, że niemowlę jest dziewczynką. Miała co do tego całkowitą pewność, choć przecież z tej odległości nie sposób było odgadnąć płci zakutanego w falbaniasty becik dzieciaka.

Skąd...?

I nagle przypomniała sobie, kim chciała zostać, będąc małą dziewczynką. Zapomniała o tym, bo kiedy w wieku siedmiu lat poszła do szkoły, nie wypadało mieć takich marzeń. Śmiesznych i naiwnych. Zwłaszcza gdy jesteś córką pomyślna i wszyscy dorośli o tym wiedzą. I obserwują cię. Rozwiązują frapujący rebus: „Czy to dziecko jest normalne?”. Nie wypowiadają tego na głos, lecz pytanie widać w ich oczach, gestach i miłych uśmiechach.

– Ale nie umrze – powiedziała stanowczo. – Zaśnie na sto lat, a potem...

Uśmiechnęła się, nieco zakłopotana. Sam pomysł nie byłby zły, gdyby nie to, że sięgając przez struny czasu, ujrzała tego młodego mężczyznę i nie spodobał się jej. Pomimo złota i kosztownego odzienia zbyt przypominał pewnego asystenta wyższej uczelni. Żadnemu z nich pozornie nic nie można było zarzucić, ale mieli jedną wadę: po bliższym poznaniu rozczarowywali.

– A potem się zobaczy – dokończyła.

Jeszcze przez moment trwała cisza. A potem goście zaczęli wiwatować. W górę leciały nie tylko nakrycia głowy, lecz i owoce, warzywa, ryby, mięsiwa, kiszonki, ciasta, słodycze, a nawet pewien skrzat, złodziejskie nasienie, który zaczął się przy dzbanie z piwem.

Nazajutrz spalono wszystkie (jak się wydawało) wrzeczona, łudząc się, że załatwi to sprawę.

Nie załatwiło.